

LILLA WENEDA.

TRAGEDYA w PIĘCIU AKTACH.



520.
L1L.

227

DO AUTORA IRYDIONA

List II.

Kochany Endymionie poezyi, drzemiący w cieniu gajów laurowych, z lekkością i ciszą letniej błyskawicy przedzieram się przez czarne liście drzew nieśmiertelnych i trzema błyskami budzę ciebie ze snów niespokojnych... Wstań! wstań, mój Endymionie, tajemniczej Muzy kochanku, i postąp krokiem ku mnie, a napotkasz nowy gaj fantazyi, zielony sosnami teatr; bo oto dla ciebie jedynie, mój drogi, wybudowałem nową scenę, sprowadziłem duchów aktorów i rozłożyłem na leśnej murawie biegającego po świetle kolportera małe bogactwo. Odeślij mnie z nowym zarobkiem przyjaźni, ze łzą, jeżeli można, z pochwałą, jeżeli można: a będę spokojny na wieczność.

Obudź się! obudź, rzymski, w złotej zbroi, z ognistym pancerzem, rycerzu! Nowe mary stoją przed tobą: oto jest wzgórze okryte zieloną murawą, na wzgórzu stoi dwanaście druidycznych kamieni i trzynasty tron z omszonego granitu; oto wzgórze ukoronowane wieńcem dwunastu białowłosych harfiarzy, zewsząd jakby morzem czerwonego połysku oblane... to straszne wzgórze zwierciadło — to krew narodu. Spiew dwunastu harf rozlega się nad ludem umarłych i wbiega w puste, szumiące lasy sosnowe. Czy ci nie smutno?

Oto jest rycerz z dwojgiem serc, z mieczem jedynym, z Tella, z Kastora i z Polluksa złożony; rycerz, którego jedna połowa jest tarczą, a druga śmierci żelazem — wódz mający dwie dusze i dwa ciała; nieszczęście narodu; przeznaczenie dowodzące potępienemu przez Boga ludowi... Wódz z dwojakiem i nie śmiesznem już więcej nazwiskiem. Czy go widzisz?

Oto wróżka, która zabrania harfiarzom rozpaczy, a jednym strasznym i mściwym czynem zajęta, stapa po sercach ludzkich, kruszy je pod swymi nogami... Eumenida eschyłowska krzycząca: zwycięstwo! sto serc ludzkich za zwycięstwo. Czy się nie wzdrygasz?

Oto jest stary i święty człowiek, który przyszedł łązawo Chrystusa oliwy zaszczerpiąc na płonkach sosnowych i zamieszkał w czaszce ołbrzyma, a przyjazne jemu ślimaki przylazły i śliną kryształową zalepiły czaszki już pustej żrenice, powoje owinęły ją dokoła. Oto we wnętrzu groty kościanej i ludzkiej krzyż stoi, lampą się pali i błyszczy obraz rafaelowski Boga Rodzicy. Widzisz, jak dno złote obrazu pięknie jaśnieje w ciemnościach pustego czerepu? słyszysz, jak szemrze modlitwa?

Oto jest brat Rolanda, a praszczur Sobieskiego, człowiek silnej ręki i molierowskiej w domostwie słabości.

Oto nareszcie jest twarda dziewczka skandynawska; oto mniejsze mrówki ludzkości, pełne kłamstwa, wybiegów, teńczości w osobie Ślaza. Oto jest cały sklepik kolportera, wysypujący przed tobą swe fantastyczne figurki, za które autor sam gada; a czasem szczebioce Alfierego językiem. Na cóż to wszystko?

Zaprawdę ci powiadam, jam tych mar nie wołał — przyszedł same; przyprowadziła je z sobą biała Lilla Weneda; a ja ujrzawszy ten tłum ludzi, harf złotych, hełmów, tarcz i mieczów dobytých, usłyszawszy głosy zmieszane dawno już wymordowanego ludu, wziąłem jedną z harf wenedyjskich do ręki i przyrzekłem duchom

powiesc wierna i naga, jaka się posagowym nieszczęściom należy.

Ile razy więc, zwyczajem terażniejszych poetów, chciałem zacząć kwilącą serca dyssekcją, lub melancholizowaniem sztucznem obrazów prostą legendę okraścić, tyle razy mary zjawione krzyczały z krajów przeszłości: „serca nasze były zdrowe i ciała, w mowie naszej nie było niespodziewanych *concelli*. Choć córki królewskie, nie wzdychałyśmy do księżycy, choć synowie królewscy, pedziliśmy woły na paszę. Ossyan usłyszał naszego zgonu historyę, lecz nie znalazł w niej dosyć chmur księżycowych, duchów, sarn, błyskawic i wiatru wzdychającego po mogiłach, ani więc ruszył harfy na omszonym debie wiszącej, ale odpędził nas w mgłę niepamięci rozpaczne. Lecz ty, mówiły dalej mary, któregośmy widziały w ciemnym Agamemnona grobowcu, ty, jadący niegdyś brzegami laurowego potoku, gdzie Elektra królewna płótno bielila matezyne, mów o nas prosto i z krzykiem.“

Tak namówiony, wziętem pół posagową formę Eurypidesa tragedyi i rzuciłem w nią wypadki wyrwane z najdawniejszych krańców przeszłości; a jeżeli Bóg mi pozwoli, to na tej nieco marmurowej podstawie, oprę szersze, bardziej tęczowe, lecz mniej fantastyczne niż Balladyna tragedye; tylko ty, Irydionie, nie opuszczaj mnie wśród zimnego świata słuchaczy, tylko ty mi nie daj uczuć chłodu, który mi na czoło od twarzy ludzkich powiewa; a gdybyś widział na mnie idące węże, weź w rękę harfe Lilli Wenedy i przemień te gady w słuchaczów. Ile razy z tobą byłem, zdawało mi się, że wszyscy ludzie mają oczy rafałowskie, że dosyć jest jednym słowa zarysem pokazać im piękną postać duchową, że dbać nie trzeba o niedowidzenie, a chronić się tylko przesyć; sądziłbym, że wszyscy ludzie obdarzeni są platońską i attycką uwagą; że dodawszy do stworzonego już przez poetów świata jedną taką postać jak nimfa uwieńczona jaskółkami, które pierzchają z włosów, dotknięte słońca promykiem; jedną taką postać jak nimfa uwiązana rączkami za łańcuch smutno gwarzących po niebie żorawi, można te Ateńczyki obrócić na niebo czyjś. Teraz widzę, że innych widm, innych kolorów, in-

nych potrzeba obrazów. Nie schodzę jednak z mojej drogi; a że jest pustą i szeroką, to przypomina mi złote puścynie Suez, na których tak mi dobrze było, gdym się tylko za słońcem i gwiazdami kierował. Jest to wrzecie dla mnie droga konieczna: ile razy bowiem zetknę się z rzeczywistymi rzeczami, opadają mi skrzydła i jestem smutny, jak gdybym miał umrzeć; albo gniewny, jak w owym wierszu o Termopilach, który na końcu księgi umieściłem, niby chór ostatni śpiewany przez poetę. Na Odyna! niech wrzeszczą samochwalce, a ja z drgającymi ustami wracam pod skrzydła twoje ochłonać.

A teraz, słyszę, że mnie pytasz, skąd się w mojej myśli biała postać Lilli Wenedy zjawiła... posłuchaj. Przed pięciu laty mieszkałem nad jeziorem Szwajcaryi, blisko miasteczka Villeneuve, dawnego Avencium. Miasteczko to, położone na zielonej równinie w końcu jeziora, niedaleko zamku Chillon i skał Heloizy, czarowało mnie swoją wiejską i spokojną pięknoscia; na jasnych i wodnistych łąkach zbudowane, uśmiecha się wiosenna zielenia z pod czarnych gór, które, podobne rzymskiemu legionowi, stoją groźne, nachylone, gotowe spaść i rozprościć... Co? — kilka małych domków, białe odbitych w jeziorze, mały kościółek z piramidalną wieżyczką i rząd ciemnych drzew kasztanowych, które jesienią owieszone mnóstwem chłopiat, tłukących z koron owoce, rumienia się hożą, czerwonością wesołych twarzy, niby jabłonie sadów naszych mnóstwem owoców spłonię. Takim jest dzisiaj to miasteczko; lecz niegdyś, przed wiekami, na tem samem miejscu odbywała się okropna jakaś ofiara: musiało być poświęcenie się, rozpacz, szcęk broni, miecz katowski, ucinający głowę starca i słowo: S. P. Q. R. błyszczące na rzymskich chorągwiach. Czas wszystko uciszył. Z całej owej historii został tylko jeden grobowiec z następującym napisem:

JULIA ALPINULA

tu leży.

*Nieszczęśliwego ojca nieszczęśliwa córka,
bogów awentynskich kaptanka.*

Wyprosić ojca od śmierci nie mogłam.

Nieszczęśliwie umrzeć w losach jego było.

Żyłam lat XXIII.

Mój Irydionie, ta młoda dziewica, ta czysta kapłanka, co żyła tylko lat 23, skarżąc się tak cicho a tak przeraźliwie z przeszłości, ona to zamieniła się w Lillę Wenede; chciałem kwiat łączny przenieść do Polski: niosłem go ze świętem uczuciem, aby nie stracić zeń rosy, listka nie utłamać. Ta mara srebrnej białości, która na dziwnej zieleni łąk szwajcarskich, na odtamie skały stawała przedemną, teraz zmártwychwstawszy nad Gopłem, opowiedziała swego poświęcenia się historyą; cicha, czysta, biała i spokojna, ale głęboko w serce nawet przez ojca własnego raniona.

Dawniej jeszcze, jadąc przez pińskie błota, widziałem mnóstwo lilij wodnych i mnóstwo chłopów wychudłych od głodu; między chłopami a nennfarem litewskim taki był związek, że chłopstwo jadło kwiatów łodygi, nie mając chleba; łodygi te bowiem rdzeń mają słodką, gąbczastą, która za pokarm służyć może. Co z tego pińskiego wspomnienia do tragedyi wniknęło—zobaczysz.

A teraz, kiedym ci się wypowiadał, usiądź na utamku jakiej dawnej ruiny, albo pod cieniem wirgilowego lauru i niech cię gwarząca moja przeszłość otoczy; usiądź nad kryształową jaką i smętną wodą, abyś z książką moją mógł to zrobić, co zamysłona z białą różą w ręku dziewczyna: to jest, oberwać ją liść po liściu, rzucić w wodę płynącą i pytać się losu listków o los człowieka; a zniszczywszy tak ciało Lilli Wenedy, odtwórz ją na nowo w myśli swojej większym blaskiem odzianą i piękniejszą sto razy, i niech ta postać do nas obojgu należy, niech będzie jako łańcuch łączący dwóch Wenedów ręce, nawet w śmierci godzinie. A tych dwóch wodzów! czy ty myślisz, Irydionie, że tworząc ów myt jedności i przyjaźni, nie łudziłem się słodką nadzieją, że kiedyś i nas tak we wspomnieniach ludzie powiążą i na jednym stosie postawią... ty mnie wtenczas umarłego będziesz trzymał na piersiach i mówił mi do ucha słowa nadziei i zmártwychwstania, albowiem za życia słyszałem je od ciebie jedynie.

Paryż, dnia 2 kwietnia 1840 r.

OSOBY.

LECH.

GWINONA, żona Lecha.

LECHON

KRAK } synowie Lecha.
ARFON }

DERWID, król Wenedów.

LILLA WENEDA } córki Derwida.
ROZA WENEDA }

POLELUM } synowie Derwida.
LELUM }

SYGON } Lechici.
GRYF }

ŚWIĘTY GWALBERT.

ŚLĄŻ, jego sługa.

DWUNASTU HARFIARZY } Wenedzi.
DWUNASTU WODZOW }

Orszak dziewic Gwinony. — Rycerze Lechici.

Z czasów bajecznych. — Blizko Gopła.

PROLOG.

*Obszerna grota wroźki wykopana w ziemi; w ścianach
okrągłe dziury, przez które widać rozległe pola i daleki
krajobraz — światło zachodzącego słońca.*

Roza Weneda i Lilla Weneda.

Lilla Weneda

O! siostró moja, jak ty zadumała!
Idź, spójrz na walkę, zaczaruj zwycięstwo.

Roza Weneda.

Na nic nie przyda się tu czar szatana.
Przekleństwo! przekleństwo! przekleństwo!
Ojczyzna nasza kona i na wieki...
Widzę umarłą...
I ty umarła... ja ci zamknę powieki,
Zimnego piasku w usta nasypię, a w gardło
Przekleństw, które ty z sobą poniesiesz w daleki
Kraj... na tamten świat... o! nieszczęśliwa!

Lilla Weneda.

Mówisz i wicher się zrywa
I płacze nademną biedna.
Więc ja mam umrzeć?—o! Boże!

Roza Weneda.

Cicho! czy Bóg ciebie jedna
Stworzył? Czemu trudzisz Boga?
Tam krew nasza i krew wroga
Zrobiła strumień i łożę
I Gopło zaczerwieniła

Będiesz ty jak płaczka wyła
Nad sobą, gdy rycerze konają?

(Słychać dźwięk harfy).

O! cyt, harfy nasze grają.
Słyszysz ich głosy ponure,
Płaczące i rozstrojone?
Harfiarze wchodzą na górę...
Wszystko stracone!

Lilla Weneda.

Za harfiarzami tu wejdą rycerze
I nas zabiją i wytną harfiarzy.

Roza Weneda.

Co? a z chmurami przymierze?
A piorun posepny, złoty,
Co stoi jakby na straży
U wejścia groty?
Co? a szatański mój głos,
Podobny zimnym sztyletom?
A zmartwychwstanie dane przezemnie szkieletom!
A mój smutek! a mój los!
I ty nie ufasz w tę straż?
I ty się lękasz, o krasna.

Lilla Weneda

Ty mówisz, lecz twoja twarz
Jak księżyc smutna choć jasna,
Jak księżyc, umartych słońce.
Gdzie nasi bracia obrońce,
Czy wiesz, co z nimi się stało?

Roza Weneda.

Wnętrze groty zajęczało,
Słyszałaś odpowiedź skał. —
Wyjdź i wprowadź harfiarzy, ja ogień rozpale.

(Wchodzi dwunastu starców ze złotymi harfami).

Proszę was, przy ciemnej skale
Postawcie te harfy rzędem,
I powiedzcie, co się stało z Wenedów ludem

Lilla Weneda.

Czy mój ojciec i bracia moi jakim cudem
Wyrwali się od śmierci?

Harfiarz.

Starce, z takim pędem
Szlismy na górę, że nam w piersiach głos zamiera

Lilla Weneda.

O! wy nie chcecie mówić.

Harfiarz.

Niestety! Niestety!

Lilla Weneda.

O! bracia moi! O! mój drogi ojcie, gdzie ty?
Ci ludzie milczą... mój ojciec umiera!
O! wy nie macie litości.

Harfiarz.

Jak żadasz,

Abyśmy z trwogi już przyszli do siebie?

Lilla Weneda.

Starcel! ty na mnie. starce, tak spoglądasz
Jak na sierotę.

Harfiarz.

Na ziemi i w niebie

Lud nasz przeklęty... O! biada nam, biada!

Twój ojciec wzięty; rycerzy gromada

Otoczyła go, z harfą jego złotą.

Widzieliśmy to i, bladzi zgryzotą,

Rwaliśmy włosy... Bracia twoi wzięci.

Lilla Weneda.

Więc nie umarli?... o! mówcie mi jeszcze!...

Więc nie umarli?...

Roz a Weneda.

Nie — ale przekłcił.

Lilla Weneda.

O! nie mów tego! o! nie mów, przez litość!

Ja braci moich, ojca mego zbawię.

O! pobłogosław ty mi, sestro moja,

Ty smutna, byłaś mi wesołej matką
I wy mi, starzy ludzie, błogosławcie
Ale nie proście Boga o nic dla mnie,
Tylko o rozum i przebiegłe serce,
Abym zbawiła tych, co są w kajdanach
O! bądźcie zdrowi! nie troszczcie się o mnie;
Za mną jest każdy kwiat i każdy gołąb,
Co, biały jak ja, swą mnie siostrą mniema;
I ten jest za mną, co nad gołębiami
W nieba błękitnie jeszcze wyżej lata;
A gdy mię nazbyt przyciśnie nieszczęście,
Gotów odebrać gołębiowi skrzydła
I mnie dać skrzydła, bym od ludzi poszła.
Jeśli nie zbawię ojca, umrę młoda...
A wtenczas płaczcie wy młodej dziewczyny.

(Wychodzi).

Roza Weneda.

Nie czas żałować róż, gdy płoną lasy...
Cóż wy myślicie, harfiarze?

Harfiarze.

Wszystko stracone!

Roza Weneda.

Na jad węża, co w tej czarze
Karmi płomienie czerwone,
Zaklinam się wam, o! starzy,
Ze kości z pobożowiska
Wstana i będą walczyć w takt pieśniom harfiarzy.

Harfiarze.

Wstana i zgina raz drugi...

Roza Weneda.

I trzeci raz jeszcze zgina,
I przejdą po nich zapomnienia plugi,
I stokrocie się rozwiną
Na krwawym umarłych stepie;
I cóż!... czy płakać?!

Harfiarze.

Śluchaj, tam wrony zaczynają krakać

I wilcy gryzą śpiące na oszczepie
Ciała rycerzy.

Roza Weneda.

Za trzy dni sto piorunów uderzy
Tysiące się podniesie prawic;
Będzie okropna walka przy świetle błyskawic.
Żywi się pomieszają z umarłymi
I nikt ich nie rozbroni.
Wy umarłych poznacie po zapachu ziemi,
Po ognistym śladzie koni;
Lecz ci, co oko w oko spojrzą, nie poznają.

Harfiarze.

O! cud!... Harfy nasze grają
Rycerski śpiew.

Roza Weneda.

Te harfy uczuły krew
I drżą...

Harfiarze.

O! chodźmy tą pieśnią jak skrå
Ożywić ludy po siolach.

Roza Weneda.

Dębowe wieńce na czołach
A w ręku harfy złociste;
W piersiach serca bursztynowe,
Jak słońca złote i czyste;
A w ustach pieśni grobowe,
Co budzą narodów lwy;
To są harfiarzel to wy!

Harfiarze

Wlaś! nam ogień do łez...

Roza Weneda.

Ogień, nim we łzach ostygnie,
Dwanaście ludów podźwignie;
Za trzy dni wszystkiemu kres
Walka i zgon!

Harfiarze.

Nasze harfy tobie w tor
Odgrały smutnie!

Roza Weneda.

Uciszcie wy rękami rozplakane lutnik
Brońcie, by między ludzi ta pieśń nie wybiegła,
Brońcie, by grobu dusza ludu nie spostrzegła,
Brońcie, by lud nad sobą nie usłyszał płaczu:
Jeśli nie obronicie tego — potępieni!

Harfiarze.

Więc za trzy dni noc płomieni?..

Roza Weneda.

I noc okropności mściwa

I wiek haraczu...

Pół rycerzy od piorunów zginie, pół od miecza.

Wódz dwie głowy mieć będzie, jedna człowiecza,

Drugą głowę trupa, wódz mieć będzie.

Ja ostatnia zostanę żywa,

Ostatnia z czerwoną pochodnią:

I zakocham się w rycerzy popiołach.

I popioły mnie zapłodnią,

A swatami będą dęby z płomieniem na czołach,

A łóżem ślubnem będzie stos rycerzy.

Kto konając we mnie uwierzy,

Skona spokojny:

Ja go zemszczę lepiej od ognia i wojny,

Lepiej niż sto tysięcy wroga,

Lepiej od Boga...

Harfiarze.

Idźmy! wróżkę szaf porywa

(Wychodzą).

Roza Weneda.

O! wróżka! wróżka ludu nieszczęśliwa!

Ona ma serce... Lecz noc już... już ciemno!

Chodźmy umarłych palić... Duchy, ze mną! —

(Wchodzi).

A K T I.

SCENA I.

Pole nad Goptem.

Lech, Gwinona, Sygoń, Gryf (wchodzą zbrojni).

Lech.

Zapalić ognie na pobojuwisku.
I tu mi wzięte przyprowadzić jeńce.

Wchodzą Derwid (z harfą złotą w ręku), Lelum
i Polelum (w łańcuchach).

Sygoń.

Z ręki mu złotej harfy nie wydarto,
Jest to Wenedów król z dwoma synami.

Lech (do Derwida).

Cóż myślisz, starcze, o ludach zachodnich?
Wczora ty byłeś panem tej krainy,
Dzisiaj do ciebie nie należy głowa,
Która rządziła wczoraj tymi ludy.
Szaty na sobie teraz porozdzieraj,
Okup się, starcze, łyzy brylantowymi,
Bo ci czekaniem łeb roztrzaskam siwy. —

(Do Lelum i Polelum).

Cóż to szczekacie jak psy łańcuchami?
Cóż to, niedźwiedzie, uczcie się pokory!
Gdzie mój kat? — Ten mi człowiek plunął w oczy.
Ze ja małeńki, to on mną pogardza,

A wiem, że mego miecza nie udźwignie. —
Gwinono, patrzaj, jaki to lud rośli.
Ja komar, i krew z niego wycedziłem
I wycisnąłem w rękę jak cytrynę.
Jak się Czech dowie, to nie będzie wierzył.
Pośle mu tego starca w podarunku,
I tych dwu młodych pošle królewiców,
Niechaj porobi z nich obudwu psiarzy.

Gwinona.

Ja chcę usłyszeć ich głos. Każ, niech mówią

Lech.

Psy — łatwiej zmusić ich, aby jęczeli.

Gwinona.

Ta harfa musi być zaczarowana.

Lech.

Na Bogal prawdę mówisz, moja lwico.

Ta harfa musi być zaczarowana. —

Stary! czy w harfie twojej siedzi dyabeł,

Ze tak o nią dbasz?... Na Bogal to mruki!

My tu przed nimi jak na nitce wróble.

A oni patrzą z góry jak na frygi.

Gryfie, odprowadź ich do rzymskiej wieży.

Jak się wygłodzą, to głos odzyskają.

(Derwid, Lelum, Polelum wychodzą pod strażą).

To głuchoniemy jakiś lud, Gwinono,

I głuchoniemy król. Na koń! hej, na koń!

Ufundujemy na trupach królestwo.

(Wychodzą wszyscy)

SCENA II.

*Cela pustelnika podobna kształtem do wnętrza czaszki
olbrzymiej. W głębi obraz N. Panny na dnie złotem.*

Święty Gwalbert i Ślaz.

Święty Gwalbert.

Splamiłeś moje oczy, mości Ślazi,

Wlażłem za twoją poradą na sosnę —

Splamieś moje oczy krwi widokiem.
To sprawa dyabła, przybyłem nawracać,
A jacyś ludzie przybyli wycinać:
Wycieli prędzej niż ja nawróciłem;
Za to się trzeba aż do krwi biczować:
Mnie, jako panu, tobie, jako słudze,
A obu jako sługom Pana Boga.

Śl az.

Et fit voluntas tua.

Święty Gwalbert.

Tak, tak, Śl azie,
Et fit voluntas Tego, co na niebie.
A jednak szkoda, że ten lud wycięto,
Bo lud był dobry, choć nie chrześcijański.

Śl az.

Domine, wszyscy więc poszli do piekła?

Święty Gwalbert.

Ziemia przed krzyżem krwią czerwoną ściekła,
Z tej krwi wybuchnie płomień w kształcie krzyża.
Śmierć kruszy ciała, lecz wieczność przybliża.
Narody będą wkrótce okupione;
Widziałeś, Śl azie, komety czerwone
Z długimi chwościami, co tu wróżą zmianę,
Komety, co jak więdźmy rozczochrane,
Goniły za mną aż od Jeruzalem,
Groząc mi chłostą, krzyżem, albo palem.
Cóż mi zrobiły?—Kiedy będzie trzeba,
Te straszne gwiazdy palcem zetnę z nieba.
Bóg swemu słudze, za wiek długi trudów
Przerażających, da godzinę cudów.
Cóż mi ten mocarz, co tu krwawi lasy?
Nowy Faraon, wejdę z nim w zapasy,
Złamię i różdżkę ognistą otrupię;
A potem jedną łą gorącą kupię
Zywot dla niego wieczny i zbawienie.

Ślaz.

Domine, z czego, proszę, są promienie,
Które ty nosisz na głowie?

Święty Gwalbert.

Są ze mnie,

Z mojej wewnętrznej wiedzy i z anioła,
Co w ciele mojem pali się tajemnie.

Ślaz.

Myslałem, że te płomieniste koła
Są z włosów?

Święty Gwalbert.

Ergo nie byłyby z duszy?

Ślaz.

Domine, a kot kiedy się napuszy,
To mu tak iskry z włosów wylatują.

Święty Gwalbert.

Są ludzie głupi jak ty, co się trużą
Porównywaniem dwóch natur w stworzeniu

Ślaz.

Domine, wiara jest w mojem wątpieniu.

Święty Gwalbert.

Wątpienie z dyabła jest.

Ślaz.

Więc mię on szuka.

Święty Gwalbert

Obacz-no, Ślazię, ktoś do chaty stuka.

(Ślaz otwiera. Wchodzi Lilla Weneda.)

Lilla Weneda.

W imię Maryi.

Święty Gwalbert.

Patrzcie, to królewna,

To neofitka moja.—Cóż tak rzewna?

(Cóż tak spłakana? Cóřko, czemuś drżąca?)

Lilla Weneda.

Przyszłam do ciebie, mój ojcie, płacząc,

Mój ojciec, bracia moi są w niewoli;
Chcę ich ratować, lecz mi serce boli
A nie podaje żadnej mądrej rady.
Świat cały teraz dla mnie smutny, blady,
Za łez strumieniem nie widać mi słońca.
Ty mój poradnik jedyny, obrońca.
Nieszczęśliwego ojca mam w niewoli,
Braci w kajdanach.

Święty Gwalbert.

Cóż ja ci poradzę?

Lilla Weneda.

Już w ostatecznej się widzę niedoli.
Powiedz, o! powiedz, czy ten Lech ma władzę
Ojca mojego zabić?

Święty Gwalbert.

To człek srogi.

Lilla Weneda.

Powiedzże, czem są twoje wielkie Bogi,
Jeśli nie mogą mi dopomóc biednej?

Święty Gwalbert.

Bluźnisz, dziewczeczko, Bóg w osobie jednej.

Lilla Weneda.

O! ja wiem! ja wiem! ty mnie uczył długo,
Nie zapomniałam wcale twojej nauki;
Lecz teraz naucz, jak ocalić ojca.

Święty Gwalbert.

Gotowaś jest ślub czystości uczynić?

Lilla Weneda.

Mój ojczy, jeśli ten ojca wybawię,
Ja będę czystą jak marcowe śniegi,
Jak po moczarach białe konwalije,
Albo te kwiatki, co ze śniegu wstają
I brudnej ziemi nie widzą i giną.
Dosyć mi będzie, że mi starzec siwy
Pobłogosławi i obleje łzami.

Święty Gwalbert.

Zrób więc intencyą przed obrazem Matki

Boga na krzyżu... ukrzyżowanego.
Zrób jej ofiarę z dziewiczego serca.

Lilla Weneda.

Jakże mam mówić?... O! niebios Królowol
Oddaj mi ojca, a ja Ci dam siebie
Jako białego gołębia bez plamki,
I nie nie będę więcej pożądała,
I nie mię nigdy na świecie nie splami.

Święty Gwalbert.

Teraz, dziewczeczko, ona będzie z nami. —
Ślaz, daj mi kostur.—Gdzież obozem leży
Ten Lech?

Lilla Weneda.

On, ojczu, mieszka w rzymskiej wieży.

Święty Gwalbert.

Na stare nogi droga niedaleka.

(Święty Gwalbert i Lilla Weneda wychodzą).

Ślaz (sam).

Dyabeł mi każe służyć u człowieka.
Co mnie suchymi korzonkami głodzi.
Wychudłem jak szczep... człowiek się raz rodzi —
Pamiętaj o tem dobrze, mości Slazie,
Ześ się urodził... I raz się umiera —
Pamiętaj dobrze na to, mości Slazie,
Ze raz umiera i że się raz rodzi.
Ergo, ponieważ się już urodziłeś,
Więćże korzystaj z tego, mości Slazie.
Ergo więc, nogi za pas i w świat jasny!...
A zrób intencyą z czystości... A na co?
Czy masz w niewoli ojca, panie Slazie?
A jak się w tobie zakocha królowna
A ty w czystości jak w błocie po uszył—
Chciałbym coś znaleźć niepotrzebniejszego
I z tego zrobić votum panu Bogu,
Aby mi trochę sprzyjał na początek.—
Naprzykład, zróbmy votum z przywiązania
oq mego pana... ot i lżej na sercu...

A teraz niech tę celę biorą dyabli
Już niepotrzebna mi — niechaj się pali.
(Podkłada ogień pod ściany... i z zapalającej się celi wychodzi).

SCENA III.

Sala w rzymskiej wieży.

Lech i Gwinona (wchodzą).

Lech.

Cóż robić z tymi ludźmi żelaznymi?
Ulec mi nie chcą. Cóż robić, Gwinono?

Gwinona.

Rada jest moja, zbyć się ich na zawsze.

Lech.

Co?... pozabijać?

Gwinona.

Znów się wzdrygasz, mężu,
I w czynach boisz się ostateczności.
Dwa razy, przez tę naturę kobiecą,
Straciłeś kraje już podbite prawie;
Rycerzy ledwo ci zostaje garstka.
Ty zawsze ufasz w szczęście i fortunę
I w tę gorącość krwi, co ciebie rzuca
W niebezpieczeństwa: a nie myślisz o tem,
Ze mamy dzieci, które pójdą z torbą
I miecz ojcowski przedadzą za szeląg.
Jeśli ich w życiu nie postanowimy
Na dobrze, stale zbudowanym tronie.

Lech.

To wszystko prawda.

Gwinona.

Patrz na brata Uzecha:

Jemu się także ty oszukać dałeś,
To też postąpił z tobą jak z dzieciną:
Sam zabrał kraje we dwóch pokonane

A ciebie wysłał aż w północne lody.
Cóż, moja frygo z rozpalonej stali,
Kto cię pokreśli, choć dłoń sobie sparzy,
Kontent, bo ty się kręcisz za to długo.

Lech.

Widzę to czasem, że mnie oszukują.

Gwinona.

Kto z boku patrzy, ten to widzi zawsze.

Lech.

Cóż ty ze starym zamyślasz Derwidem?

Gwinona.

Co?—Zdaj to na mnie, sam idź do sokołów,
Ty dobry w boju i na polowaniu;
Ale gdy trzeba robić to, co nudzi,
To się ty wzdrygasz.—Ty masz lwią naturę
Albo spać... albo krew pić lubisz ciepłą.

Lech.

Ja to do siebie znam.

Gwinona.

Cóż, mój tygrysie!

Dajże na moją już odpowiedzialność
Tych jeńców... jeśli zrobię źle, wyłajesz.

(Lech daje znak, że zezwala i wychodzi).

Gryf, przyprowadzić mi tutaj Derwida.

(Derwid wchodzi jako więzień z harfą w rękę.—G r y f.)

Jeszcze mu z ręki harfy nie wydarto,
Wy się boicie wszyscy tego starca.

(Przystępuje do Derwida i chce mu harfę wyrwać. Derwid
podnosi harfę, jakby nią chciał uderzyć).

Derwid.

Precz!

Gwinona.

O! widzicie! on mię chciał uderzyć.
Nie zabijajcie go — ja z nim pomówię.
Człowieku! chcesz ty mnie nauczyć czarów?
Słyszałam, że ty masz w tej harfie ducha,
Który zgaduje przyszłość, czy to prawda?

Derwid.

Mam w harfie ducha, co zgaduje przyszłość.

Gwinona.

Każ mu wystąpić, niechaj go zobaczą.

Derwid.

Póki ja żyję, ten duch w harfie będzie.

Gwinona.

A jak ty umrzesz?

Derwid.

Do nieba uleci.

Gwinona.

Ja mogę ciebie dziś pozbawić życia.

Ja tego ducha widzieć chcę. Rycerze,

Przynieście jemu pić, niech się ożywi.

(Do Derwida).

Ty mi wywołasz z harfy tego ducha,

Inaczej—klnę się na Hekate i trzy

Starki, co w piekle krwawymi nożami

Nieć przecinają ludzkiego żywota,

Że zginiesz.

Derwid.

Nigdy! o! nigdy, piekielna!

Ty nie usłyszysz pieśni niewolnika,

Nigdy ta ręka od łańcuchów sina

Strun się nie dotknie! Nigdy moje oczy,

Łez nie wyleją, póki te łzy moje

Mogą posłużyć wam na wywołanie

Z ust okrwawionych serdecznego śmiechu

O! nie — nigdy wy z króla niewolnika

Nie uczynicie służalcą harfiarza.

Ta pieśń, co do krwi pędziła rycerze

I w miecze kładła dusze nieśmiertelne

I wściekлизną swą ducha ojczystego

Dawała mieczom ząb, co gryzł wam kości

I truł wam rany, nie zabrzmi w niewoli

Możecie wy tę harfę wziąć i rzucić

W ogień i ogrzać przy niej ręce wasze,

I wasze trupie twarze rozczzerwienić;

Możecie spanić ja, ale nie zgwałcić.
O! spróbuj—połóż twe palce na strunach,
Czy wywołają z nich co więcej, niż dźwięk
Śmieszący ludzi? — I ty myślisz, że ja,
Gdy na mem sercu położysz twe szpony,
Poddam się palcom targającym żyły
I z mego jęku zrobię pieśń?—O! jedź!
Ty myślisz, że ja, gdy dziś jeszcze z góry
Widziałem lud mój, co jak jeden człowiek,
O! nie, jak jeden trup leżał na polu,
Myślisz, że takim okropnym widokiem
Rozhartowany będę i pokorny?
Spróbuj, czy ze mnie co więcej wyciśniesz
Nad krew, co będzie przeciw tobie świadczyć
Przed mymi ludy... Nie, ja nie mam ludu!...
Lecz po narodach już wymordowanych
Jeszcze zostaje jakaś moc, przed którą
Ty musisz bladnąć, i ciągle twe lica
Strupiałe nową krwią farbować musisz:
Weźże krew moją do twej gotowalni,
Czarna kobieto, i co dnia jagody
Czerwien krwią moją, aby cię mąż kochał
I nie zobaczył, że masz krew zieloną.

Gwinona.

Skończyłeś, starcze?

Derwid.

Nie jeszcze! nie jeszcze!

Ja czuję w sercu jakąś moc zabójczą,
Która mym słowom da moc zabijania,
I ciebie mi tu da za niewolnice,
I z twego trupa mnie pokonanemu
Tron nowy zrobi. Stój tu! ja ci łono
Osuszę, pierś napelnę popiołem,
W żywot nasypię gadzin. — O! gdybyś ty
Była kobieta — gorzej niż to wszystko,
Bo bym ci oczy twe napełnił łzami,
Opowiadając ci moje nieszczęście.
Ale ty jesteś nie z tych, które walczą.
Ciebie zabijać trzeba przekleństwami;
I piekło całe zakląć przeciw tobie,
Ażby piekło całe było w tobie.

Gwinona.

Ten starzec śmierci chce. Wydrzeć mu oczy.

Derwid.

Czekaj, niech jeszcze raz spojrzę na ciebie
Tymi oczyma, co będą wydarte.

Gwinona.

Precz z nim.

Derwid.

Przez oczy moje wylupione
Niechaj na ciebie patrzy Bóg.
(Żołnierze wyprowadzają Derwida).
Gwinona.

To dziwnie.

Te oczy siwe ze srebrnymi rzęsy
Serce mi do krwi ugryzły... Mój Gryfie,
Zawołaj mi tu Kraka i Arfona,
Niech się z tą złotą harfą przyjdą bawić.
A najmłodszemu Gwinonkowi zanieść
Oczy wydarte, niech z nimi poigra.

(Wchodzi święty Gwalbert — Lilla Weneda).

Święty Gwalbert.

Czy tu znajome jest Chrystusa imię?

Gwinona.

Cóż to za człowiek? czemu tu wpuszczony?

Święty Gwalbert.

Straż twoja cudem pokonana drżemie.

Gwinona.

Ty jak Hekate masz księżyc czerwony
Na siwych włosach. — Co to jest za człowiek?

Święty Gwalbert.

Ja ciemne chmury zdzieram z ludzkich powiek
I światło niosę dla duszy słoneczne,
Ja ludziom biednym daję życie wieczne.
Ktokolwiek jesteś, schył przedenną głowę.

Gwinona.

Jakiś czarownik.

Lilla Weneda (do świętego Gwalberta).

O! panie, mów za mną.

Święty Gwalbert.

Przyszędłem tutaj w imię Boga mego

O pogwałconych ludzi się upomnieć.

Oto jest córka króla tej krainy,

Która ma braci i ojca w niewoli

I przyszła prosić za nimi.

Lilla Weneda.

O! pani,

Ja przyszedłam prosić za ojcem i braćmi.

Nie patrz ty na mnie srogo — ja pokorna.

Ja przyszedłam twoje nogi rosić łzami,

Ja będę za to twoją sługą; będę

Plótno twe bielić, twoje krwi doić,

Twoje szpaki takich nauczę wyrazów,

Że w dzień i w nocy będą dziękowały

Za moich braci, za mojego ojca.

Ja z moich oczu ci zrobię zwierciadła,

W których się będziesz ty widziała piękna,

Wesoła, dobrą i pełną litości;

I sama siebie, widząc, będziesz kochać;

A ja cię więcej jeszcze będę kochać,

Niż się ty możesz kochać sama siebie.

Gwinona.

Za późno przyszłaś.

Lilla Weneda.

O! nie mów! o! nie mów!

Ja tu leciałam jak gołąb do dzieci.

I gdyby nie ten stary człowiek, pani,

Jużbym tu była dawno zawieszona

Na szyi mego ojca.—Gdzie mój ojciec?

(Derwid wchodzi z wylupionymi oczyma i podnosi ręce nad

Lillą Wenedą).

Derwid.

Puście mnie! krwią chcę ją widzieć i mózgiem.

Ona tu musi być. Tu, tu ją widzę —

O! bądź przekłeta!

Lilla Weneda.

Ojczel! to ja, ojczel.

Derwid.

Co? — To głos mojej córki, o! niebios! —
Ja córki mojej nie widzę.

Lilla Weneda.

Mój ojczel,

Tobie wydarto oczy! — Czy zupełnie?
Czy ty zupełnie mnie nie widzisz, ojczel?
Poczekaj, krew ci obetrę włosami,
I nigdy moich włosów nie obmyje;
Lecz je rozpuszczę do ziemi czerwone
I w tej koszuli okropnej uklękne
Skarżyć się Bogu. Ojczel nieszczęśliwy!
O! srodzy ludzie! o! ludzie okrutni!
Pani! ty jesteś niewinna? co — prawda?
Tego nie mogła uczynić kobieta?
Ty sama teraz cierpisz! — o! na Boga
Dajże mi teraz, pani, tego starca!
Wszakże ty widzisz, że on nie ma oczu,
Tylko te biedne moje dwie żrenice,
Które łez pełne. O! dajże mi teraz
Mego ślepego ojca.

Derwid.

Mój słowiku,

Cicho bądź! jedzy tej nie ruszaj.

(Do Gwiny).

A ty,

Wściekła kobiet! jeśli cię ten widok
Ślepego starca i córki, co widzi
Czerwone ojca swego oślepienie,
Dręczy? jeśli cię dręczy ta męczarnia?
A musi dręczyć, bo cóż ty zdobyłaś
Tem okrucieństwem prócz kilku perełek,
Co z oczu mojej córki upadają,
I kilku tych łez okropnych, co ciekna
Z mej próżnej czaszki. — Więc jeśli cię dręczy
Ta niemoc twoja, ta bezsilność twoja,

Spróbuj, czy moja cię śmierć nie uleczy
I tygrysięgo serca nie nakarmi.

Gwinona.

Pamiętaj, że ja mam cię zabić władzę.

Lilla Weneda.

Okrutna panie! nie, ty nie masz władzy!
O! nie, ty nie masz w sobie takiej władzy:
Ja ci powiadam z głębi rozdartego
Serca, że nie masz nad nim władzy żadnej.
Wymyśli trzy razy śmierć najokropniejszą —
Trzy razy wszystko wymyślił napróżno.

(Do świętego Gwalberta).

Nie prawdaż, starcze, że matka Chrystusa
Będzie mnie bronić razem z aniołami
I da zwycięstwo nad tą dumną, krwawą;
Trzy razy będę ojca zbawicielką,
A ty się spłonisz, żeś taka bezsilna.
Przeciw rozpaczy mojej ostatecznej.

Gwinona.

Dziwne wyzwanie! słyszeliście wszyscy,
Ta mnie dziewczyna wyzywa. — Już miałam
Oddać ci ojca, bo ten łachman stary
Stał mi się wcale niepotrzebny: teraz
O niego będą toczyć się turnieje.
Gryfie, weź starca, za włos jego siwy
Uwieś na drzewie, niech słońce go pali
I dziobią kruki; dla większej męczarni
Niech końcem stopy ziemi się dotyka.

Lilla Weneda.

Gdzie król? ja pójdę do króla ze skargą.

Gwinona.

Idź.

Święty Gwalbert.

Kłątwa Boga na tym krwawym domu.

(Wychodzą).

Chór (dwunastu harfarzy).

Oczy wydarło staremu królowi,

Pęka się córki bursztynowe serce,
A w naszą starą kość strach idzie mrowi,
Lecz nie lejemy łez, bo ci morderce
Gotowi ludom rzec: zwycięstwo nasz! —
Zwątpił o sobie lud! harfiarze płaczą!
Niech spojrzy w piersi wróg, niech patrzy w czasie,
Czasze nalane krwią, serca rozpaczą,
Z ust się wydiera krzyk o zemstę Boga,
Czekamy wszyscy, drżąc, na piorun z chmur —
A kiedy mileży niebo — śpiewa chór. —
A kiedy śpiewa chór — drży serce wroga!

A K T II.

SCENA I.

Pobojowisko, noc.

R o z a W e n e d a (w głębi pali kości rycerzy i śpiewa),
Ś l a z (wchodzi).

Ś l a z.

Dalibóg! trupów tu jak maku: głupcy!
Gdyby się spytał kto tych wszystkich durniów,
Dla czego teraz się nie mogą ruszyć?
Jeden odpowie: brak mi kawałeczek
Serca — a drugi: mam strzałkę maleńką
W mym pacierzowym ognie; i każdy
Miałby wymówkę; ze mną tak nie będzie.
Nie, ja do śmierci chcę żyć, a po śmierci
Będzie, jak Bóg chce i jak chce pan Gwalbert.
Cóż to za wiedźma przed stołem z płomieni
Trupich piszczeli ogniem oświecona?

R o z a W e n e d a.

Czar się nie robi — tu jest człowiek żywy.

Ś l a z.

Jezus Marya! gotowa mnie zabić.

Roza Weneda.

Wężu, kto jesteś?

Ślaz.

Umarły ze strachu.

Roza Weneda.

Gdzie idziesz?

Ślaz.

Wszędzie, gdzie każesz waćpani.

Roza Weneda.

Ja wiem, czem jesteś... ty będziesz zabójcą.
Mam tutaj sztylet.

Ślaz.

Jakaś waryatka!

Roza Weneda.

Przed tobą płynie krwi bolesnej rzeka,

Z tych trupów cieknie i płynie.

Za tą wodą dom człowieka,

Ten człowiek zginie;

Życie jest jego dla mnie jak psa życie.

Ty go zabić powinien.

Ślaz.

Ja?

Roza Weneda.

O świecie

Go zabijesz, idziesz po to.

Słuchaj! — jesteś złodziejem...

Ślaz.

Ja?

Roza Weneda.

I złota

Harfę ukradniesz mego ojca.

Ślaz.

Pięknie!

Roza Weneda.

I słuchaj, jeśli z bólu harfa jęknie.

Jeżeli jęknie, ojcu mojemu kradziona,
Ty ją utulisz w płaczu jak dziecko — i skona
Ojciec mój — ale harfa zwycięży narody!
Pamiętaj!

Śl az.

Dobrze.

R o z a W e n e d a.

Lub z głazem do wody

Rzuć się i toń, bo serce ci wydrę i oczy.

(Oddala się w głąb do płomieni).

Śl az.

Rozumiem, ukrąść harfę i zabić człowieka.

A to mi wcale piękna awantura!

Wylazła z trupów i z płomienia mąra

I mówi do mnie: Śl azie, jesteś zbójcą. —

Dziękuję pani, że tak dobrze trzymasz

O mojej cności. — A do mnie ta znówu:

Mój mości Śl azie, waśc jesteś złodziejem. —

Chciałem ją za to w pysk, a ona w ogień

Jak Salamandra; szukajże z nią ładul

Gdyby przynajmniej była powiedziała,

Czy mnie powieszą, jak będę złodziejem? —

Co teraz robić?... Widzę tam na górze

W złocistej zbroi nieboszczyka — pójdę,

Obedrę zbroję i na siebie włożę,

Może cokolwiek znajdę w niej odwagi.

(Wychodzi).

R o z a W e n e d a (śpiewa).

Trzaska w płomieniach kość,

W czaszkach się warzy mózg,

Tu kwiatów będzie dość

I lilijowych różg

Z kwiatami o! z białymi kwiatami!..

O! o! — o! o! —

Trupy moje! Trupy moje! Bóg z wami!

Ja palę trupy wciąż.

Tu mój kochanek był,

Do czaszki przylazł wąż,

I krew mu z oczu pił,
I do czaszki wlaź krwawymi ustami.
O! o! — o! o! —

Trupy mojej! Trupy mojej Bóg z wami!
(Oddała się — płomienie gasną).

Śl az (wchodzi w zbroi, sam).

Otóż ubrany jestem jak na święto.
Ta wiedźma wrzeszczy tu na całe gardło
A tu są ludzie, co chcą spać. Naprzykład
Ten obywatel, co mi dał tę zbroję
Chciał spać, musiałem dobić nieboraka.
Ergo ta wiedźma powiedziała prawdę;
Bo jeśli dobić — żyć nie mogącego,
Znaczy to samo, co odebrać życie:
Więc ja zabiłem... nie — tylko dobiłem!
Gdzież w przykazaniach boskich: nie dobijaj —
A gdyby nawet było w przykazaniach,
To ja nie wierzę w boskie przykazania
I tak... a jeszcze na moją obronę
Mógłbym przytoczyć, że mnie ten nieboszczyk
Prosił, abym go zrobił nieboszczykiem...
Tymi wyrazy... widzisz tu Salmona
Z połamanymi kośćmi — więc dobił!
Więc ja dobiłem go i rzecz skończona. —
A teraz pójdę w tej zbroi do Lecha;
I będę, jakbym przywędrował z Lechem,
Służyć u Lecha i zwać się szlachcicem

(Wychodzi).

SCENA II.

Sala w samku Lecha.

Lech i Sygoń.

Lech.

Więc ty widziałeś, jak mój Salmon zginął?
Opowiedz jego śmierć.

Sy goń.

Kiedy sie, Lechu,
Za ostatnimi Wenedy puściłeś
Na czarnym koniu, Salmon twój kochany,
Ujrzawszy wzgórze, na którym dwunastu
Stało Derwidów, z harfami złotymi,
Tak, że z tych starców i z harf pagórkowi
Była korona, rzucił się z dobytym
Mieczem na owo wzgórze Salmon młody,
I nie znajdując żadnego oporu,
Króla Derwida wziął za siwą brodę
I ciągnął z tronu kamiennego gwałtem:
Gdy oto nagle, harf złotych dwanaście,
Jako dwanaście siekier podniesionych,
Na hełm Salmona spadło... a jam słyszał
Jęk tego hełmu i jęk harf dwunastu...
Przybiegłem... wzgórze całe było puste,
A na niem leżał cichy trup Salmona.

Lech.

Na Boga! każda z tych harf mi odpowie
Życiem za życie mojego rycerza.

Sy goń.

Już się królowa zemściła na królu.

Lech.

I cóż?

Sy goń.

Kazała mu wylupić oczy

Lech.

Na Boga! mała kara, mała kara!
Psy! psy! psy! — zabić harfami rycerza.
Chciałbym ten kielich cały krwią napelnić...
Rycerz rozbity jak garnek, nie bronią
Ale harfami!... pful... zgroza. Sygonie,
Gdyby mi kiedy taka śmierć groziła,
Utnij mi głowę, zrąb mi głowę z karku.
(Wchodzi Lilla Weneda).

Cóż to za biała jakaś Wenedzianka?

Córka starego króla.

Sy goń.

Lech.

Tego starca,

Który mi zabił Salmona?

Sy goń.

Tak, panie.

Lech.

Czegoż odemnie ona chce?

Lilla Weneda.

Litości.

Lech.

Właśnie mi teraz z litości wystygło
Serce: twój ojciec jest mi jak wąż sprośny.
Młodocianego mi zabił rycerza.

Lilla Weneda.

Więc nie litosny bądź, lecz sprawiedliwy.
Ty ojcemu memu zabiłeś tysiące
Młodych rycerzy i przyjaciół starych:
A żona twoja mu nie zostawiła
Oczu, by płakał nad swoją niedolą.
Wyście mu wszystko wydarli! ach, wszystko!
Nawet pociechę, którą ma płaczący,
Przez odzawione oczy widzieć niebo,
Lub twarz człowieka, który nad nim płacze,
Lub lice córki, co chce być wesolą
I twarz umiła nadziei promieniem.
O! panie, wszystkoście mu już wydarli!
Wszystko prócz serca córki nieszczęśliwej.
Idź, Lechu... obacz go... a będziesz płakał!
Idź, Lechu!... on tam na twoim dziedzińcu
Za siwe, święte włosy przywiązany...
Głodny mój ojciec! cierpiący mój ojciec!
Idź, Lechu! obacz, co oni zrobili
Z moim nieszczęsnym ojcem... ty masz oczy:
Więc idź i obacz... a jeśli ty, Lechu,
Na taki widok nie będziesz litosnym,
To chyba jesteś, Lechu, nie człowiekiem.

Lech.

Sygonie, moja Gwinona się biesi,
Ona tu miarę przebrała.

Lilla Weneda.

O! panie,

Ona tam teraz przed wiszącym starcem
Do okrucieństwa zaprawia twe dzieci,
Ojca mego im nazywa królem,
A to małeństwo za matką świegoce:
Król, król, i w mego ojca oczy puste
Niegodziwymi rzuca kamyczkami.
O! idź ty, Lechu, i obacz tę zgrozę!
O! idź ty, Lechu, i skarż tę kobietę!
Ona ci psuje, Lechu, twoje dziatki,
Z tych dziattek będą potem królobójce,
Ty będziesz się bał, gdy cię nazwą królem,
Tak jak zwa dzisiaj ojca mego królem:
Król, król, jak kawki świegocą. O! Lechu,
Idź sam i obacz...

Lech.

Wszak nie ma w tem grzechu,
Sygonie, mojej miłej podciąć skrzydeł..
(Wychodzą).

Lilla Weneda.

On mi uwolni ojca z rąk straszylek..
(Wychodzi).

SCENA III.

*Dziedziniec zamkowy. Na jednej z bocznych ścian wi-
dać cień przywiązanego Derwida do gałęzi dębu.*

(Na przedzie sceny) Gwinona, Krak i Arfon.

Krak.

Mamo, ja nie chcę więcej tego starca
Bieć kamykami. On się już nie rusza.

Gwinona.

Krak, jak wyrośniesz, będzie z ciebie baba.

Krak.

Nie, mój braciszek Arfon będzie babą.
A ja rycerzem sławnym jak mój papa.

Gwinona.

Chcesz być rycerzem? a kiedyś kazała
Wziąć łuk i trafić w serce tego starca,
To skowytałeś jak psiątko: — nie, mamó,
Nie, ja żałuję dobrego staruszka. —
Wstydz się, czyżykiem jesteś nie chłopakiem.

Krak.

Cóż ten staruszek zrobił tobie, Gwina?

Gwinona.

Co? nie pamiętasz już, Krak, Salmona?
Salmona, co cię nieraz na rumaku
Sadzał i uczył harcować... ten stary
Zabił Salmona, Salmon już nie wróci.

Krak.

Ten stary zabił Salmona?

Gwinona.

A widzisz?

Już ręczki ściskasz w kufak, jużes gniewny...
Arfonie, daj łuk braciszкови... daj mu.
On lepiej strzela niż ty.

Arfon.

Ja sam trafię.

Gwinona.

Idź, baw się z harfą, daj łuk braciszкови.

(Dając Krakowi łuk).

Na, i mierz w serce, w serce — wiesz, gdzie serce?

Krak.

Wiem, mamó, bo mi teraz głośno puka.

(Mierzy z łuku w stronę, gdzie się znajduje męczony Der-
wid... Wchodzi Lech, Sygon i Lilla Weneda).

Lilla Weneda.

O! widzisz, panie, chcą mi zabić ojca.

Lech.

Gwinona, każ mu spuścić łuk, na Boga!
Bo go tu zetnę szablą jak makówkę,
Cóż to?... czy ojciec jest tu u was niczem?
Spuść łuk! bo łebek ci ukreczę... spuść łuk!

Gwinona.

Spuść łuk, mój Kraku, papa tobie każe...
Cóż to tak gniewny, mój człowieku? cóż to?

Lech.

Mam się nie gniewać? ja mam się nie gniewać,
Kiedy tu widzę moje własne dzieci
Uragające z niedoli królewskiej,
Jedzące mięso jak orlątka młode.
Cóż to? czy moje dzieci są chowane
Jak psy rzeźnika?... precz mi stąd, szczeniaki!

(Dzieci odchodzą)

Gwinona, dosyć już tych okropności.
Każ tego starca odwiązać.

Gwinona.

Ty panem,

Każ go odwiązać.

Lech.

Cóż to? jużes gniewna?

Gwinona.

O! dzień przeklęty, kiedym ja się dała
Uwieść przez ciebie z islandzkiego brzegu,
Abym tu była teraz niewolnicą
Twojego gniewu i niestałej żądz.
Lepiej mi było morze rozhukane
Poślubić, albo wulkan płomienisty,
Lub zostać Niksów albo Farfadetów
Małżonką: lepiej o! lepiej sto razy,
Niż teraz za mym ubogim rycerzem
Przez świat wędrować i znosić obelgi
I nie być pewną dnia, że mąż mię kocha.
Bo jakże kocha mnie ten lew ryczący?

Serce mi ciągle gryząc, albo głaszcząc
Dłonią żelazną—jakże mi pochlebia? —
Z rana pochlebia a wieczorem karci.
Jakże mi wierną miłość wynagradza?
Co mi da z rana, odbierze wieczorem;
Tak, że ja nie wiem, żoną ja czy sługą
Jestem u niego? miłą mu czy gorzką?
Szlachetną w jego myśli, albo podłą? —
O! jeśli tak ma być zawsze, o! Lechu!
To mię odegnaj i ja pójdę bosa
W te ciemne lasy wilkom i niedźwiedziom
Pochlebiać, łasić się, prosić o litość. —
Wstydzisz się; nie mi już nie odpowiadasz?
Bo ty szlachetny i wiesz, że mam słuszość
Dzisiaj mi dałeś w moc tego Derwida,
Pierwszy raz rzekłam: on mi przecie ufa!
A teraz muszę znów wyjść z omamienia.
Chodźcie tu wszyscy! patrzcie, jak Lech rycerz
Zonie danego dotrzymuje słowa.
Ja w słowie jego zaufana świecie
Na jego słowo dałam moje słowo:
Teraz on swoje święte słowo łamie;
A ja się muszę oszkalować sama
I zaprzysiężeń moich nie dotrzymać...
Chodź tu, dziewczyno! wyzwałas mnie dzisiaj
Na zakład, że trzy razy ojca twego
Wyrwiesz od śmierci — a ja ci przyrzekłam,
Ze twego ojca oddam ci, jeżeli
Trzy razy śmierci go wyrwiesz okropnej.
O! łatwo zakład ci wygrać z królową,
O której honor nie dba mąż i rycerz.
Ciesz się więc. — A ty, Lechu, tej dziewczeczki
Zdrowie pić będziesz moją krwią — ty znasz mnie!
Islandzką jestem królowną, pamiętaj!

Do obelg takich nieprzyzwyczajona.

(Chce odchodzić).

Lech.

Stój!

Gwinnona.

Idę z wieży się rzucić

Lech.

Kobietol

Gwinona.

Jak mię nie będzie, każesz z moich włosów
Porobić struny do twej harfy złotej,
I starzec ci ten będzie o mej śmierci
Grał... albo wicher islandzki przyleci
Z ojczystej mojej ziemi i na strunach
Położy usta przekleństwem wyjące.

Lech.

Za nadto jesteś teraz rozżalona,
Mówić nie można z tobą.

(Chce odchodzić).

Lilla Weneda (zatrzymując go)

O! mój panie.

Lech.

Czego odemnie chce ta wiedźma! wszyscy
Przeciwko mnie są.

Lilla Weneda.

Więc mój ojciec skona?

Lech.

Twój ojciec na śmierć zasłużył sto razy.
Niechaj rycerze go dokończą... i niech
Więcej nie słyszę o nim.

Lilla Weneda.

Achl okrutny!

Słuchajże teraz mnie, straszny człowieku!
Słuchajże teraz mnie, ty pani krwawa!
Ja tu wynajdę, aby wam nakarmić
Zemsty łaknące serca, taki sposób,
Taką wam straszną rzecz wynajdę myślą,
Taką rzecz powiem, że wy struchlejecie
Na samą pierwszą myśl tej okropności.
Słuchajcie tylko! słuchajcie! Ten starzec
Ma dzieci... dzieci te u was w niewoli,
Uwólcie macie synów tego starca w rękach:
Otóż wybierzcie z nich którego losem,

Dajcie mu w ręce topór wyostrzony,
Niech o sto kroków stanie i toporem
Rzuci na ojca... co? czy pozwalacie?

Gwinona.

Przywieść tu jenców.

Lilla Weneda.

Lecz, królu! lecz, królu!

Jeżeli brat mój rzuciwszy toporem
Starcowi tylko włos ustrzyże siwy:
O! patrzaj... ten włos, co tak przezroczysty
Jak błady gwiazdy błękitnej ogonek,
Pomiędzy drzewem a starego głową:
Jeżeli ten włos tylko mu ustrzyże,
To więźnie będą wolni... czy przyrzekasz?

Lech.

Ow, co rzecz taką robi, będzie wolnym.

Lilla Weneda.

Oba?

Lech.

Tak, oba...

Lilla Weneda.

I mój ojciec?

Gwinona.

Ojciec

Do mnie należy... zbaw go tak trzy razy
A będzie wolnym...

Lilla Weneda.

Ach! czyliż niedosyć

Raz tylko ojca tak zbawić, królowo!

(Wchodzi Lelum i Polelum. Oba łańcuchem złączeni, tak że
prawa pierwszego ręka do lewej ręki Polelum przykuta).

Gwinona.

Otóż są więźnie; mów, czy się podejmą?
Ty siostra, srogi targ zrobiłaś za nich.

Lilla Weneda.

O! mówcie do nich wy... ja cała drżąca.

Lech.

Jest wieść, że celnie rzucacie toporem.
Jeśli z was który o sto kroków rzuci
Topór na ojca i tak weń wymierzy,
Ze wiszącemu na drzewie za włosy
Starcowi tylko włos ustrzyże siwy:
To będzie wolny razem ze swym bratem.

Lilla Weneda.

Nie zechcą! oni nie zechcą!... Polelum,
Jedyny to jest dla ojca ratunek,
Ojciec na drzewie powieszony, skona,
Jeść mu nie dano ani pić... on skona!
On was nie widzi... wydarto mu oczy
Jeżeli topór mu roztrzaska głowę
Nie będzie widział, że to syn tak rzucił.
On śmierci swojej przed śmiercią nie ujrzy.
Jeżeli umrze... o śmierć nielitosną
Swego własnego syna nie posądzi...
Polelum... topór weź. Ojciec nie widzi.
Weź, tylko śmiało...

Polelum.

Daj.

Lilla Weneda.

Ale co nie rań.

Polelum.

I cóż mam robić?

Lech.

Psie! ty godzisz we mnie.

Polelum.

Mówisz, że trzeba godzić w mego ojca?

Lech.

Zgnijesz w kajdanach, jeśli nie posłuchasz.
(Polelum rzuca topór na ziemię)

Lelum.

Bracie, napróżno targasz się w łańcuchu
Niewolnikami jesteśmy, Polelum.
Pomyśl... ty dobrze władasz tym żelazem.
Gdyby nie serce w tobie, tobyś trafił;

Więc zatruj serce na chwilę i pomyśl,
Ze to nie w ojca włos uderzyć trzeba,
Lecz w łona ludzi tych, co będą czuli
Hańbę ze swego zwycięstwa nad nami...
Polelum! podnieś ten topór okropny;
Przykuty do mnie za twą lewą rękę
Tyś niewolnikiem mojej ręki prawej:
Ty cały jesteś moją ręką prawą;
Ty będziesz rzucał, a ja będę cierpiał...
Mamyż na wieki i my i nasz ojciec
Już pokonani być dola, i nigdy
Nigdy tym krwawym ludziom nie pokazać,
Co wreszcie może rozpacz niewolnika.
Polelum! zemsty!... Ja skonom w więzieniu.
Mnie trzeba słońca... tobie zemsty trzeba.
Ach! bądź odważny.

Polelum.

O! Bogi piekielne!

Z jednej mi strony brat cierpiący kona...
Tam ojciec nędzny... tu mi dają topór...
Co robić!

Lilla Weneda.

O! mój Polelum! o bracie!

Zbawisz nas wszystkich.

Polelum.

Daj topór. O! Boże!

Odwróćcie oczy, abym ja nie widział
Na waszych bladych twarzach przerażenia. —
Więc trzeba włosy te odciąć... te włosy...
Te siwe włosy?... Nie patrzcie wy na mnie,
Bo mi się oczy łzami ćmą. Okropnie!
Czy wy jesteście pewni, że mnie ojciec
Nie widzi... tylko czy jesteście pewni?

Lilla Weneda.

On ma wydarte oczy.

Polelum.

Przez błysnięcie

Mego topora utraciłby oczy,
Gdyby mu ludzie oczu nie wydarli.

Ach! dosyć było taką rzecz wymyśleć
A starzec by sam sobie wydarł oczy,
Aby nie patrzył na zabójcę syna.
O! do czegoż ty przyprowadzasz, Boże,
Człeka, co stracił ojczyznę!... O! patrzcie,
Ażeby teraz wyratować brata
Muszę być ojca mego męczennikiem.
Siostra mnie własna o zabójstwo prosi,
Ludzie z boleści mojej urągają.
O! przyjdź, godzino zemsty albo śmierci.

Gwinona.

Cóż to, więc nie masz odwagi?

Polelum.

Bezczelna!

Ja się odwagi mojej własnej boję...
Prowadźcie mnie tam, skąd mam rzucać topór.
O tem ciśnięciu strasliwym Weneda
Będzie wam śnić się...

(Prowadzą okutych razem braci na metę rzutu — zasłona
spada).

Chór (dwunastu harfarzy).

Niestety! niestety!

Gdzie sprawiedliwość boska? gdzie pioruny?
Syn na własnego ojca topór rzuca,
Niebo się całe ęmi krwawymi łuną,
Błyskawicowych chmur rzygnęły płuca
Piorunów deszcz okropny... świat się wzdryga!
Cóż będzie, jeśli topór w czaszce jęknie?
Topór, co w drżącej ręce syna miga:
O! synu! serce twe z boleści pęknie,
O! córko, ojca twego krew cię splami!
O! biada wam! o! biada, niewolnicy!
Mięsza się wasza krew z waszymi łzami,
Serca dajcie krew pod dziób orlicy,
Ona wyścieła gniazdo waszymi włosami.

O! niewolnicy!

Zemsta! zemsta! dopóki serce bije, zemsta!

A K T III.

SCENA I.

Sala w zamku Lecha.

Lech i Sygoń

Lech.

Poznałeś teraz Wenedów, Sygonie?
Wiesz, jak ciskają od oka toporem?
W uszach mi dzwoni okropne żelazo,
Ażem był jęknął trwogą zadławiony,
Gdy nad Derwida głową zobaczyłem
Drzazgi z żelaza rozsypane skrami.
Jużem się lękał, że w topora jęku
Zarąbanego starca jęk usłyszę:
Lecz nie, wyciągnął ręce i od drzewa
Jak widmo, z włosom równo odrąbanym,
Odstał; krwawymi łzami zapłakany,
Z obliczem pełnem boskiego uśmiechu...
Ach! czyn Weneda taki musi przeżyć
Nasze mogiły... Czy wiesz co? Sygonie,
Stań mi pod drzewem, stań mi tak na celu;
Niechaj na twoich włosach zaprobuję
Oka i miecza!

Sygoń.

Lechu, jestem łysy.

Lech.

Ty łysy, prawda, to sęk!—lecz ja muszę
Niedźwiedziom wydrzeć sławę pozyskaną;
Dziś spać nie mogłem; a kiedy nad rankiem
Zamknąłem oczy, to widmo Salmona
Jawiło mi się i mówiło do mnie
Samymi tylko urągowiskami.

(Słychać trąbkę rycerską).

Cóż to? czy słyszysz? słyszysz róg Salmona?

To Salmon trąbi przed zamkową bramą.
Jakże — mówiłeś mi, że Salmon zginął?

S y g o ń.

Klnę się na Boga, żem go widział trupem.

L e c h.

Ale to Salmon, patrz, stoi przed bramą.

S y g o ń.

Ten mi się rycerz zdaje trochę chudszy.

L e c h.

Stare masz oczy — nie poznajesz zbroi?

To Salmon... o! mój Salmon! — Chodź, to Salmon!

(Wychodzą).

SCENA II.

Sala taż sama.

Winona (wchodzi).

Co słyszę? Salmon zatrąbił... O! Boże!
Gdy ja tortury straszne wymyśliłam,
Aby się pomścić za niego — on żyje.
Także to pewna, że serce przywyka
Do konieczności, choć najokropniejszej,
I z jakiegokolwiek bądź rozpaczy nie chce
Powracać w przeszłą radość i z trupami
Powróconymi znów się zapoznawać;
Także to pewna, że osierocone
Przez zmarłych miejsca, gdy raz już są puste,
Muszą pozostać tak, dla niezmiennienia
Naszych nadziei, które jak pająki
Wnet zarabiają sieć, gdzie los przeleciał,
By w niej nie widzieć pustki i rozdarcia.
Zaczęłam się mścić za niego — on wraca.
Zemsta bez celu jest i bez przyczyny —
A już jest rzeczą zaczęta. Więc znowu
Do mego serca miłości nieczystej
Wraca gorący wąż na dawne miejsce,

I na wystygie miejsce znów powraca.
Trzeba więc wszystko rozpocząć na nowo
I nigdy nie być pewną końca, nigdy!

Lech, Ślaz (w zbroi, wniesiony na rękach rycerzy),
Sygoń

Sygoń.

Salmon! niech żyje Salmon!

Lech.

O! Gwionol!

Witajże ty go... przynieście puhary...
Kto dziś nie pije, z tym ja dojdę ładu? —
Jakżeś, Salmonie mój, uniknął śmierci?

Ślaz.

Zaraz opowiem, tylko mnie postawcie
Na moje nogi, na me własne nogi.
Tak, jestem Salmon, Salmon bez wątpienia,
Zaczarowany Salmon, lepszy Salmon
Niż tamten Salmon nie zaczarowany:
Jestem Salmona dusza w innem ciele.

Lech.

Odsłońże hełmu, niechaj cię zobaczę...

Ślaz.

O ba!—mój także hełm zaczarowany:
Jakem się zamknął w nim, tak dotąd siedzę...
Przekłeta klatka!

Lech.

Co mówisz?

Ślaz.

Niech zginę,

Jeżeli kłamię. Nie ja w hełmie chodzę,
Ale hełm ze mną włości się po świecie
I będzie trzymał, aż mu się spodoba
Uwolnić moją głowę, aby jąda.
Ten hełm jeść nie chce i ust nie otwiera;
Przekłeta, dyabła machina, panowie,
Na ogłodzenie człowieka.

Gwinona.

Rycerze!

Zrabcie mu głowę z karku, to nie Salmon

Śl az.

Przysięgam! mości panowie, ja Salmon

Gwinona.

Salmon zabity był wczora.

Śl az.

Ja wczora

Byłem zabity, do śmierci zabity. —

Nie dobywajcie mieczów, moSPANOWIE,

Bo jak mnie teraz zabijecie, to już

Gotówem nigdy nie żyć. Zabijanie

To na raz sztuka; raz mi się udało,

Drugi raz może mi się już nie uda

Chodzić po śmierci.

Lech.

Cóż więc? jesteś duchem.

Śl az.

Schowajcie miecze a powiem czem jestem.

Lech.

Jeśliś nie Salmon—to śmierć!

Śl az.

Jestem Salmon.

Lech.

Więc mów jak Salmon.

Śl az.

Otóż to jest sztuka

Mówić jak Salmon zaczarowanemu.

Lech.

Któż to na ciebie rzucił takie czary?

Śl az.

Kto?—Wczoraj martwy leżałem na polu;

Wtem jakaś wiedźma, co paliła trupy,

Przyszła i wzięła mię za nogi; to nic.

Ja byłem martwy, nie mówiłem słowa:

Aż mię ta straszna olbrzymka dla tego,
Że byłem martwy, chciała rzucić w ogień;
Więc ja zacząłem krzycheć... więc ta wiedźma
Puściła moje nogi, więc ja wstałem —
Więc ona gniewna, że ja nie umarłem,
Zaczarowała mnie: wyjęła oczy,
I dała inne oczy na pamiątkę,
Oczy wydarte z kota, szare, kocie,
Przez które zaraz zobaczyłem w nocy,
Że mi już także nosa odmieniła,
I bocianowi wzięwszy dziób, przypięła
Do mojej twarzy, pomiędzy oczyma;
Więc zaraz, wstydząc się takiego nosa,
Spuściłem na nos przyłbicę... więc potem
Chciałem odemknąć, aż moja przyłbica
Nie chciała; i tak — szlachetni rycerze,
Jeżeli teraz chcecie się przekonać,
Jak ja okropnie jestem odmieniony
Czarami wiedźmy tej, to z łaski waszej
Przyłbicę mi tę otwórzcie.

Gwinona (otwierając hełm Ślaza).

O nieba!

Ślaz.

No, cóż? i jakże wy mnie znajdujecie?

Gwinona.

Straszydło chude!

Ślaz.

Co chude, to chude!

Mój pan już na mnie został anatomem

Gwinona.

O jakim panu ty mówisz?

Ślaz.

O jakim?

O Panu Bogu.

Lech.

Ale ci ta wiedźma

Mężnego serca nie zaczarowała?

Śl a z.

Serca?—to byloby już bez potrzeby
Czarować serce; i cóż? — czy nie dosyć
Takiego nosa?

L e c h.

Tyś był najpiękniejszy
Z moich rycerzy; dziś brzydki straszliwie.

Śl a z.

Tylko mi dajcie jeść a obaczycie,
Ze jak utyje, to nie będę szpetnym.

L e c h.

Oby ci pierwszą Bóg przywrócił postać.
(Wychodzą wszyscy prócz Gwinony).

G w i n o n a.

To jakiś oszust w Salmona zbroicy.
O! jak rycerze są ci łatwowierni!
Najmniejsze kłamstwo, a już ich oszuka;
A choć szychową nie zobacza, nie chce
Wyciągnąć kłębka, jedni przez lenistwo,
Drudzy widzący w tem może pożytek,
Albo zabawę; i tak oszukani
Potem przez dobroć rosnąć pozwalają
Fałszu krzewinie, wstydząc się za ludzi,
Którzy się wstydzić powinni.—O! głupi
Lud z rąk rycerskich i z głów nie myślących;
Któremu chciałabym wlać moją twardość,
Inaczej... pierwsza burza... a już po nich.
Pokażę im myśl skierowaną wiecznie
Jako sztyletu ostrze w serce wroga;
Pokażę, co to jest kobieca wola,
Jaka głuchota na postronne jęki,
Jakie wlepienie oczu w samo łono
Raz przedsięwziętej rzeczy być powinno.
Jeśli niczego nie nauczę — biada!

(Wychodzi).

SCENA III.

Pole przy lesie.

Lilla Weneda, Lelum i Polelum (w łańcuchach).

Lilla Weneda.

Wolni jesteście. Niech Roza Weneda
Rozerwie wam te na rękach łańcuchy,
A ja do ojca idę niewolnika.
Za trzy dni ojca wam żywego wrócę. —
Lelum, ja byłam twoją narzeczoną,
Dziś jestem smutnej śmierci narzeczoną,
I może więcej nigdy nie powrócę,
I może nigdy się nie zobaczymy:
Pamiętaj o mnie o! pamiętaj o mnie!
Ja cię kochałam jako siostra twoja,
Ja cię kochałam jak wierna kochanka,
Dzisiaj cię Kocham jak ta, co ma umrzeć.
Pamiętasz, jak my dziećmi małykami
Z obu stron ojca harfy ukłęknieli,
Przez złote struny dawaliśmy sobie
Pocałowania; dziwiąc się, że każdy
Nasz pocałunek strun się kończył jękiem;
Była to dziwna losu przepowiednia!
Cóż teraz myślisz o tym harfy jęku?

Lelum.

Jeżeli śmierci masz wczesnej przeczucie,
Chodź, przedśmiertelne weź pocałowanie.

Lilla Weneda.

Harfa naszego ojca jest w niewoli,
A ja nie jestem jeszcze zaślubioną,
Ust moich ci dać nie mogę płonących.

Lelum.

Więc rozpuść, Lillo, twoje złote włosy,
Schowaj się za nie, jako za strunami

Harfy ojcowskiej... niechaj przez warkocz
Twych koralowych ust dotknę ustami...

Lilla Weneda

O! nie, jak prosty gołąb ja się rzucę
Na wasze łono... kochajcie mnie, bracia,
Bo mi na świecie źle, ciemno i smutno...
Lecz to zwyczajna powieść — bądźcie zdrowi.
Jeśli zapyta o mnie jakie echo,
Mówcie: umarła.

(Odchodzi).

Lelum.

Bracie mój! słyszałeś?

Ona ma umrzeć...

Polelum.

Cale piekło we mnie.
Nie więcej czułem, gdy topór okropny
Kręciłem w rękę przeciw ojca głowie,
Jak teraz, słysząc wasze szezebiotanie,
Dzieci niedoli. Nie martw się, za trzy dni
Wszyscy będziemy niczem.

Lelum.

O! Polelum,

Ty po mnie żywy zostaniesz.

Polelum.

Po tobie?

Lelum.

Dla tego ciebie tak nazwała wróżka:
Gdy Lelum skona, żyć będziesz po Lelum

Polelum.

Ja zadam kłamstwo wróżbie... ja nie będę
Z waszymi groby żył w kraju niewoli,
Świadcę się toba, słońce, jeśli kiedy
Ujrzysz mnie żywym na brata kurhanie,
To natęż tak twe oczy, światła Boże,
Aż mi zapalisz włos na tej bezwstydnej
Głowie, co mogła wszystko, wszystkich przeżyć.
Próżno los wróży, że będę ostatnim,
Ostatnią będzie tu jaka kobieta,

Albo rzecz jaka żywa jeszcze słabsza,
Monstrum, któremu Bóg nie dał w rozpacz
Władzy skonania — to będzie ostatniem.
Słońce zapłoni się, jakby zhańbione,
Ze nie ma komu świecić, tylko gadom
I tym, co umrzeć jak ludzie nie śmieli.
Chodź! wróżka powie nam, jak mamy skonać.
(Wychodzą).

SCENA IV.

Sala w zamku Lecha.

Gwiona, Rycerze, Lech.

Gwiona.

Tak być nie może, nie, tak być nie może.
Z tym starcem trzeba skończyć... przyprowadźcie
Króla Derwida, i z mego pokoju
Przynieście harfę. Kłnę się wam na duszę,
Ze ta dziewczyna cierpi pomieszanie;
Lub pomieszanie cierpi lub fałszywa;
A w jej białości tyle jest kolorów
Jako na szyi gołębia... harfiarka!
Dumna, że czoło mi stawia... żebraczka!
Otóż mój człowiek.

(Derwid, wprowadzony przez rycerzy, staje przed królową,
przy nim stawiają harfę).

Postawcie go tutaj,

Bliżej przy harfie postawcie. Człowieku!
Widzisz, że wolę mam żelazną... słuchaj:
Błysnął ci topór synowski nad głową,
Ale miał litość nad tobą i synem
I tylko trochę urąbał warkocza,
A głowę dla mnie zostawił nietkniętą...
Widzę w tem jednak czarodziejską sprawę;
Topory wasze muszą mieć na ostrzu
Synowskie oczy; harfy — córek serca;
Ta harfa twoja dzisiaj postawiona
Przy łożu mojem o każdej godzinie

Nocnej budziła mię jękiem bolesnym,
Choć nawet wicher nocy ją nie tracił.
Ani się ciche dotknęły motyle.
Naucz mnie twego czarodziejstwa, powiedz,
Jak wy nieżywe rzeczy czarujecie?
A z córki twojej uczynię królowę,
Synowi memu starszemu zaślubię,
Ty będziesz teściem królewica. I cóż?

Derwid.

Harfa jęczała!... co mówisz, jęczała?
Przy tobie stojąc jęczała?

Gwinona.

Cóż, starcze?

Derwid.

Kto słyszał harfy jęk, we trzy dni skona.

Gwinona.

Szalony starzec! śmiercią mi zagraża?

Derwid.

Ty, ty za trzy dni umrzesz...

Gwinona.

Ha?

Derwid.

Słyszałaś.

Gwinona.

Nędzarzu!

Derwid.

Trumno!...

Gwinona.

Nieszczęsny!

Derwid.

Śmiertelna!...

Gwinona.

Mój niewolniku!

Derwid.

Królowo trzydniowa!

Gwinona.

Umar!...

Derwid.

Jak pies zachrypląs od krzyku.

Gwinona.

Śliny mam dosyć...

(Plwa na starca).

Derwid.

O! Bogi! o! Bogi!

Dajcie mi oczy moje, będę płakał...

Gwinona.

Ha! zczerwieniła ci się twarz, harfiarzu.

Derwid.

Tys mię oplwała krwią.

Gwinona.

Patrzcie, rycerze,

Ten człowiek królem był!...

Derwid.

Patrzcie, rycerze,

Oto gadzina ta — była kobietą!

Gwinona.

Człowiek ten kiedyś miał szacunek ludzki.

Derwid.

I ta kobieta miała niegdyś ojca...

Gwinona.

Proś w mego ojca imię, toć przebaczę.

Derwid.

W imię cię ojca potępiam, przeklinam,

I Bogom daję piekielnym za trzy dni...

Gwinona.

Za to, żem cię zabiła?

Derwid.

Że dręczysz.

Gwinona.

Ha! więc ty czujesz?

Derwid.

Ha! więc ty się cieszysz?

Gwinona.

Już nacieszyłam się, teraz zabije.

Derwid.

Ukąsisz tylko i umrę z wściekliczny.

Gwinona.

Lękasz się mego zęba?

Derwid.

Nie, choroby.

Gwinona.

Rycerze, proszę, zlitujcie się nad nim.
To człowiek biedny... to człowiek szalony.
Hartiarzu, klęknij!

Derwid.

Rzuć tu na podłogę

Twe czarne serce, pod moje kolana.

Gwinona.

Nudzi mię kłótniarz ten... Daj mu policzek.

Derwid.

Stój! splamisz ręce, ja mam twarz oplwaną.

Gwinona.

Cóż to, ja sama mam bić tego króla?

Masz!

(Uderza go).

Derwid.

Nikczemnico! niech cię Bóg obali.

O! serce moje! o!

(Mdleje).

Gwinona.

Wynieście trupa

I rzućcie węzom.

(Rycerze wynoszą Derwida).

Gryfie! ty dopilnuj.

Niech do węzowej wieży rzuca starca.

(Gryf wychodzi).

Głupie, bez serca rycerstwo patrzyło,
Gdy we mnie wzbierał gniew; kiedym ja wrzała.

To stali cicho, jak uliczne chłopey,
Sykaniem szczwając psa mojego gniewu.
Milczeli wszyscy. Gdyby tylko jeden
Na starca słowem uderzył gryzącem
I mej bezsilnej, kobiecej wściekłości
Przyszedt z pomocą, byłabym ostygła.
Lecz nie, milczeli; a jam się rzuciła
W przepaść wściekłości, rozkoronowana,
Znienawidzona i nienawidząca;
Z całego serca ich nienawidząca!

(Lilla Weneda wchodzi).

Lilla Weneda.

Pani! gdzie ojca mego niosa?

Gwinona.

Na śmierć.

Lilla Weneda.

Powiedz, na jaką śmierć ty go skazałaś?

Gwinona.

Kazałam rzucić na pożarcie węzom.

Lilla Weneda.

Węzom?!

Gwinona.

Spojrzałam wczoraj w jedną wieżę,
Która przy zamku stoi zrujnowana;
Spojrzałam: z gadzin okropne powoje —
Błyszczące, pełne ślin, pną się na ściany;
A w głębokości gniazda węzów leżą,
Błyskają oczy, wiją się ogony,
I ciągle słyszeć świst, sykanie, gwary,
Jak w garnku wracym. Tam, w ciemność okropną,
W tę sykającą ciemność, w to węzowe
Błoto, w ten straszny ul kazałam rzucić
Twojego ojca.

Lilla Weneda.

O! Boże! o! Boże!

Mój ojciec węzom jest rzucony głodnym?
Węże nie będą mieć nad nim litości!
O! więc mi skonać!

Gwinona.

I cóż, gołębico?

Żadnego teraz ratunku, wybiegu,
Tu nie pomoże topór twego brata,
Tu nie pomogą twoje łzy: — pożarty
I rozszarpany między gadzinami
Twój stary ojciec.

Liila Weneda.

Ta harfa go zbawi.

(Chwyta za harfę i wybiega).

Gwinona.

Harfa... Idź z Bogiem, waryatko smętna,
Czego dokążesz harfą uzbrojona
Przeciwko zemście węzów i kobiety?
(Wychodzi).

SCENA V.

Sala taż sama.

Lech i Sygoń (wchodzą).

Lech.

Sygonie, człowiek ten nie jest Salmonem.
Przy uczcie jeden dał mu w łeb talerzem.
Ten człowiek, widząc krew ciekącą z czoła,
Zawołał: octu! — Gdyby to był Salmon,
Byłby zawołał: szabli. Wiesz, co myślę?
Już postawiłem go na straży w bramie,
Zmieniwszy broję, razem nań wpadniemy:
Jeżeli, zamiast bronić się jak Salmon,
Będzie o życie błagał na kolanach,
Każę go jak psa powiesić i ściwczyć.
(Goniec wchodzi).

Goniec.

Lechu! nowiny są okropne z pola.
Wenedy znów się rzucają do broni.

Lechon, najstarszy twój syn, zostawiony
Na drugiej stronie Gopla ze stu ludźmi,
Wzięty w niewolę.

Lech.

Nie mówić Gwinonie!

Ona miłuje bardzo tego syna.
Każ ostrzyć miecze i naprawiać tarcze,
W ostatniej walce dzidami poklute...
To dobrze, mój Sygonie. Bój zaczęty...
O! syn mój biedny!... Ale te psy wściekłe
Nie będą śmieli jeńca zamordować?
Nie mówić tylko nie o tem Gwinonie,
Syna odbiję, nim się ona dowie.

Goniec.

Różne biegają straszne przepowiednie
O przyszłej walce między Wenedami;
Wszystkie te wróżby sieje czarownica
Młoda i piękna, co na lysej górze
Ma wykopany loch, podobny gniazdom
Rzecznych jaskółek.

Lech.

Cóż za wróżby, powiedz?

Goniec.

Mówią, że wódz ich będzie miał dwie głowy,
Dwa serca, oczu czworo płomienistych,
Lecz jeden tylko oszczep, jedną tarczę.

Lech.

Na Boga! ja mu odetnę dwie głowy,
Ja mu rozrąbię tą szablą dwa serca;
Lepiejby wyszli, gdyby miał dwie tarcze
I dwa oszczepy, a mózg tylko jeden.

Goniec.

Mówią, że walka będzie oświecona
Błyskawicami.

Lech.

Dobrze, będzie widno.

Goniec.

Ta czarownica z góry zapowiada,

Że po tej walce, martwych popiołami
Nakryta, za rok porodzi mściciela.

Lech.

To przepowiednia nie dla mnie, nie dla mnie...
Nim ten popielnik wyrośnie ohydny,
Ja będę w grobie, a mój syn na tronie.
Ale to wszystko są na dzieci strachy,
I wódz ten z dwoma głowami i mściciel.
Dosyć już ciemno, dosyć już tych bredni!
Bić się będziemy i to jest najlepsza...
Chodźmy Salmona wypróbować męstwo.
(Wychodzą).

SCENA VI.

Dziedziniec w zamku Lecha. — Noc.

Ślacz (na straży przy bramie).

Trzeba Salmonstwo to skończyć... dalibóg!
Salmonstwo moje bardzo niebezpieczne
I różnych rzeczy wymaga; na przykład:
Odwagi. Gdybym wiedział, że ze zbroją
Spadają na mnie takie obligacye,
Byłbym nie tykał jej... ani tych rzeczy,
Które rycerza są. — Co widzę? Chryste!
Pan mój, dawniejszy prosto w bramę dąży.
Wyda się kłamstwo... po radę do głowy...
(Słychać stukanie do drzwi. — Ślacz otwiera drzwi i ujrzawszy
świętego Gwalberta, zatrzymuje go halabardą u wejścia).
Ktoś ty?

Święty Gwalbert.

Domowi temu niosę pokój.

Ślacz.

A więc nie wejdiesz, my żyjemy z wojny.

Święty Gwalbert.

Puść mię do Lecha, puść, mężny rycerzu,
Niech cię *Spiritus Sanctus*... O! pohanceł!

Mówię ci, puść mię, bo ci spadnie głowa.
Ty się wielkiemu sprzeciwiasz cudowi:
Dziś nad jeziorem, równa gołębiowi
Białością, cała powietrzem tęczowa,
Z gwiazdy sinymi, Matka Chrystusowa
Pokazała się — uklakłem, a ona:
Idź, bo stary Derwid kona,
Córka jego, mój gołąbek,
Z bólu umiera.

Tak mówiąc, w tęczy się rąbek
Owinęła postać święta,
I uniosła ją anielska sfera
Z tęczą, z gwiazdami, z tysiącem promieni.

Ślaz.

Czemuś nieabrał tych gwiazd do kieszeni,
Mógłbyś zapłacić teraz odźwiernemu.

Święty Gwalbert.

Zapłacić? święci nie nie płacą.

Ślaz.

Czemu.

Święty Gwalbert.

Bóg daje wszystko temu, kto jest z Bogiem. —
Ale nie trzymaj mnie przed zamku progiem,
Twój upór służy mego przypomina.

Ślaz.

Co to za człowiek był?

Święty Gwalbert.

At, łajdaczynal

Ślaz.

Gdzież jest?

Święty Gwalbert.

Już teraz dyabeł wziął do piekła

Ślaz.

Już w piekle?

Święty Gwalbert.

W piekle.

Ślaz.

Hum... dobra nowina.

Święty Gwalbert.

Miałem łajdaka sługę, skradł mi wszystko
I spalił czaszkę wielkiego olbrzyma,
Z której ja sobie uczyniłem celę:
Tak, że w tej czaszce, gdzie niegdyś mieszkali
Bogi Walhalli, teraz się świeciła
Czystość dziewicza w gwiaździstej koronie
I odzywała się czysta modlitwa.

Ślaz.

To jakiś sługa niewierny!

Święty Gwalbert.

Bies sługa!

Teraz ja myślę, że to sam Lucyfer
Podjął się u mnie służby i oszukał.
Lecz nie przełamie dyabeł mocy Boga,
Ani piekielne pokusy przemoga. —
Jeżeli jeszcze ten dyabeł bezwstydnym
Jest w ludzkiej skórze, to pod dyscypliną...
Lecz zdaje mi się, że to nie był dyabeł,
Rycerzu, on był na dyabła za głupi.

Ślaz (na stronie).

Wolałbym, żeby trzymał się być o mnie
Pierwszej opinii. — Ach! Ach! myśl szczęśliwa!
Przemienię tego siwosza w Salmona.

(Głośno).

Chodź tu, staruszkule święty!

Święty Gwalbert.

Dzięki Bogu,

Poganin zaczął już przeziierać w światło.
Nazwał mnie świętym — do chrztu niedaleko.

Ślaz (na stronie).

Ja ciebie ochrzczę, dalibóg, że ochrzczę!
Usalmonuję ciebie.

(Głośno).

Przewielebny,

Już noc, Lech teraz spi.

Święty Gwalbert.

Pokaż mi drogę,

Ja go obudzę.

Ślacz.

Pomyśl!—to lew srogi,
Gotów się rzucić na ciebie i pożreć.

Święty Gwalbert.

Więc mi to będzie wieniec męczennika.

Ślacz.

Staruszk, ty masz oczy bazyliuszka
W świętym czerepie, mnie oczarowałeś.
Już gotów jestem zaraz zejść ze straży,
Choć za to można jak nie zgubić głowy,
Lecz na usługi twoje jestem gotów.

Święty Gwalbert.

Uczyń to, uczyń, a nagroda w niebie.

Ślacz.

Więc mi oddadzą w niebie moją głowę?
Ja wcale innej nie żądam nagrody,
Ja moją głowę bardzo kocham, cenię;
Jeśli przyrzekasz, że jak głowę stracę,
To ją odzyskam, pójdę budzić Lecha.

Święty Gwalbert.

Przeczuwasz prawie święte pismo Boże.
Kto tutaj, mówi Chrystus, straci duszę,
A straci dla mnie, to duszę swą zyska.

Ślacz.

Ale nie Chrystus nie mówi o głowie?

Święty Gwalbert.

Głowa jest niczem, gdzie chodzi o duszę.

Ślacz.

Kiedy nie Chrystus nie mówi o głowie,
To dla mnie wcale nie ma bezpieczeństwa,
Ja wolę głowę niż duszę.

Święty Gwalbert.

Nędzniku!

Ja ci dowiodę, że światowe szczęście...

Śl a z.

Ty mi dowodzisz a twój Derwid ginie.
Lepiej-że moją zbroję weź na siebie
I postój za mnie na straży przy bramie,
To pójdę Lecha obudzę i wrócę.

Święty Gwalbert.

Rycerzu, daj mi zbroję i zbudź Lecha.

Śl a z.

Stój-że tu, stary—dzida w ręce prawej
Przeciwno wrogom, tak... hełm na łysinę.

(Na stronie).

A teraz-że mu zamknąłem przyłbicę.

Jeśli otworzy, będzie mądry.

(Głośno).

Stój tu...

Jeśli spytając: Kto? odpowiedz: Salmon.
Ja jestem Salmon... Za chwilę powrócę.

(Wykrada się za bramę zamku i ucieka).

Święty Gwalbert (w zbroi, chodząc wielkim
krokiem).

Więc że to, Boże, i w rycerskim stanie
Dobrzy są ludzie, dobrzy, choć poganie.
Otóż włożyłem rycerską kolczugę,
Najświętsza Panno, patrz na twego sługę.
Oto jak rycerz z pod twojego znaku,
Jak nowy olbrzym Gedeon w szyszaku.
Trąbą mi teraz tylko walić mury
I piorunować grzeszniki i króle.—
Cóż to za ludzie zbrojni z latarniami?

(Lech i Sygon, z latarniami, zbrojno).

Lech.

Tu był na straży Salmon.

Święty Gwalbert.

Jestem Salmon.

Lech.

Sygonie, patrzaj na tego człowieka.
Jeśli to Salmon, to się znów odmienił.
To jakiś możny jest czarownik.—Mówisz,

Ze jesteś Salmon; Salmon straci głowę,
Jeśli się wyda, że nie jesteś Salmon.

Święty Gwalbert.

O! nieba... jestem Salmon.

Lech.

Patrz no, Sygoń,

Włos mu wygląda siwy z pod szyszaka,
Króciutkie nogi w łapciach z pod puklerza,
To jakiś możny dyabeł, możny dyabeł.—
O! czarowniku, jeżeli ty Salmon,
Po śmierci w ciało ubrany dyabelskie,
To na kawałki potnę twoje ciało,
Aż dusza twoja w ogniu gorejąca
Nie będzie miała w co się ubrać... broń się!

(Napada z mieczem).

Święty Gwalbert.

O! panie! ja nie Salmon!

Lech.

Któż ty taki?

Święty Gwalbert.

Nazywają mnie powszechnie Gwalbertem,
Świętym Gwalbertem. Otwórzcie przyłbicę,
Bo ja nie umiem tej klatki otworzyć...

Lech.

To tak jak tamten. Wymówka ta sama.
Nędzniku, wzięłeś na się inną postać;
Przebiegły jesteś... włos ci czarny zbiegał;
Jam ciebie chudym widział przed godziną,
Teraz żołądek masz pełny, i może
Płonących węgla masz pełny żołądek.
Na Boga! czarów nie będę igraszką...
Do mnie, rycerze.

(Klaszcze. Wchodzi kilku rycerzy).

Weźcie tego dyabła. —

Sygoń, niech rzucą go węzom, do wieży.

Święty Gwalbert.

Święta Maryo! broń twojego sługi.

(Żołnierstwo wynosi świętego Gwalberta, który krzyczy i wyrwa się. Sygoń wychodzi za nimi. Na krzyk starca wbiega Gwinona).

Gwinona.

Co to jest za zgiełk? co to są za krzyki?

Lech.

Kazałem wężom rzucić czarownika.

Ten Salmon, żono, to był zły duch, mocny.

Gwinona.

Węże nie głodne, dziś jadły człowieka.

(Sygoń wraca).

Lech.

Sygoniel cóż to, powróciłeś blady?

Sygoń.

Paniel powracam z nad węzowej wieży.

Gwinona.

I tam widziałeś poszarpane członki

Człowieka, w paszczy węzowej trzeszczące?

I tam słyszałeś gadzin smętne świsty?

I tam widziałeś jęczącą dziewczynę,

Która nad straszną wieżą nachylona

Jak słowik, gdy się na węża zapatrzy,

Skrzydełek tylko lekkim trzepotaniem

Okazywała strach?

Sygoń.

Ja tam widziałem

Rzecz, która ludzkie przechodzi umysły.

Przy wieży biała księżycem dziewczica

Siedzi, na harfie grająca; a przy niej

W krag stoją węże tak wyprostowane,

Jak morska fala wzdęta nad dziewczyną:

Ona te węże czarodziejską pieśnią

Zaczarowane trzyma i spokojne;

Ale już widać, że jej białe ręce!

Mdleją na strunach, że się pieśń zakończy

Z życiem harfiarki w głodnych węzów paszczy.

Gwinona.

Więc wieża, gdzie ten stary człowiek?...

Sygoń.

Pusta.

5

Spoczywa w głębi i śpi Derwid stary.
Bo wszystkie węże, pieśnią wywabione,
Są słuchaczami córki.

Gwinona.

Zwyciężyła!

Dobądźcie z wieży starego Derwida.—
O! głupie węże! o! przekłete gady!—
Córce odebrać harfę i wypędzić.
Derwida zamknąć w podziemne ciemnice;
Czego nie zrobił wąż, dokazę głodem.
Czy go nakarmi córka, zobaczycie.

Sygoń.

A z tym Salmonem co zrobić?

Lech.

Zamknąć go

W jednym więzieniu z Derwidem... zamorzyć.
Oba są warci zgonu czarownicy.

(Wychodzą).

Chór dwunastu harfiarzy.

O! święta ziemio polska! arko ludu!
Jak zająć tylko myślą, krew się lała.
W przeszłości słysząc dźwięk tej harfy cudu,
Co węzom dała łyzy i serca dała.
Słuchajcież wy! gdy ognie zaczną buchać,
Jeżeli harfy jęk przyleci zdala,
Będziecież wy jak węże stać i słuchać?
Będziecież wy jak morska czekać fala,
Aż ścichnie pieśń i krew oziębnie znówu,
I znów się staną z was pełznące węże?
Aż rzuca was do mogilnego rowu,
Gdzie z zimnych jak wy serc się hańba leże?
Już czas wam wstać!
Już czas wam wstać i bić i truć oręża

A K T IV.

SCENA I

Sala w zamku Lecha.

Lech, Gwinona, Gryf. Wchodzi Lilla Weneda.

Lilla Weneda.

W niezawiazanej przychodzę koszuli,
Nie niosę chleba, nie mam nic przy sobie,
Lecz wy mnie puście do ojca mojego,
Który od dwóch dni jest morzony głodem.
Ja go zobaczyć chcę tylko przed śmiercią;
Jam go nie mogła zbawić—więc pożegnam.
Dla tego głowę ubrałam w lilije,
W te wodne kwiaty, które u nas kładną
Dziewicom zmarłym na ostygle czoła.
O! Pan! spuść ty ze swojej srogości!
Ja biedna zimne węże rozczuliłam,
I tak się do mnie gady przywizały,
Ze za mną cały kłębek biegł i syczał,
Jak pies wyjący smutnie z przywiązania.
I cóż ja winna, że węże wołały
Słuchać mej pieśni, niż mojego płaczu?
A żem ja węże zimne rozczuliła,
Dla czegoż w tobie powiększyłam srogość?
Czy ty zazdrościsz mi, pani, zwycięstwa,
Które mi ojca mego wybawiło?
O! jeśli tak jest, to weź go za ojca,
A ja go będę na śmierć skazywała,
A ty go będziesz bronić — i zwyciężysz!
Bo ten zwycięża tu zawsze, kto broni.—
Lecz nie, ja teraz jestem zwyciężona,
Mój ojciec pewnie już od głodu skonał;
A ja chcę tylko widzieć jego ciało,
W czoło chcę tylko pocałować zimne,

Powiedzieć jego głuchemu trupowi,
Ze go nie mogłam zbawić — lecz kochałam.
O! patrz! koszula moja niezwiązana,
Nie niosę chleba, ani żadnej strawy;
Może się boisz, że jak drzwi otworzę,
To wleci ze mną jaka muszka złota
I ten ją starzec zje?... O! pani moja,
Bóg muchy strzeże od śmierci... ta muszka
Będzie mieć jaką córkę, co ją zbawi.
Ja tylko jedna, ja nie mam nikogo,
I nikt się o mnie biedną nie upomni.
O! proszę ja was, każcie wy mnie wpuścić
Do mego ojca głodnego.

Lech.

Gwinona,

Na Boga, te łyzy miecz mi rozhartują.

Gwinona.

I ty jej wierzysz?—to są łyzy zmyśłone
Ona dwa razy tak płakała głośno,
Za te trzy płacze, ona się trzy razy
Odśmieje ze mnie, jeśli ojca zbawi

Lech.

I cóż ci ludzki śmiech, Gwinono, szkodzi?

Gwinona.

Lechu! śmiech ludzki jest zabójczą bronią;
Więcej on stracił koron z głów posepnych,
Niż ci się zdaje: o! śmiech to gadzina,
Która się w sercu wyśmianego kryje
I tam go kasa, kasa, do krwi kasa,
Aż wreszcie siły w człowieku omdleją
I powie sobie: jestem zwyciężony.
Śmiech nas pozbawia zaufania w siebie
I rodzi niemoc; ja znam takich ludzi,
Z których się żaden żywy śmiać nie wazy;
Ci ludzie mają królestwo nad tymi,
Którzy są śmiechu ludzkiego poddani.

Lilla Weneda.

Królowo! czegoż ty się teraz boisz?
Czy tu są tacy, co wyśmieją litość?
Widziałam w twoim sypialnym pokoju

Okno, którego nigdy nie zamykasz,
Bo w niem jaskółka uwinęła gniazdo:
Więc ty masz litość: a czy kto się śmieje,
Ze ty masz litość nad jaskółką?—Pani!
Więc ja znalazłam w twojem sercu litość!
Trzebaż być jeszcze, jeszcze nieszczęśliwszą,
Ażebyś ty się, pani, zlitowała?
Więc każ mi wydrzeć te splakane oczy,
A potem zlituj się nademną ślepa
I każ mnie wpuścić do ojca ślepego.
O! proszę! proszę! każ mi wydrzeć oczy.

Gwinona.

Smutny to żabrak, co grosz wydrze nudą.

Lilla Weneda.

O! będę nudzić, nudzić, aż zezwolisz.

Gwinona.

Gryfie, każ wpuścić ją do tej ciemnicy,
Gdzie siedzi ojciec jej, morzony głodem.

(Lilla Weneda i Gryf wychodzą).

Lechu! na twoją to zrobiłam prośbę.

Cóż mi tak smutny stoisz i ponury?

Lech

Gwinono, syn nasz w niewoli.

Gwinona.

W niewoli?

Mój syn w niewoli? mój Lechon w niewoli?

Nie... ty mnie straszysz... Nie wiesz sam, co mówisz.

On mi się dzisiaj śnił... O! Boże! Boże!

Na syna mego zgubę pracowałam.

Syn u Wenedów! Lechon u Wenedów!

Lechon... on nie ma takiej córki!

Lech.

Zono!

Ja go odbije.

Gwinona.

Trupa ty odbijesz!

O! Lechu, na koń na koń na koń, Lechu!

Wszyscy rycerze! zbierz wszystkich rycerzy!

Jeśli wrócicie żywi bez Lechona,

Ja się zabiję... będę plwała w oczy!
Ja się zabiję... Cóż, wy tchórze? na koni!

(Wybiega)

Lech.

Niech się wykrzyczy, krzyk nic nie pomoże,
Dziś za mego Lechona stu trupem położę
(Wychodzi).

SCENA II.

Blonie.

Ślaz (wchodzi).

Moja nieboszczka matula mówiła,
Ze kłamstwem wyjdę na pana — to kłamstwo
Co mi matula mówiła o kłamstwie —
Ergo: jeżeli więc mówiła kłamstwo,
Powinna była zrobić tem fortunę —
Umarła goła jak Lazarus — a ja
Ledwom się kłamstwem nie usalmonował
Na wieki wieków; to szczęście, że jakoś
Mojego pana zrobiwszy Salmonem,
(Niechaj mu światło wiekuiste świeci!)
Uciekłem z zamku i dobrze się stało.
Gwalbertus, mój pan, został męczennikiem
I pod imieniem świętego Salmona
Króluje w niebie, więc dobrze się stało.
Lecz to jest kwestya... quomodo uniknąć
Głodu na puszczy i zrobić fortunę?
Już próbowałem chrześcijańskiej paszy,
Już próbowałem rycerskiego chleba,
I zawsze chudy jak siomka... więc ergo,
Pan Ślaz niech rusza do dziczy — rzecz prosta!
Pan Ślaz niech rusza prosto do Wenedów —
W jakim kolorze? — W kolorze Wenedów.
Jako szpieg? — a fuj — nie szpieg, lecz nowiniarz,
Zemsty nowiniarz, blekotnik nowiniarz;
Człowiek ognistej mowy, krwawych zębów
I czerwonego języka... więc ergo,

Gdy zapycają: czy widziałeś Lecha?
Widziałem.—A co robi?... Gdym go widział,
To jadł Weneda z solą.—A Gwinona?—
Gwinona we krwi się dziątek kąpała.—
A cóż się stało z naszym starym królem? —
A ja pokażę tak: język wywalę
I zamknę oczy: wasz król est finitus.
A jego córka? — A ja lży jak z wiadra
Popuszczę na to i nie nie odpowiem,
Albo odpowiem jakie nowe kłamstwo
Takie żalosne kłamstwo, że uwierzą
I jeść mi dadzą... za to, że się spłakał.
(Wychodzi).

SCENA III.

Sala w zamku Lecha.

Lech, Gwinona, Rycerze.

Lech.

Na Boga! bądźże cierpliwa! na Boga!
Mój oddział jeszcze z podjazdu nie wrócił.

Gwinona.

Ty gadasz! a tam mój syn roztargany?
O! straszna! głupia jest cierpliwość twój!
Jak nienawidzę w ludziach cierpliwość!
Często im wcale czekać niepotrzeba,
Ale dla tego, że ktoś prosi: *spiesz się*,
To oni różne wynajdują zwłoki,
Aby pokazać wyższość i rozwagę,
I nad pałacem się sercem panować.
Lechu! czy wiesz ty, ile chwil potrzeba,
Aby zabito bezbronnego jeńca?
Dziwna cierpliwość! okropna cierpliwość!
O! Lechu! jeśli mój syn biedny zginie,
To w dzień i w nocy będę ci krzycza
Tyś syna twego zabił cierpliwością!
Ja wtenczas będę w wyrzutach cierpliwa,

Cierpliwie będę ci kasała serce;
We mnie ty zbrzydzisz cierpliwość... o! kacie!
O! kacie twego nieszczęsnego syna!...
Ach! Boże, daj co gryźć mojemu sercu,
Bo jabym teraz serce męża gryzła.
Ja wiem, co powiem: Lechu! — jesteś tchórzem!

L e c h.

Tchórzem nie jestem.

G w i n o n a.

Więc ojcem nie jesteś!
Czemże ty jesteś?... kawałkiem żelaza?

L e c h.

O! tego nadto!—nadto!... Ty dotychczas
Byłaś w domostwie samowładną panią.
Jam ci ulegał, bojący się wrzasku,
Ty napełniałaś mój dom okrucieństwem.
Na Boga, już mi to się wreszcie nudzi.
Rycerzy moich garsteczka małeńka,
Podjazdem i te siły rozerwane;
A ci Wenedzi z dwunastu się krain
Zeszli i całe okrywają pole.
Tam są olbrzymie Scyty, co krew piją
W człowieczych czaszkach, wyznawce Odyna;
Tam są Letoni, co na hełmach noszą
Rogi, żywemu wyrwane turowi;
Tam jest Mazonów lekkie pokolenie
Co głowy jako szczygły ubierają
W czerwoną krasę i pomiędzy hełmy
Migocące się niosą pióra pawie;
Nad tymi tłumy dwunastu harfiarzy;
Nad harfiarzami straszna prorokini,
Na samym szczycie ludzkiej piramidy
Błyskawicami gadająca — a ja
Z rycerzy garstką mam wstąpić w mrowisko?
Ja, co te ludy chcę wyciąć do szczytu?
Nie czekać aż mi w noc błyskawicową
Z nieba lejące pomogą pioruny?
Szalona jesteś... szalona kobieto!

Gwinona.

O! widzę, że już ciebie nie przełamie!
Widzę już! widzę mego syna trupem!

Lech.

Syn twój powróci, syn powróci, nie płacz.

Gwinona.

O! jużem ja go teraz oplakała.
O! rozpacz! rozpacz!... o! rozpacz! on skonał.
(Lilla Weneda wchodzi bez wianka lilowego na głowie).

Lilla Weneda.

Królowo! ojca mego nakarmiłam.
Mój ojciec do mnie należy, królowo!
Widzisz, powracam bez kwiatów, bez wieńca,
W liljach było mego ojca życie;
Ja życie ojca przyniosłam na głowie,
Jego zbawieniem ukoronowana.
Nie wierzysz? spytaj każdego Weneda;
Lilije wodne nas od głodu bronia,
Ilekoć zboże roku nie dotrzyma.
Ty nie wiedziałaś, że ten wieniec biały
Zdzieciniałemu będzie piersią matki,
Że on go będzie ssał, śmiał się i płakał,
Podnosząc puste powieki do nieba,
Bogu dziękował za córkę i kwiaty.
O! teraz ojciec mój!... jam go zbawiła.
Lechu, słyszałeś, jaki był warunek?
Nie pozwól, królu, żonie łamać wiary.

Gwinona.

Patrz! patrz! patrz! ona ojca wybawiła
I tu mnie przyszła zagłuszyć radością;
A kiedy ona mówiła o ojcu,
To ja nieszczęsna myślałam o synie;
A kiedy ona lała łzy rozpaczy,
To ja nieszczęsna krwią płakałam w sercu.—
Weź ojca swego! weź!... ja potrzebuję
Nauczyć teraz was wszystkich litości,
Jabym głaskała ręką wasze tury,
Prosząc o łaskę ich nad moim synem;
Jabym szczepiła wasze kwaśne grusze

Miodem litości... a sosen szumowi,
Dałabym matki głos, jęki i prośbę.
O kaźcie tutaj starca przyprowadzić,
Ja go odeślę ojcem memu dziecku.
(Rycerzy kilku wychodzi).

Lilla Weneda.

Pani! ty dobra jesteś, o! ty dobra.
Już ja nie powiem, żem ojca zbawiła;
Ale że ty mi dałaś mego ojca.
Obaczysz! jak to serce drży z radości
Temu, kto biednym ludziom dopomoże.
(Derwid wchodzi i rycerze).

Ojcie, wracamy do nas — ta królowa
Dała mi ciebie. Ojcie, chodź na słońce —
Bądźcie mi zdrowi, królu i królowo —
Chodź, ojcie!... Bądźcie zdrowi! bądźcie zdrowi!

Derwid.

Córko! a moja harfa?

Lilla Weneda.

O! królowo!

Widzisz! mój ojciec cały drży z radości.
Aleś ty pewnie, pani, zapomniała,
Ze ci nie może dziękować oczyma,
Więc ja za niego leję łzy... i jeszcze
Za ojca mego muszę być natrętną:
Ja ciebie proszę, wróć mu harfę złotą,
Którą mój ojciec miał od swego ojca;
O! wróć mu, pani, tę harfę! o! wróć mu.

Gwinona.

Przyniesicie harfę, którą ja kazałam
W cedrowej skrzyni usnąć rozplakaną.

Lilla Weneda.

Ojcie, ty harfę mieć będziesz.

Derwid.

Oddała?...

Gwinona (na stronie do Lecha).

Widziałeś, Lechu, gdy wspomniał o harfie,
To z jego powiek wybiegły czerwone
Dwie łzy, ogromne łzy, — czy uważałeś?
To były straszne łzy...

Lech.

I cóż, kobieto?

Gwinona.

Co?... nie rozumiesz... Córką albo harfą
Zostanie tutaj zakładnicą... widzisz,
Ten człowiek musi wybrać między dwiema,
A ja w zakładzie wezmę rzecz wybraną:
Rozumiesz? Gdyby nie te łyżki czerwone,
Anibym kiedy była pomyślała,
Ze tu jest wybór.

Lech.

Już widzę, już widzę.

Gwinona.

Milcz.

(Do Derwida).

O! Derwidzie, wy Wenedzi macie
Nienasycone serca... Przed godziną,
Wiercony srogim głodem aż do kości,
Byłbyś poprzestał na kawałku chleba...
Lecz teraz w miarę łask żądania rosną,
Dałam ci wolność, tyś harfy zażądał...
A otrzymawszy wszystko, będziesz mścił się...

Derwid.

Każ odprowadzić mnie więc do więzienia;
Trupy się nie mszczą.

Gwinona.

O! twardy człowieku,
Nigdyż twoje serce przedemną nie zadrży?

Derwid.

Wyjm je i zobacz.

Gwinona.

Ja ci daję wolność...

Derwid.

I chcesz tu z króla uczynić żebraka?
Już mię z postaci masz prawie żebrakiem,
Jeszcze chcesz serca mego żebraniny?
Na moje ciało ty liczysz zgrzybiate?
Na me kolana ty rachujesz drżące,
Ze mnie przed tobą powala?... Nie, jezu!
Nie! nie! nie!... Córkę, daj mi rękę... Jedź!
Przed tobą skonom stojąc i zastygnę,

Wtenczas tve dziecko mnje paluszkiem trąci
I padnę... padnę.. ale pókim żywy,
To jestem równy tobie — król i człowiek.

Gwinona (do wnoszących harfę).

Postawcie przy nim bliżej harfę złotą,
Niechaj się na niej oprze ręką drugą.

(Stawiają harfę przy Derwidzie. Starzec jedną rękę na harfę, drugą kładzie na głowie córki).

Widzisz, ta harfa równa córce wzrostem;
A gdyś w niewoli był, obie zarówno
Płakały... obie jak córki... o! teraz
Wybierz pomiędzy płaczkami, Derwidzie,
I niech wybrana idzie z tobą w lasy,
A druga córka twoja odrzucona
Ze mną zostanie... i będzie zakładem.

Derwid.

Córko! co ona mówi?

Lilla Weneda.

Ojcie drogi,

Ta pani harfę ci oddaje złotą.

Derwid.

Tę harfę?

Lilla Weneda.

Ojcie, harfę.

Derwid.

Już oddała?

To chodźmy, córko.

Lilla Weneda (do Gwinony).

Pani, ja powrócę,

I będę twoją niewolnicą. — Ojcie!

Chodźmy już.

Gwinona.

Harfę porzucasz, Derwidzie?..

Lilla Weneda.

Nie mów tak głośno... jam cię zrozumiała.
Okropną jesteś.... zlituj się nademną.
Jeśli mię żywą chcesz mieć, to nie żądaj
Mieć porzuconą przez własnego ojca.

Serce mi pięknie i będziesz tu miała
Trupa nie córkę, o! bo w mojem sercu
Jest tyle złotych strun, jak na tej harfie,
Lecz wszystkie piękna od razu z boleści
Jednym wyrazem ojcowskim stargane..
I nad nim także litość miej i nad nim!
Proszę cię, sroga, miej i nad nim litość!

Gwinona.

Będziesz li zawsze jak mała ptaszyna
Skrzydełkiem w oczy bić błyszczące węża?
Jeśli wyrzekła — to chcę. Kto mi wzbroni
Spróbować serca ojcowskiego? i tu
Usprawiedliwić siebie, żem je zgryzła?
Wyłómacz ojcuna sama, czego pragnę.

Lilla Weneda.

O! nielitosna... Ojczu, ta królowa
Oddaje tobie tylko jedno dziecko.
Ty wybierz sobie dziecko, które śpiewa,
A zostaw dziecko, które tylko płacze..
Ja wiem, że ty mnie kochasz, ojczu drogi,
Lecz nie wybieraj mnie, bo nieszczęśliwy,
Jeżeli zechcesz o nieszczęściu śpiewać,
To znajdziesz we mnie tylko echo płaczu,
A w harfie echo nieśmiertelne. Ojczu,
Wybierz, co kochasz, a to, co odrzucisz.
Kochaj...

Derwid.

Niebiosa!... córko, gdzie ty jesteś?..
Ja kocham moją córkę. O! gołąbku,
Chodź i ślepego prowadź. Córko... prowadź
I wyjdźmy prędzej stąd... Córko, a harfa?

Lilla Weneda.

O! harfa skarży się, żeś ją opuścił.
(Trąca o struny).

Derwid.

Harfa się skarży na mnie?

Lilla Weneda.

Ojczu, jęczy.

Derwid.

Jęczy!... Gdzie moja harfa?... czy to mara,
Czy to duch mojej harfy rozplakanej
Stoi przedemną w promieniach; i skrzydła
Roztworzył, jakby z płaczącymi jęki
Już odlatywał do nieba... Ha!...

(Lilla znów porusza struny).

I znów.

Słyszycie! harfa jęknęła... słyszycie?
O! dajcie, niech ją obejmę w ramiona!
Dajcie! to córka królów rozplakana.

(Chwyta harfę, obejmuje i ucieka z nią).

Gdzie drzewi?... rycerze, gońcie mnie z mieczami!
O! ja tej harfy nie dam.. Harfy nie dam!
(Pada piersią na harfę).

Lilla Weneda.

Widzicie! ręce pokrwawił na strunach.
Wstań, dobry ojciec... O! patrzcie! o! patrzcie!
Usta położył na strunach, całuje,
A te niedobre struny i niewdzięczne
Usta mu krwawią... O! struny! o! struny!
Wy nie jesteście córkami... Królowo,
Widzisz, mój ojciec wybrał; lecz jeżeli
Myślisz ty, pani, że ja teraz płaczę
Dla tego, że mnie ojciec mój porzucił,
O! bądź przeklęta za tę myśl... To radość
Wyrzywa z oczu moich łzy, to radość.
Niechaj nikt ojca mojego nie sądzi.
Dzisiaj karmiony starzec lilijami
Mnie tak całował w usta i we włosy,
I do mnie, tak się przytulał rozpacznie,
Jak się do harfy odzyskanej tuli.
A że ja płaczę, to tylko dla tego,
Że przypominam ojca pocałunki
W ciemnem więzieniu... i łzy moje głupie
Pytają same serca, czemu płaczę.

Gwinona.

Odedrzeć starca od harfy.

Lilla Weneda (podnosząc ojca).

Widzicie,

On już łagodny jak baranek.

Gwinona.

Starcze!

Syn mój najstarszy, Lechon, syn mój drogi,
Jest niewolnikiem twoim—a ta harfa
W zakładzie, moją będzie niewolnicą,
Aż mi żywego wrócisz syna.

Derwid.

Harfa?

Ja stąd bez harfy nie wyjdę.

Lilla Weneda.

O! panik!

Więc jeszcze raz się rzucę na kolana
I będę ciebie prosiła ze łzami,
Oddaj mu harfę... a mnie weź. Czy myślisz
Ze twego syna, jeśli jeszcze żywy,
Ten starzec nie da za córkę? O! pozwól
Niech tylko mego ojca odprowadzę,
On ślepy... tylko odprowadzę ojca,
A sama wrócę; a że ja powrócę,
To niech ci harfa ta będzie zakładem.
Ale przysięgnij, że za niewolnicę
Królową harfę wypuścisz z niewoli:
A gdy przysięgniesz, to ja pewnie wrócę.
Bo cóż mi teraz życie! cóż mi życie!
O! ty wiesz sama, że ja pewnie wrócę.

Gwinona.

Jakiż mi zakład z córki niekochanej?

Lech.

Na Boga! dosyć, Gwinona! już dosyć!
Ta córka warta dziesięciu Lechonów.
Przysięgam, jeśli z Lechonem powróci,
To weźmie harfę, Lechona i moje
Błogosławieństwo; jeśli wróci sama,
To i tak za nią, przysięgam na bogi!
Oddasz kawałek płaczącego drewna.

Gwinona.

Słyszysz! jak mówi mój mąż, tak się stanie.

Lilla Weneda.

Dzięki wam! dzięki! — Ojcie, dziś wieczorem
Harfę ci twoją postawię do grania.
Ty wiesz, ja dotąd nigdy nie skłamałam.
A teraz... o! królowie, do widzenia.
Przyjdzie po harfę Lilla niewolnica. —
Chodź, dobry ojcie.

Derwid.

A harfa?

Lilla Weneda.

Ta idzie

Za nami, ojcie.

(Do Lecha).

Szlachetny rycerzu;

W twojem więzieniu został smętny starzec,
Także niewinny.

(Odcodzi z ojcem).

Lech.

Ha... to ten czarownik. —

Sygonie, każ go wypuścić na wolność.

W ludziach anielstwa tyle, że nie można

Traktować jak psów... wypuścić go z więzy.

A teraz chodźmy stroić się do walki,

(Wychodzi).

Gwinona.

Położcie harfę w skrzyni cedrowej... ta harfa

Dla mnie jest teraz Lechonem... Nie kładźcie

W tej trumnie z drzewa harfy... bo pomyślę,

Że syn mój drogi, Lechon, w trumnie leży:

A jeśli stanie się jakie nieszczęście

Z mojem kochanem dzieckiem, to przypomnę

Tę harfę w trumnie i będę myślała,

Że sama syna położyłam w trumnie.

Natura może stąd wziąć pochop i to

Wtrumnienie harfy strasznie naśladować

Rzeczywistością. — Wynieście ją za mną.

Okropny zachód słońca — i te mury

Zdają się krwawe od promieni. — Gryfie,
Dziś w nocy będzie burza — chmury warczą.
Wy się będziecie dziś bić ostatecznie.

(Wychodzą).

SCENA IV.

Grota Wróżki, oświecona czerwonym blaskiem.

Roza Weneda (stoi przy otworze groty i do zachodzącego słońca śpiewa runiczną inwokacyę). — Dwa-
nastu harfiarzy!

Roza Weneda.

Do krwi, złote słońce! do krwi, słońce!
Ty, ostatnie słońce, we krwi gaśnij!
Tu na walkę, wrony! kruki! orły!
Tu na walkę, psy wyjące smutnie!
Tu na walkę, chmury z piorunami!
Tu, szumiące wichry! — słońce, gaśnij!
Kruki! orły! wichry i pioruny,
Dajcie hasło! chmury, dajcie hasło!

(Słychać daleki grom).

Harfiarz.

Grom usłyszał i odzywa się głucho.

Roza Weneda.

Do mnie! do mnie! do mnie! tu, pioruny.
Tu, nad głową moją jako wieniec.
Niech ja mściwa z was mam włos, pioruny!
Kiedy wyjdę z groty w krew rozlaną,
Gdy za ojca mego stanę tronem,
Słuchająca jęków i czerwona
W krwi wyziewach, w koronie z błyskawic.

Harfiarz.

Cóż ci mówią wróżby? cóż wyrzekły?

R o z a W e n e d a.

Człek na czleka jak pies pójdzie wściekły.
Grom czerwony się gryźć będzie z błękitnym.
Krew poniesie z sobą tron Derwida,
I król będzie płynął z harfą, z tronem,
Jako kawał kry.

H a r f i a r .

O! biada! biada!

R o z a W e n e d a.

Okropniejszą rzecz widziałam blada.
Krew podmyła tron i wzięła z sobą.
Król na tronie włosy rwał i rzucał,
A pioruny je paliły w powietrzu. —
Lecz nie mówcie nic jutrzejszym trupom.

H a r f i a r z.

Cóż wyrzekły wróżby, powiedz, straszna?

R o z a W e n e d a.

Wczoraj kości warzyłam na polu,
Mózg gotował się w czaszkach człowieczych
I wilgotna kość jęczała na ogniu.
Słuchająca wrzasku tych umarłych,
Pomazałam krwią zamknięte oczy —
I nagle!

Widmo straszne wyszło z ognia do mnie
I zawiodło mnie na walkę duchów.
Słuchajcie!

Wódz dwie głowy miał: wtem jedna głowa
Oczy nagle jako trup zawarła,
Spadła na nią iskra piorunowa;
I ta głowa smętna, już umarła,
Jeła smutnie mówić z drugą żywą,
Aż skry zjadły jak smolne łuczywo
Rozplakaną tułowu koronę.
I spojrzałam w drugą walki stronę,
Odwróciwszy się jak od gasnącej główki
Od półmartwej osoby.
I tam stali ludzie w szyku, równi,
Równi, zimni, biali jako groby,
Miecz w walili, gdy piorun był niemy,

Czasem walił piorun i miecz razem.
Wtem ktoś cicho wykrzyknął: ginie my!
I tysięcy sześć—nietkniętych żelazem—
Sześć tysięcy bez ducha upadło,
Jakby je kto struł. — Nadeszłam z nożem...
Otworzyłam jeden tułów trupowy,
I znalazłam, że w nim serce zbladło
I tak trzęsło się jak liść olchowy:
Więc plunęłam temu sercu w usta
I rozciąłam drugą pierś dla ptaków;
Lecz znalazłam w niej kłębek robaków
Zamiast serca... I pierś trzecią rozdarłam
I spojrzałam w nią... lecz była pusta!
I nie było w niej serca! — Jak chusta
Zbladłam we śnie i we śnie umierałam,
Widząc, że w niej serca nie było!

Harfiarz.

Cóż to znaczy?

R o z a W e n e d a.

Nad naszą mogiłą

Wejdzie słońce, lecz nie mówcie ludowi.

(Dwunastu wodzów wchodzi do groty. Wszyscy różnie ubrani. Jedni na hełmach turze, drudzy jelenie mają rogi, u innych tylko pióro pawie lub czaple. Panczerze z siatki lub z łuski. Miecze olbrzymie w rękach).

R o z a W e n e d a.

Oto wodze są. — Cóż, piorunowi?

Wiele ludu?

W ó d z.

Dwanaście tysięcy.

R o z a W e n e d a.

Pijcie z czaszek tych i bladej śmierci
Uragajcie się, pijąc — niech wyje.

W ó d z.

Cóż ci mówiły wróżby?

R o z a W e n e d a.

Jeśli podczas walki

Ojciec mój z harfą złotą na kamiennym tronie

Zagra pieśń, ową straszną pieśń, od trzech pokoleń
Nie słyszana; to przy nas zwycięstwo.

W ó d z.

Twój ojciec

I harfa jego złota w niewoli.

R o z a W e n e d a.

Bez wiary!...

Ojciec mój na tronie czarnym stoi
Za swą harfą, jak za słońcem czerwonym.
Każdy harfy ton jak rycerz w zbroi
Na rumaku wybiega szalonym;
Jako rycerz-duch głębi każdy leci,
I obala z rumakami rycerzy.
Ile strun, tyle węzów wybieży
Z harfy ojca i oczyma zaświeci,
I skrzydłami ognistymi okręci
Wojsko Lecha.

W ó d z.

Gdzież wódz jest dwugłowy?

R o z a W e n e d a.

Nie wierzycie mi, ludzie przekłęci?
Rzućcie czary te w krąg Derwidowy.
W kręgu trupich głów wodza postawię.

W ó d z.

Nie uwierzym, aż ujrzym oczyma.

R o z a W e n e d a.

Ty, co nosisz złote piórko pawie,
Migocące od pierwszych błyskawic,
Odwal kamień, ten kamień olbrzyma. —
Cóż? nie możesz?... Więc dwanaście prawie
Niech ten kamień odwali—choć ruszy.

W o d z e.

Nie możemy.

R o z a W e n e d a.

Więc rękami go duszy
Ja podniosę—i niech idzie do piekła.

W o d z a

Cudy! słowo zakłète wyrzekła
I ten kamień wstał.

R o z a W e n e d a (wchodzi, odwaliwszy kamień, do
podziemnego lochu i wyprowadza L e l u m i P o l e -
l u m, przykutych za ręce łańcuchem do siebie).

R o z a W e n e d a.

I wódz się zjawił.

Patrzcie! łańcuch, co ręce pokrwawił,
Z dwóch uczynił jednego człowieka. —
Chodź tu między czaszki, wodzu blady,
Bo już piorun niespokojny szczeka. —
Włożę wam zbroję.

(Kładzie na czoła braciom dwa hełmy i złączonych razem
uzbraja jak jednego rycerza. — Tarcza olbrzymia na rękę L e -
l u m zawieszona obu braci zakrywa. Polelum w prawą rękę,
wolną od łańcucha, miecz bierze. — Roza Weneda, zawiesza-
jąc tarczę, mówi do Lelum.)

Ty będziesz bronił swego brata tarczą.

(Do Polelum).

Ty go zakryjesz miecza błyskawicą. —
Biada! kto swego nie dopełnił biada!
Jesteście jednym rycerzem, mścicielem;
A gdy nie będzie was, to jęk żałosny
Przeleci wieki i zwiąże imiona.
Jęk jeden będzie po dwu zgonach waszych;
Po waszych sercach roztrzaskanych w piersi
Jedna zostanie żalność w tej ojczyźnie,
Nierozróżniona, jako w sercu matki. —
Krwi! krwi ofiarnej!

P o l e l u m.

Weź z mojego łona.

R o z a W e n e d a.

Tu krwi potrzeba obcej, z niewolnika.

(Wchodzi do lochu i wyprowadza na scenę Lechona).
To syn królewski. Patrzcie! jaki blady.

L e c h o n.

Zlitujcie wy się ludzie mej młodości!

Ta grota pełna przerażeń i wasze
Twarze są blade i przygotowane
Do zemsty. Wiem ja, że wy macie prawo
Mścić się nademną i odebrać życie:
Lecz gdyby tutaj była moja matka,
Królowa dumna i sroga kobieta,
Ona by was tu przekonała łzami,
Że ja potrzebny jestem na tym świecie
Jak słońce, księżyc... jej i wam potrzebny.
Że wam śmierć moja na nic się nie przyda,
A życie moje jeszcze może zdać się.—
Nie zabijajcie mnie, nie zabijajcie!
Król wasz u mego ojca niewolnikiem,
Za syna swego ojciec odda króla;
Za mój włos każdy da wam ziemi włókę;
A patrzcie, jakie ja mam gęste włosy;
Matka je moja nieraz całowała.
Czy tu nikt nie ma matki?... A więc jeszcze
W sierotach większa być powinna litość.

R o z a W e n e d a.

Krwi tej nie wezmę—za podła. Idź jęczeć!

(Wpycha Lechona do lochu).

Uzrewieńszą znajdę krew w sercu gołębia.

(Ślaz wchodzi prowadzony przez dwóch wenedyjskich rycerzy).

Cóż to za człowiek?

Ś l a z.

Ja tu dobrowolnie

Przychodzę, proszę wierzyć—dobrowolnie.

R o z a W e n e d a.

Lechita jesteś?

Ś l a z.

O! gdyby nie respekt

Dla was, rycerze, i dla tej mocarki,

Wziąłbym pytanie za obelgę. Mówcie,

Że ja pies—dobrze; mówcie, że ja sowa—

Dobrze; mówcie, że bocian—doskonale!—

Lecz mówić, że ja Lechita!—mnie?—w oczy! —

Gdybym nie mienił to być uchybieniem,

Plunałbym w oczy temu, kto zapytał,
Czy ja Lechita. — Cóż to? czy mi z oczu
Patrzy gburostwo, pijaństwo, obżarstwo,
Siedem śmiertelnych grzechów, gust do wrzasku,
Do ukwaszonych ogórków, do herbów?
Zwyczaj przysięgać in *verba magistri*?
Owczarstwo?... czy to wszystko mam na twarzy?
Jeśli tak, wodą mi zlejcie gorącą,
Niechaj oblezie ze mnie pierwsza skóra.

R o z a W e n e d !

Milcz.

(Do Wenedów).

Gdzie pojmałście tego człowieka?

R y c e r z W e n e d .

Dażył od strony Lechitów i wiele
Okropnych rzeczy w drodze opowiadał.
On widział króla naszego Derwida
Zamęczonogo, siostrę twą zabita.

R o z a W e n e d a (do Ś l a z a)

Piekielny! kłamiesz.

Ś l a z .

Klnę się na te czaszki

Ja sam wrę zemstą, ja sam zemstą płonę...
Dajcie mi w ręce cokolwiek, miecz, rożen,
Pierwszą broń dajcie, a ja mścić się będę..

(Szlochając).

Ten król szanowny! ten starzec sędziwy!
Ta niebotyczna królowna!... miecz dajcie,
Jeśli potrzeba wodza — będę wodzem;
Jeśli człowieka tylko trzeba — jestem;
Jeśli tygrysa — adsum; jeśli księdza —
Do usług; jeśli Ganimeda — zgoda.

R o z a W e n e d a .

Mówisz o zemście?—tu zemsta pod ziemią.

(Bierze nóż i wchodzi do lochu, gdzie Lechen zamknięty).

P o l e l u m .

Lelum, noc bliska.

L e l u m.

Umarła — słyszałeś.

Cicho, mój bracie, zda mi się, że duch jej
Tu, na łańcuchu stoi między nami
I lekką śmierci dłoń na głowy kładnie.
Czy ty nie czujesz umarłej dotknięcia?
Ona tak pójdzie z nami w bój okropny
I serca nasze przejrzawszy do głębi,
Pogardzi, jeśli serca zadrzą strachem.
O! Lillo! tobie ślubuję dziś duszę!
Ducha ty weźmiesz ulatującego.
O! śmierci! śmierci! krwawej śmierci, Boże!
Jakże to łatwo być odważnym w boju!
Nieszczęśliwego Bóg nie zrobi tchórzem,
Gdzie są harfiarze? niech idą za nami
Z harfy złotymi... nie trzeba harfarzy!
Umarli lepiej widzą i śpiewają
Te pieśń o sercach strzaskanych boleścią,
O ściętych mieczach i zgasłych nadziejach
Oni jedynie wiedzą, ile warte
Życie człowieka, ile ulatuje
Ludzkiego szczęścia w czerwonych płomieniach,
Które trzaskają ciało bohatera.
Już o umarłych tylko dbam i Boga,
O nie na ziemi.

(Roza Weneda wychodzi z lochu z dymiącym się nożem).

Roza Weneda.

Patrzcie! nóż czerwony

W sercu Lechona był... patrzcie, czerwony,
Pomażę sobie brwi tą krwią—zobaczę
Dusze umarłych... i wy zobaczycie...
Tam w zeczerwienionej ciemności powinni
Zjawić się krwawi: król harfiarz z dziewczyną;
Lecz kto przemówi do umarłych, skona...

(Wchodzi Derwid i Lilla Weneda).

Widzicie! o! widzicie! idą trupy!
Ja wywołałam je z pod ziemi — przyszli.

Lilla Weneda.

Przyprowadziłam wam ojca z niewoli,
Oto wasz ojciec.

Derwid.

Cóż to? nie poznali?

Posadź mię, córko moja, na kamieniu —
Cóż? — nie poznali!

Roza Weneda.

Bez harfy przyszedłeś..

Derwid.

Niebios!

(Zrywając się).

O! ja przyszedłem bez oczu!

Wydarte moje oczy płakać będą,
Jak się dowiedzą o tem. — O! gadzino,
Czy ty się z harfy mojej urodziłaś,
Ze ty mię witasz tak? — Lilla, daj rękę.
Prowadź mnie dalej.

Lilla Weneda.

Gdzie, ojczu?

Derwid.

Do węzów.

Które ty pieśnią tak ułaskawiłaś,
Ze mi nie będą gryzły serca.

Lilla Weneda.

Ojczu!

Derwid.

Gadzina córka; gdy mi darto oczy,
Myślałem, że ta córka wydrze oczy
I włoży w moją czaszkę swoje oczy:
A teraz widzę, że mi wydrze serce
I włoży w swoje piersi puste. — Harfo!
Ty jesteś harfą bez strun! czarownico!
Tak witać oje! Kiedym tu przychodził,
Skakały na mnie psy, wyjąc z radości;
A ty, jako kruk, widząc te czerwone
Oczy, zaglądasz w nie i głodnym dziobem
Wyjadasz mi łyzy czerwone, ostatnie.
O! bogdaj pierwszy z tych piorunów złotych
Pomścił się za mnie!...

Roza Weneda.

O! bogdaj mię piorun!..

Bo ty bez harfy przyszedłeś o! królu!
I dziś upadniesz na stos—bez królestwa.

Lilla Weneda

Nie, on zwycięży dziś, bez młodszej córki.
Ale przez córkę młodszą dziś zwycięży...
Widzisz, płaczący usiadł na kamieniu
I duma jako stary bocian ślepy.
Bądź ty mu córką. — Niech kto pójdzie za mną
I złotą harfę przyniesie...

Roza Weneda.

Co mówisz?

Harfę odzyskasz... jak?

Lilla Weneda

Za harfę złotą

Sama się oddam Lechom... i zostanie...

Roza Weneda.

Więc idź... bo harfa zwycięży.

Lilla Weneda.

O! siostró,

Jeśli chcesz harfy—i mnie pragniesz widzieć
Żywą... Lechona mi daj niewolnika
Za mnie królowa wydać obiecała
Harfę — a moje życie da za syna.

Roza Weneda.

Więc zgineliśmy, bo Lechon zabity.

(Do Ślaza).

Kłamco ohydny! rzucić go ze skały.

Lilla Weneda.

Nie płamcie wy krwią tej godziny smętne
I mej śmiertelnej koszuli... Ten człowiek
Niech idzie ze mną po harfę.

Roza Weneda.

Co mówisz?

Ty nie odważysz się wrócić do Lecha

Lilla Weneda.

O! siostró moja, jam się obeznała
Ze śmiercią; wierząc, ja wam harfę przysię,
Mówisz, że harfa ta wam da zwycięstwo?—
O! zwyciężajcie i bądźcie szczęśliwi!—

(Kłęk przed ojcem).

Ojczel! błogosław mi — może nie wrócę —
Ale ci lutnię twoją przysię złotą;
A jeśli jaka struna z najmniejszych
Zajęczy, kiedy zagrasz pieśń tryumfu,
Pomyśl, że struna ci ta przypomina
Najmłodsze dziecko i uderz ją ręką,
Niechaj nie płacze.

(Wstaje i do Ślaza mówi).

Chodź ze mną, człowieku.

Chodź! chodź! pójdziemy po harfę.

(Wychodzi ze Ślazem).

Róża Weneda.

Zwycięstwo!!!

Ten starzec usnął, córki swojej płaczem
Ukołysany — patrzcie! Cóż jest ojciec!!!
Nieście śpiącego na tron Derwidowy.
Zwycięstwo! Sto serc ludzkich — za zwycięstwo!

(Wychodzą).

Chór. — Dwunastu harfiarzy.

O! ileż trzeba ofiar! ile jęku!
Nim zemsty straszna noc jak piorun błysnie!
Oto zwycięstwa moc w gołębki rękę,
Tu wodza rąk dwie bratnich łańcuch ciśnie;
Tu król, co jękiem harf zwyciężyć mniema
I głośniej grać — niż mrący ludzie jęczą;
Tu wróżka z krwią na rzesach stoi niema
I słucha, jak na mieczach miecze brzęczą;
I widzi strasznych czynów ludzkich końce,
Przeczuwa boży sąd... A gdy noc głucha,
To z wiary mrącym ludziom robi słońce,
Woła piorunów, patrzy, jak biją — i słucha

A K T V.

SCENA I.

Sala w zamku Lecha oświecona od gęstych piorunów.

Lech, Sygoń, Święty Gwalbert.

Lech.

Na koni! straż przednia pierzcha.

Święty Gwalbert.

W imię krzyża

Dajęć zwycięstwo.

Lech.

W czyjekolwiek mię,

Biore, gdy dajesz; jeśli nie dasz, wydrę.

Święty Gwalbert

Każ mi dać konia, bo dzisiejszej nocy
Najświętsza Panna, w celi mej spalona,
Objawi mi się nad najświętszym trupem,
Nad krwią najbardziej Bogu ukochaną.
Każ mi dać konia.

Lech.

Ha, pioruny biją,

Jakby się walił świat... Straż przednia pierzcha.

Hej! miecz Rolanda...

(Wchodzi Gwinona w załobie).

Moja czarna żono

Siedź w zamku... i każ wieżycom na czoło
Położyć gwiazdę z ognia... Ile razy
Pioruny zgasną, a we krwi utone,
Wyplnę z koniem ku twemu ogniewi.
Pocałuj dzieci. — Uspić je musiało
Parne powietrze.

Gwinona.

Arfon się piorunów

Lęka i płacze

Lech.

Czy chory?

Gwinona.

Zalekły.

Lech.

Na koń, rycerze, a ty zamknij okna,
Żeby nie wleciał tu na miejsce meża
Piorun czerwony. Lechici, do bron!

(Wychodzą wszyscy prócz Gwinony).

Gwinona.

Chodźcie tu, dziewczki, bo mi samej straszno!

(Wchodzą dziewice).

Czy która bajek nie umie? niech gada,
Bo mi tak straszno, jak w śmierci godzinę.
Wiecie, że mój syn już pewnie nie żyje,
Ona po harfę ojca nie wróciła...
Pewnie nie żyje mój syn! Ale jeszcze
Ja mam nadzieję. — Ach! jak mi okropnie!
Wy także wszystkie jesteście strwożone.
Jak białych stado łabędzi. Tej nocy
Coś okropnego stanie się. — Dziewczeta,
Idźcie spać — sama zostanę wam strażą.

(Dziewice wychodzą).

W powietrzu jakiś straszny piorunowy
Zapach i dziwne skargi i płkanie,
Jakby się skarżył mój syn opuszczony
I wołał: matko! matko! matko!... ha! ha!

(Wchodzi Lilla Weneda).

Czy syn mój przyszedł z tobą?...

(Lilla Weneda odpowiada gestem rozpacz).

Nie dręcz ty mi.

Ale odpowiedz prosto, że zabity,
A jeśli żyje, odpowiedz, że żyje;
A ja wygryzę twe błękitne oczki
Pocałunkami... O! powiedz, że żyje.
Lecz jeśli? jeśli mój syn?...

Lilla Weneda.

Ty okropna...

Gwinona (zbliżając się wściekle, lecz zwolna).
Jeśli już?... mój syn... już...

Lilla Weneda.

Przy bramie czeka...

Gwinona.

Mój syn!

Lilla Weneda.

Na harfę moją czeka człowiek.

Gwinona.

Harfiarko.

(Chwyta ją za szyję).

Lilla Weneda.

Pani sroga, ty mnie dławisz!

Gwinona.

Harfiarko!

Lilla Weneda.

O! o!

Gwinona.

Krzycz! krzycz! krzycz! harfiarko.

(Zrywa pas i dusi Lillę Wenedę).

Krzycz, uduszona... A co?... już bez ducha!...

Do mnie, dziewice! do mnie... trup jest ze mną.

(Wbiegają dziewice).

Dziewica.

Jakie to wrzaski?

Gwinona.

Co?

Dziewica.

Tu coś upadło

Gwinona.

Ten trup.

Dziewica.

Okropność! okropność! okropność!

Gwinona.

Okropność... to ja udusiłam wstążką...

Czy się boicie tknąć rękami trupa?

Ha?...

Dziewica

Oduszona?

Gwinona.

Oni mi zabili

Syna. —

Dziewica.

O! biedne! bielutkie stworzenie!
Cóż ci zawinił biedny gotąbeczek?
Pozwól przynajmniej, że ją ubierzemy
W srebrną bieliznę, w bławatki, w narcyzy;
I zaśpiewamy nad umarłą lament.
O! jak te piersi krągłutkie ostygły!
Jak te różeczki zimne zbłękitniały!
Pomóżcie, siostry, wynieśmy ją razem
Z tego pokoju, gdzie przez okna czarne
Ciekawe patrzą błyskawice z krzykiem. —
Ostrożnie! nóżki owińcie koszulą; —
Ona się do nas uśmiecha... Ostrożnie!

(Wynoszą ciało Lilli Wenedy).

Gwinona.

Gdym ją dusiła, dziesięć matek było
We mnie zamkniętych... teraz przerażona,
Ze wszystkie we mnie syczące gadziny
Ucichły — jestem jak trup. — Co uczynię?
A ha — odeślę Derwidowi harfę.

A sama włożę zbroję... w krew się rzuce...

(Wychodzi).

SCENA II.

Pole przed zamkiem Lecha.

Ślacz (stukając do bramy).

Hej! hej! czy jest tam kto? czy tu pioruny
Wybiły ludzi? czy się pan odzwierny
Powiesił? hej! hej! — pies wyje żałośnie.
Mości psie, proszę, przypomnij królowej,
Ze ja tu czekam na harfę... hej! hej! hej! —

Nikogo — tylko psy żałośnie wyją
Jakby tam w kogoś miał uderzyć piorun...
Hau! hau... bogdajbyś zdechl! bogdaj cię piorun!
Hau—hau—czy w panu swoim wachasz trupa?
Czy śmierć kościana ci przeszła pod nosem?...
Brrr... aż mi zimno... Cóż to są za mary?
(Otwiera się brama, wychodzą dziewice w bieli z pochodnia-
mi, niosąc skrzynię od harfy zamkniętą).

Dziewica.

Człowieku!

Ślacz.

Jestem.

Dziewica.

Oto jest w zamknięciu
Harfa Derwida; odnieś ją i powiedz,
Że dotrzymuje przysięgi Gwinona.

Ślacz.

Włóżcie mi, proszę, pudło na ramiona,
Piękne dziewczę.

Dziewica.

A śpiesz się, człowieku...

(Wychodzą).

Ślacz.

Pełno teraz po drogach ludzkiego rozciuku,
A śmierć pod swoją kosę głupich ludzi garnie.
A pioruny jej świecą z nieba jak latarnie.
To zaś mój święty Gwalbert zowie światłem wieku...
(Wychodzi ze skrzynią na ramionach).

SCENA III.

Pole walki, noc błyskawicowa.

Lech i Sygon (wchodzą).

Lech.

O! mój Sygonie! to walka olbrzymów,
Pioruny przeciw nam; bo tylko słuchaj...

Już przez szeregi napół wyrabane
Przelatywałem na wskroś — już oczyma
Sięgałem w samo krwawe serce wrogów,
Już byłem wpadał — tam, gdzie pod dębami
Starce, pochodnie, harfy zgromadzone
Pod skrzydłem siedzą błyskawic, jak owce
W burzę pod gruszą tulące się wiankiem:
Jużem miał w rękach króla... kiedy nagle
Piorun nad głową moją roztrząsany
Zabił mi konia.

Sy goń.

Panie, rzecz straszniejsza!

Spotkałem czarne straszdyło dwugłowe...

Spotkałem wodza Wenedów.

Lech.

Czy straszny?

Sy goń.

Wódz ten dwie głowy ma na jednym ciele,
Czasem się obie głowy razem schodzą,
I płaczą rogi na hełmach ogromne:
Czasem się jedna zaiskrzona ciska
Z wściekłością węża na ludzi — a druga
Patrzy spokojnie i szuka oczyma
Serc w naszych piersiach.

Lech.

Za mną! ja go znajdę...

(Wybiega).

Sy goń.

Włos mi osiwił — ale tak okropnej
Nocy za życia mego nie widziałem.
Chorągwie toną we krwi — jedną piorun
Zapalił złotym płomieniem i błądź
Lekkiego ognia rzucił ludziom w twarze...

(Lelum i Polelum wchodzą).

Lelum.

Lech! Lech! Lech!

(Napadają na Sygonia).

Sygoń.

Wodzu ohydny Wenedów,
Jeśli człowiekiem jesteś, będziesz trupem.

(Biją się).

Polelum.

Zakręć łańcuchem koło niego—i zwiąż.

(Gdy Polelum walczy, Lelum obiega w koło Sygonia i okręca mu łańcuch na gardle, tak że Sygoń zostaje powieszony na łańcuchu, który łączy ręce bratnie).

Lelum.

Teraz rozbieżmy się, łańcuch udusi.

Polelum.

Zacharkat... puść go.

Lelum.

Leży uduszony.

(Odwijają łańcuch, Sygoń się wali trupem).

Na łuku moim kładź zatrute strzały.

O! gdyby ojca harfy jęk — o! gdyby

Jeden jęk tylko harfy Derwidowej,

A z wszystkich byłyby — o takie trupy...

(Wychodzą).

SCENA IV.

Pole toż samo.

Lech, Sygoń (zabity).

Lech.

Sygoń, tu do mnie! Sygoń! znów zabiłem

Ludzi dwunastu, miecz mi się wyszczerbił.

Co widzę! Stary Sygoń leży trupem?

O! zemsta! zemsta!

(Wchodzi Święty Gwalbert z krzyżem).

Święty Gwalbert.

Jęki króla słyszę.

Lech.

Zdejm z niego zbroję i zobacz, gdzie ranny?

Święty Gwalbert.

Na ciele żadnej nie odebrał rany,
Lecz ma zsiniałą twarz jak powieszony,
Albo zabity piorunem.

Lech.

O zemsta

Nad piorunami!...

(Wychodzi).

Święty Gwalbert.

Biedny poganinie,

Chodź, ja dam tobie pogrzeb chrześcijański.

(Wychodzi, ciągnąc trupa).

SCENA V.

Monument z druidycznych kamieni w lesie.

Derwid (na tronie kamiennym, w około dwunastu harfiarzy na dwunastu siedzi kamieniach, przy każdym harfa złota i pochodnia w ziemię zatknięta). Roza Weneda (stoi za ojcem na tronie. Dąb Derwidowy na prawo).

Derwid.

Oóż, jeszcze nie ma harfy, a ja słysze

Jęki narodu i szelest płynącej

Krwi... Jeszcze nie ma harfy — o! Bogowie!

(Wchodzi Wened ranny).

Wened.

Przybiegłem ranny. Lechici nas łamią,
Lud czeka pieśni.

Derwid.

O! Boże! o! Boże!

Wened.

Ja konam, królu — graj pieśń... ja umieram.

(Pada i kona).

Derwid (wstając na tronie i rwąc włosy)

Pioruny, bijcie we mnie! o! pioruny!
Bądźcie wy królem! a ja będę harfą!
Królestwo moje — to puch jak te włosy,
Które wiatr bierze z krwią moją wyrwane...
O! wichry, rwijcie mi włosy! o! wichry!

Lelum i Polelum (wchodzą).

Lelum.

Ojczy, giniemy, graj pieśń...

Derwid.

Idźcie skonać,

Ja nie mam harfy.

Roza Weneda.

Ustąpcie się wszyscy,

Już słyszę harfę idącą, już słyszę...
Uderzcie w tarcze, niech się zejda wodze!
Ta pieśń uczyni z nich nieśmiertelniki.
A wszyscy, co ją usłyszą, żyć będą,
A wszyscy, którzy nie usłyszą — pomrą.
(Wchodzi Śláz z harfą w skrzyni).

Śláz.

Otom się dobrze wam zasłużył, ludzie...
Przynoszę harfę — gdzie postawić?

Roza Weneda.

Daj tu...

O dąb oparta królewski, niech czeka...

Śláz.

A wam królowa kazała powiedzieć,
Ze dotrzymuje przysięgi.

Roza Weneda.

Precz, węzł

Śláz.

A to i dobrze, schowam się w bagniska.
(Odchodzi).

Roza Weneda.

Królu zwycięstwo daj twemu ludowi.

(Wchodzi wodzów dwunastu z obnażonymi mieczami, wszyscy krwawi).

Oto są wodze i pieśni godzina,
Ojcie, przy dębie Derwidowym harfa...

Der wid (wstaje z tronu i zbliża się do harfy)

O! jak mi serce drży! czy ja potrafię
W złociste struny uderzyć?... Już słyszę
Serca bijące w ludziach — gdzie ta harfa?—
Czekajcie!—Jak mi drży serce.—Gdzie harfa?
Już czuję w sobie, że wy zwyciężycie,
Jeżeli duszę w pieśń przeleje całą —
A duszę już mam w rękach, tu... jak piorun,
Jak piorun całą ją cisnę na struny
I spiorunuję pieśnią.—

(Dotyka się omackiem skrzyni harfowej)
Harfa w skrzyni —

Wenedo, otwórz.

(Roza Weneda zdejmuje wieko ze skrzyni harfowej i cofa się, odciągając ojca za rękę. W skrzyni bowiem zamiast harfy widac umarłą Lillę Wenedę w śmiertelnej koszuli, z wien-
cem bławatkowym na głowie).

Puszczajcie do harfy!

Dla czego wy mnie trzymacie za szaty?
Dla czego wstępy czynicie starcowi!—
Ja jestem pełny ducha! — ja się wyrwę
I ta pieśń moja będzie nieśmiertelna.

(Wyrwa się z rąk córki i kładzie ręce na twarzy zmarłej
Lilly Wenedy).

Cóż to?... rzecz jakaś zimna... to nie struny...
Ja pod palcami moimi czuję trupa...
Co to jest?... o! to nie harfa... to ciało
Mojej umarłej córki...

(Chwila milczenia. Roza Weneda chce ojca odprowadzić od
ciała zmarłej, starzec nie daje się córce).

Precz, gadzino!

Tu moja tamta córka... tu, tu w trumnie.
O! o! umarła! — Czekajcie! czekajcie!
Bo tu jest także pieśń, te złote włosy,
Na których będę grał. — Ja ciebie widzę!

Dzieweczko moja, widzę!... o! ja znajde
Twoje usteczka. — O! nie odrywajcie,
Nie odrywajcie wy mnie od niej, proszę!
Nie odrywajcie

Roza Weneda.

Cóż to — nie słyszycie
Tej pieśni z łez królewskich? idźcie skonać!

Derwid.

O! o! gołabek mój martwy! o! martwy!
O! już na wieki martwy.

Harfiarz.

Ojciec płacze.

Derwid.

Ja ciebie widzę, córko! — twoja postać
Stoi mi w jamie, tu, powydzieranych
Oczu. — Ja ciebie widzę w grobie głowy.
O! gwiazdeczkami ukoronowana
W pachnącym cedrze, lampo pełna blasku.
Wychodzisz z rączki otwartymi... O! o!
Tu! — czy widzicie? tu — śmieje się płacząc...
Umarła moja, najmiłsza umarła!
Moja jedyna!

Roza Weneda.

Wiedziałaś ja dawno,
Na jaką zwołam was pieśń, potępiony
Ludu przez Boga... już dawno wiedziałam
Na waszych czołach napisane krwawo
Życie trzydniowe. — Cóż! — czemu tak bladzi?
Któż tu jest kłamcą? los? czy ja? czy rozpacz,
Która niechęcych umrzeć oszukała? —
Gołębie serca! o! jak wam leniwo
Do kończącego wszystko grobu!... Trzeba
Was było wszystkich oszukać i śmierci
Pędzić, jak białą trzodę owiec, w gardło.
Nie dosyć jeszcze?... o! wy moje włosy
Wyrwane, w garść się węzów przemieniajcie
I dla strupałych ludzi bądźcie biczem!

Pierwszy z wodzów.

Wróżko! przyrzekłaś nam zwycięstwa harfe.

R o z a W e n e d a.

Ja ci przyrzekłam? — co?... Chodź tu i patrzaj!
I ty myślałeś, że więcej jest głosu
W strunach, niż w trupa niewinnego ciszy?
Gdzież taka harfa, jak ten trup? Gdzie takie
Tony żalosne, jak płacz tego ojca,
Co w rękach — córki rozwija warkocze
I szuka w nich, jak w strunach drżących, głosu?
O! przysięgnijcie wy na nią, rycerze,
Ze się pomścicie... resztę zdajcie gromom
I późnej zemście czasu... przysięgnijcie!

W o d z e.

Zaprzysięgamy zemstę... aż do śmierci.

(Wychodzą).

L e l u m (całując zmarłą siostrę).

Na ustach twoich, siostró, zaprzysięgam,
Ze zobaczymy się dziś. O! Lechici!...

Derwid (dobywa z zanadru nóż ofiarny i mówi,
przebijając się dwa razy).

Synowie! o tak — o tak — w Lecha serce...

(Pada martwy).

R o z a W e n e d a.

Tam stos na prawo... Weźcie te dwa ciała
I spalcie razem, a w około stosu

Trzymajcie urny z królów popiołami:

Jeśli by który Lechita szedł gwałtem

I chciał ze stosu porwać ciała święte,

To wy go tymi urny przywalicie.

(Harfiarze biorą urny i pochodnie. — Czterech zaś kładą na
barki ciała Derwida i Lillę Wenedę w skrzyni cedrowej
i wychodzą. — Roza Weneda obraca się do Lelum i Pole-
lum i mówi).

Tu na tronowym kamieniu ułożę

Stos z pachnącego drzewa... Czekam na was...

(Lelum, Polelum wychodzą walczyć, Roza Weneda odchodzi
w głąb lasu).

SCENA VI

Pole walki. — Noc. — Burza.

Lech (wchodzi).

Złamani!... Tych psów wycinać do reszty!
Cóż to za rycerz?...

(Wchodzi Gwinona w zbroi).

Gwinona.

Jam się uzbroiła
Mścić się za mego syna! mścić się jeszcze.

Lech.

Można ich teraz rąbać jak barany...
Zupełnie ducha stracili ci ludzie.
Stracili ducha o samej północy
I odtąd rąbią ich nasi jak trzodę.

Gwinona.

Harfiarza! ja chcę harfiarza!

Lech.

Ostrożnie,

Bo przy nim musi być ludzi ostatek.

(Gwinona wychodzi. — Święty Gwalbert wchodzi).

A ty co robisz?

Święty Gwalbert.

Ja chrzczę niedobitych.

Aż mi się Matka Chrystusowa zjawi...

Lech.

Chciałbym napotkać dwugłowego wodza
I ofiarować życie potworowi,
Byleby chodził za pługiem.

(Wychodzi).

Święty Gwalbert.

A ja tu

Siadę na kępie... Kto noc taką widział,
Ten wie, co waży świat... co warci ludzie...

Litośniejszymi są pioruny złote,
Bo tylko sosnom serca rozdzierają.
Na toż to matkom dzieci swe hodowac,
Aby z nich były kiedyś takie jatki?
Każdy trup tyle wart, ile kosztował;
Spytasz się matki, niech oceni trupa,
Złękiesz się... gdybyś zapłacił, co mówi,
Mogłaby kupić za zmarłego syna
Żywe królestwo, gdzie są miliony
Synów i matek...

(Ślaz pokazuje głowę z po za kępy)

Ślaz.

Prześwięty Gwalbercie!

Święty Gwalbert.

A co tu robisz, Ślaziu?

Ślaz.

Grzęznę w błocie.

Święty Gwalbert.

A jakże ty się tu znalazłeś?

Ślaz.

Święty!

Wprzód mię wyratuj za uszy — bo tone,

A potem twoje zaspokoję uszy...

Święty Gwalbert.

Łajdaku, ty mi spalił cełę.

Ślaz.

Nie ja,

Dyabeł ją spalił... jam cię, ojcze, szukał,

Aby się tobie na dyabła poskarżyć...

Święty Gwalbert.

Dziś odkupienia noc... Gapiu, chodź ze mną.

Ślaz.

Teraz do śmierci będę księżym sługą.

(Wychodzi).

SCENA VII.

Inna część pola.

Lech (wchodzi).

Zabiłem wodza pół...

Gryf (wchodzi).

Gdzie Lech?

Lech.

Co słysząc?

Gryf.

Małżonka twoja, panie, leży trupem.

Lech.

Zabita?

Gryf.

Panie! okropnie zabita,
A tem okropniej, że już lud Wenedów
Bezbronny, miecze rzucając, uciekał...
Kiedy królowa, obaczywszy wzgórze
I płomień wielki, czerwony, i wieniec
Czarnych postaci przy płomieniu krwawym,
Krzyknęła: Derwid tam musi być stary;
I z obnażonym mieczem szła na górę.
Wtenczas ci czarni stojący przy stosie,
Na którym dwoje paliło się trupa,
Chwycili urny pełne dawnych prochow
I na królową, co się skał miała,
Rzucili z góry straszne popielnice. —
Przybiegłem... ona leżała okryta
Prochem i ludzi umarłych kośćciami,
Z piersią okropnie roztrzaskaną — martwa.

Lech.

Biedne me dziatki... będą pytać o nią.
Patrzaj, nie mogę teraz płakać—krwawy
Nieście do zamku zwłoki nieszcześliwej
I kaźcie obmyć z ludzkiego popiołu.

(Wychodzą).

SCENA VIII.

Monument druidyczny. — Stos ułożony w miejscu, gdzie stał tron Derwida.

Roza Weneda (sama).

Już lud wyrżnięty i ustaje burza.
Przed chwilą tu był król, ludzie, pochodnie;
Teraz dwanaście tych pustych kamieni,
I tak na wieki już! i tak na wieki!

(Wchodzi Polelum, niosąc na rękach ciało zabitego brata,
jeszcze przykute don łańcuchem).

I cóż, nie mówisz nic do mnie, Polelum?

Polelum.

O! patrz, zabity brat na piersiach mi śpi.

Roza Weneda.

Czy rozciąć łańcuch między wami dwoma?

Polelum.

Nie rusz łańcucha. — Gdzie stos dla umarłych?

Roza Weneda.

Masz zgliszcze—burza zgasiła pochodnie.

Polelum.

Poszukaj ognia.

Roza Weneda.

Ogień dadzą chmury.

(Polelum wchodzi na stos z trupem brata).

Polelum.

Jam gotów... pieśnią zawołaj piorunów.
O! śpij na piersiach moich, bracie błądy.
Wszystko skłonione do snu na tym świecie. —
Wróżko, zawołaj piorunów; jam gotów...

Roza Weneda.

Podnieś do nieba rękę z ręką trupa.
Wołajcie oba gromów łańcuchami.

(Wchodzi Lecl)

Lech.

Stójcie, poganie! przynoszę wam życie.

(Wchodzi święty Gwalbert)

Święty Gwalbert.

Stójcie, poganie! przynoszę wam wiarę.

Polelum.

Życie i wiarę?!... Boże! patrzaj z nieba
Na tych dwóch ludzi przed stołem Weneda
Konającego — patrzaj na tych ludzi,
I pomyśl, jakim ty dajesz stworzeniom
Chwilę tryumfu i urągowiska?
I przyszli, kiedy lud mój cały skonał!
I przyszli, kiedy mój brat już nie żyje!
I przyszli, kiedy niebo oświecone
Łunami stosów, gdzie się palą trupy!
I tu mi dają życie. O! stworzenia!
Czuje nad wami w sercu wielką litość
I wielką wzdargę! O! nie pozwól, Boże,
Aby grobowiec mój był na tej ziemi,
Gdzie oni żyją. — Chmury! czarne chmury,
Co uciekacie z nad trupiego pola,
Ostatnie miecąc pioruny... o! chmury!
Podnoszę do was tę rękę w łańcuchu,
Z tą drugą ręką mego brata trupa;
Obie te ręce i ten łańcuch proszą
O piorun jasny, litosny, ostatni...
Cóż! nie słuchacie? — Więc tą ręką trupią
I tym łańcuchem wyzywam do walki
Was, napelnione piorunami burze,
Aż prośbą piorun wasz niewywołany
Wydrę przekleństwem!

(Piorun bije w stos i drzewo zajmuje się złotym płomieniem. —
Lelum i Polelum nikną w blasku. — Powoli nad gasnącym
stołem ukazuje się postać Bogarodzicy).

Święty Gwalbert (pokazując na zjawienie).

Ave, Nieśmiertelna!

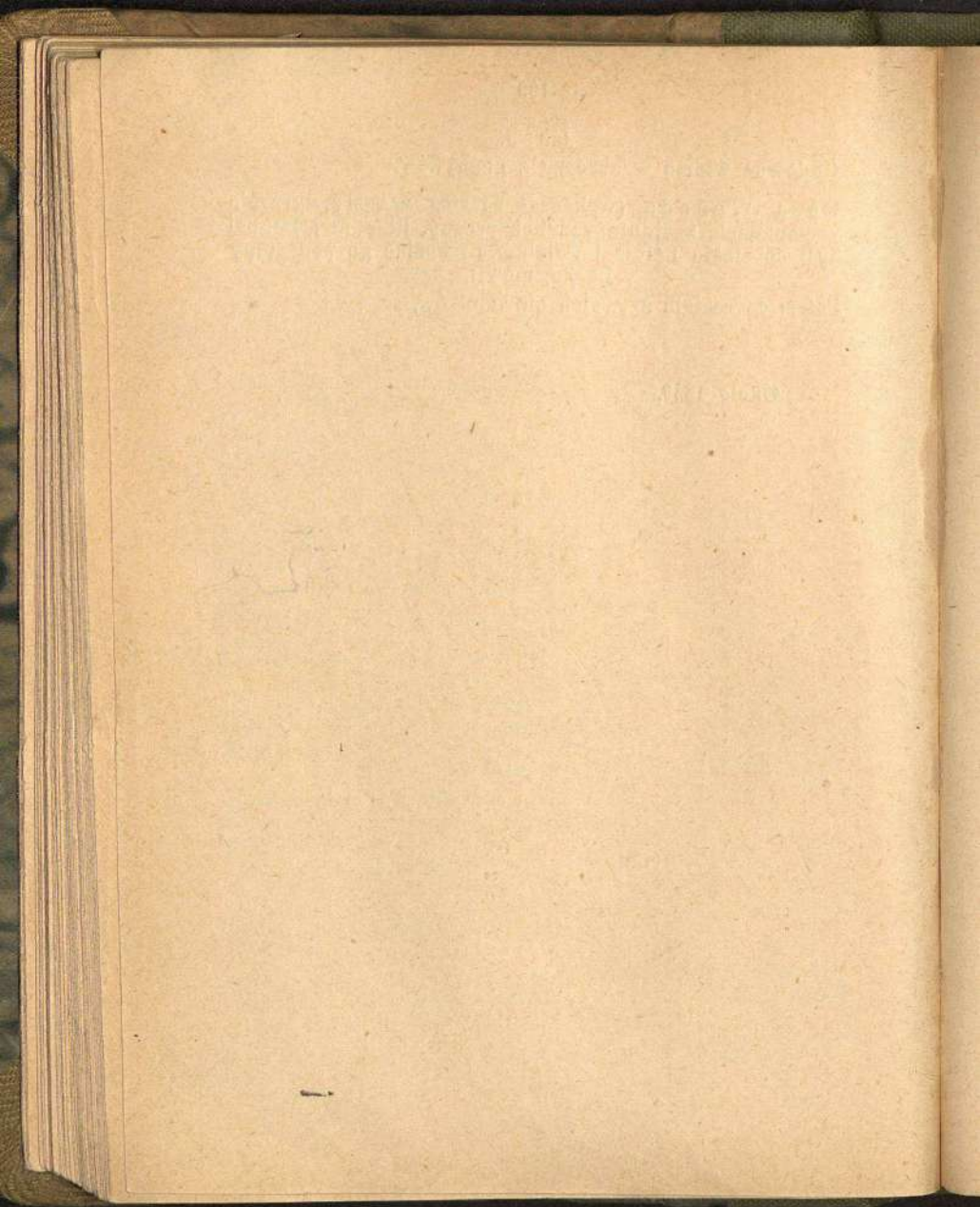
Lech.

Cudowne widmo w obręczy z płomyków.

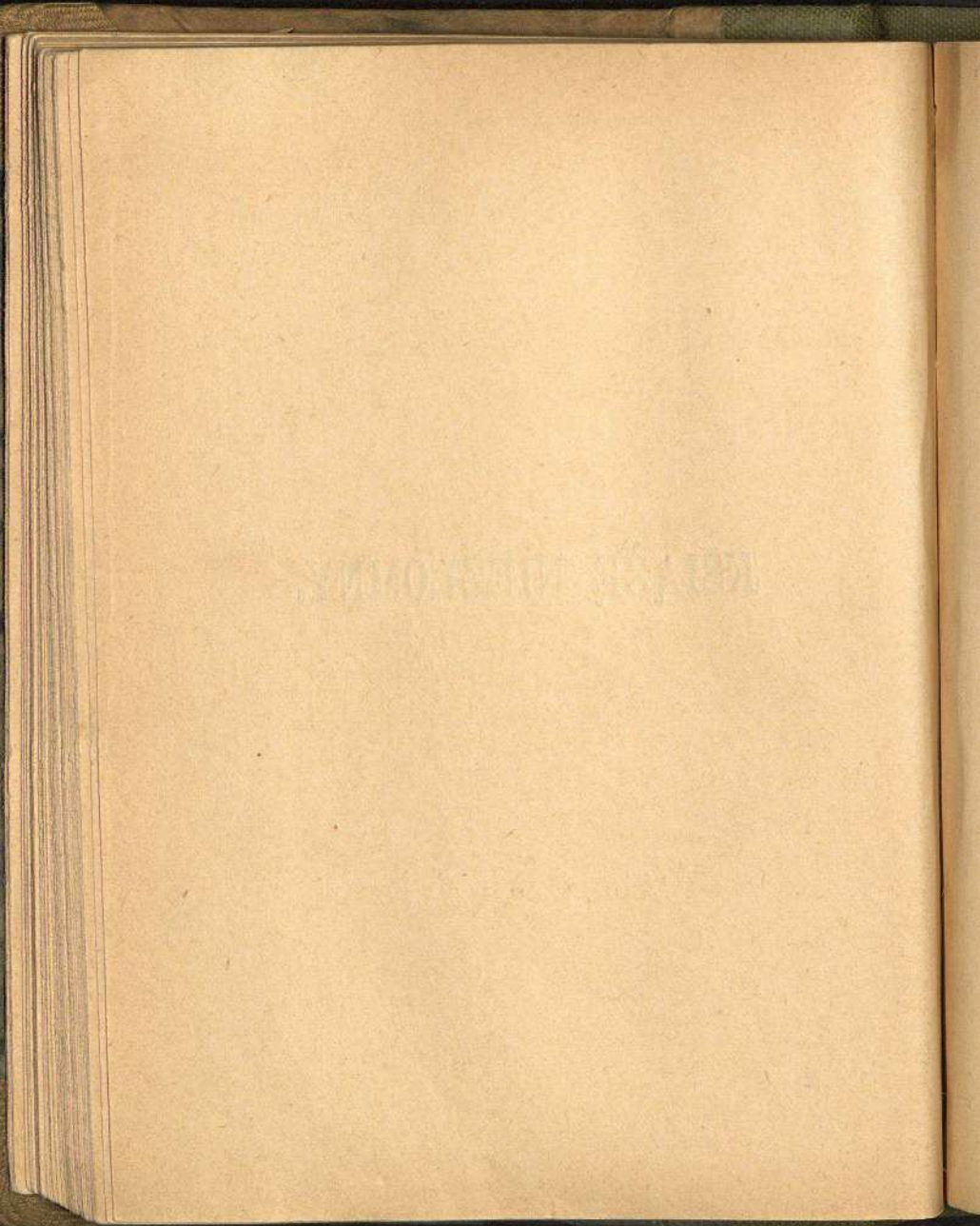
Roza Weneda (wchodząc na stos zagasiły, grzebie w popiołach, znajduje łańcuch próżny, którym przykuci byli do siebie Lelum i Polelum, i rzucając go pod stopy Lecha, mówi).

Patrz! co zostało z twoich niewolników.

Okolo 1839.



KSIAŻE NIEZŁOMNY.



DZIEŃ I.

Ogród nad morzem w Maurytanii.

Niewolnicy (pracują). — Wchodzi Zara (służebna królewnej Fezu).

Zara.

Zaspiewajcie, niewolnicy.
Moja pani wśród łązienki
W perłowej igra miednicy
Jak łabędzie bałamutne,
I prosi was o piosenki,
Ale tęskne, ale smutne.

Pierwszy niewolnik.

Czyliż naszych brzęk kajdanów,
Czyliż pieśni niewolników
Rozweselić mogą panów?

Zara.

Ona lubi śpiew słowików,
Kiedy się po laurach gubi,
I piosenki wasze lubi.
Zaspiewajcie, Fenix słucha.

Niewolnik.

Nasza pierś boleścią głucha.
Ach! najgorsze przeznaczenie!
I najgorsze to cierpienie
Śpiewać, kiedy serce boli!
Śpiewać temu, co w niewoli.

Trzeba na to być ptaszkami
Bez rozumu.

Z a r a.

Czyż wy sami
Nie śpiewacie bez rozkazu?

Niewolnik.

Każda boleść chce wyrazu,
Kiedy w sercu jej za ciasno.
I my tłumim boleść własną,
Gdy nas z kajdan pieśń unosi.

Z a r a.

Zaśpiewajcie, Fenix prosi.

Niewolnicy (śpiewając).

Czas jest panem tego świata,
Czas jest panem i mak duszy;
Czegoż srogi czas nie skruszy,
Nad grobami gdy przelata!

Z a r a.

Dosyć pieśni, Fenixana
Już umyta i ubrana,
Sama schodzi do ogrodu
Użyć porannego chłodu.
Niech się każdy kwiatek lęka,
Że pięknością go zagasi,
Bo wychodzi jak jutrzienka.

Schodzi Fenixana, córka króla Fezu i niewolnice jej
Estrella, Roza i Selina).

Estrella (do Fenixany).

Wstałaś, piękna?

Z a r a.

Wdzięk twój krasi

Cały ogród, oko pali.
Niech się jutrzienka nie chwali,
Że ten ogród nie ciemnieje,
Bo nie ona światło leje;
Bo ogród ten pośród gmachów
Nie od drzew nabrał zapachów,
Nie od róż nabrał rubinów,

Białości nie od jaśminów,
Lecz od ciebie.

Fenixana (do Estrelli).
Daj zwierciadło.

Estrella.
Nie dziw, piękna, żeś ciekawa
Tej płci, na którą nie padło
Zadnej plamki.

Fenixana.
Głosi sława,
Że ja piękna, że ja miła.
Gdyby to i prawda była,
Cóż mi po tem? kiedy źle mił
Nie wesoło na tej ziemi!

Selina.
Cóż ci jest?

Fenixana.
Co jest, Selino?
Ach! gdybym ja to sama zgadła!
Gdyby mi to od zwierciadła
Powiedziano!... ach!... dziewczyno,
Wnet bym sama boleść własną
Nakarmiła do przesytu
I widziała w sercu jasno.
Ale teraz, w mgle przedświt,
Czuję tylko, że mnie kruszy
Jakiś smutek i tęsknota;
I że to jest męka duszy,
Męka duszy i zgryzota,
Gdy w uczuciach się tych miota,
Których czuciem czuć nie może.

Zara.
Jeśli cię, pani, nie bawia
Te ogrody w barw ubiorze,
Gdzie wiosnie posagi stawia
Róże, w poplątanych czołach,
Na jaśminowych kościolach
Obróć twe oczy na morze.

Kędy dla twojej tęsknoty
Płynie wóz ze słońca złoty.

R o z a.

Gdy taki zachód zobaczy
Na morza ognistym łonie,
Ten cały ogród w rozpacz
I melancholiach utonie
I zawoła, idąc w cień:
Ach! jakże krótki był dzień!

F e n i x a n a.

Ani się tem rozweseli,
Ani tem żądań ukorzę,
Że moje smutki podzielię
Pomiędzy ziemię i morze,
Że pójdę z myślami w tan
I sprzegnę te oba światy,
Z pianami równając kwiaty,
Kwiaty równając do pian.

Bo ogród, kiedy zazdrośny
Spojrzy na fale szalone,
Chciałby tak płynąć jak one:
I zaraz zefir miłosny
Dwa razy miłośniej dysze;
I szalenię rozkochany,
Z gałęzi, które kołysze,
Czyni kwiatów oceany.

A morze, gdy się zasmuci,
Spojrzawszy na te ogrody,
Wnet ucisza szklane wody;
Z fal wysokich pianę zrzuci
I drugim prawom poddane,
Równe zdobywa uroki,
Z szmaragdów mając zatoki,
Z błękitów piersi ulane.

I tak, tu kwiatowy łąn
I ogród pełen szkarłatów
Wydaje się morzem kwiatów:
Tam morze—ogrodem pian. —

Ach! cóż to za smutek głęboki,
Ten smutek, co w sercu ma łożę?

Że nie dba na kwiatów uroki,
Na niebo, na ziemię i morze.

Z a r a.

Wielki smutek twój! ach! i głęboki!
(Wchodzi król Fezu, ojciec Fenixany, z miniaturą w ręku).

K r ó l.

Jeśli, moja Fenixano,
Na piękność i smutek chora,
Chcesz być zdrowszą dziś, niż wczora,
I zdrowszą, niż byłeś rano:
Oto jest portret infanta
Maurytanów, Tarudanta,
Który cię uleczy pewnie
Na długo. — Cóż to, tak blada? —
Infant u nóg twoich składa
Koronę, jako królownie.
A ten portret, choć nie gada
Za niego, u nas zagości.
Każda niema ambasada
Ambasadą jest miłości.
Za infantem najgoręcej
Wstawiam się... bowiem mieć będę
Zięcia i dziesięć tysięcy
Przyprowadzonych łuczników,
Z którymi Ceutę zdobędę.
Płoń się, córko... tych płomyków
Miłosnych tobie pozwolę. —
Owszem — serce puść na wolę,
Niech kocha przyszłego pana.

Fenixana.

O Boże!

K r ó l.

Cóż tak zmieszana?

Fenixana (na stronie).

Wyrokiem śmierci!

K r ó l.

Cóż, przecie?

Trwogi te łatwo ukoim.

Fenixana.

Jestem twe posłuszne dziecko,
Ty ojcem... ty królem moim.

(Na stronie).

Cóż mu powiem?... ach, kochanku,
Muleju, straciłeś żonę!
O! nieszczęśliwy poranku!
O! chwile nie w czas stracone!

(Głośno).

Ojczel pokora mnie łamie
Aż tu.

(Kłęk).

Aż do twych obuwi.

(Na stronie).

Dusza, co to myśli — kłamie!
Kłamie głos, który to mówi!

Krół.

Weź portret.

Fenixana (biorąc miniaturę).

Ojciec przymusza?

(Na stronie)

Ręce go biorą, nie dusza.

(Wchodzi Selim, dozorca niewolników).

Selim.

Mulej, twój wódz, królu panie,
Prosi cię o posłuchanie.
Z Fezańskiego morza wraca.

Krół.

Niech wejdzie.

(Wchodzi Mulej, wódz galer fezańskich).

Mulej.

Gdzie zorza ozłaca

Tak wysokie pańskie progi,
Gdzie człowieka czeka z drogi
Taka zorza, córka słońca,
Któż czoła nie rozpogodzi?
Nie uczyni z siebie gońca,

Za którym pomyślność nie chodzi?
Pozwól mi twej ręki, pani.
Niechaj dar taki otrzymam,
Jak najwierniejsi poddani,
Pełni serca i przymiotów:
Bo dla usług twych miecza się imam.
I dla usług twych zginąć jam gotów.

Fenixana (na stronie).

Cóż mu powiem? o chwilo boleści!
Cóż mu powiem?—ach, umrę z rozpacz!

(Głośno).

O Muleju, czy dobre są wieści?

Mulej.

Czy są dobre, sam król to zobaczy
I osądzi... podług mnie, będą dobre.

Król.

Cóż tam przecie?

Mulej.

Lecz serce miej chrobre

I na wszystko, o panie, odważne,
Bo czas ważny i wieści są ważne.

Król.

Gadaj wszystko, co wiesz, gadaj śmiało.
Kto ma duszę na wszystko wytrwałą,
Złe i dobre — z równą twarzą powita.
Siadaj, córko. —

Mulej.

Czyż mu wszystko obwiesz?

Król.

Niech twarz złego nie będzie mi skryta.

Mulej.

Trudno mówić... milczeć trudniej mi jeszcze.
Jakoś mi, panie, polecił,
Wziawszy tylko dwie galery,
Wyplynałem z tego portu
Zwiedzić brzegi barbaryjskie.
A jakoś chciał, bym podstąpił

Aż pod to miasto przesławne,
Przed wiekami zbudowane
U Herkulesowych słupów,
Ceutą u ludzi nazwane:
Które słowo u Hebreów
I u Arabów znaczyło:
Piękność... Jakoż miasto owo
I dzisiaj w piękność rozkwita;
A na hańbę naszej wierze
I na wstyd Mahometanom.
Na murach dziś portugalskie
Sztandary nosi i krzyże.
I przeciwko flotom naszym
Obrócone trzyma spiże
I wieczny opór stanowi
I wieczną skałę zakłada
Twych zwycięstw wielkiemu Nilowi;
A z Hiszpanią aż przez morze gada —
Pod to miasto podpłynąłem,
Abym obaczył rynsztunek
I wierny ci zdał rachunek:
Ile wież z krzyżowem czołem
Grozi ci marnymi trwogi,
Ile w nim stoi załogi;
Abym wypatrzył, jakimi
Siłami weźmiesz je, panie,
Czy od morza, czy od ziemi,
Czy przez głód, czy szturmowania. —
I wiem, że niebo ci chowa
To zwycięstwo i tę chwałę;
Abyś to miasto wspinałe
Przywrócił do swej korony —
Ale dzisiaj trwoga nowa,
Inna troska, z innej strony,
Czeka cie, panie: i siły
Na Ceutę przygotowane
Będą Tangieru bronily. —
A to wiem... bo fale szklane
Depcąc jednego poranku,
O tej godzinie, gdy zorza
Wyziera nad szafir morza,

A na chmur ognistych wianku
Słońce swe rozwiesza włosy
Po różach i po jaśminach,
Śnieg i ogień udając i kłosa
Sypiące się na fale... w bursztynach
Owej zorzy, gościńcem odmetów
Szła girlanda szarawa okrętów,
Niby stado tak nikłe, że z razu
Oczy moje powiedzieć nie śmiały,
Czy okręty to były, czy skały...
Bo jak na płótnach obrazu
Malarz, udawca natury,
Jedną kreską czyni góry,
Albo miasta, wielkie grody:
Tak i na błękitach wody,
Gdy cień się ze światłem pomiesza,
Niebiosa do wód się nachyla:
Myśl różne straszyla wskrzesza
I błąka i oczy się myła...
Otóż z razu, myśl ciekawa
Obaczyła tylko tłum
I parę i mgłę i szum,
Tak blisko przy nawie nawa,
I tak zdaleka płynęły...
Potem — gdy niebios dotknęły,
Najwyższymi żagłów pióry,
Pomyśleliśmy, że chmury,
Chmury wielkie, czarne, chyże,
Co po niebie lotem gonią
I deszcze poczną w szafirze,
A tu kryształ urońia.
I tak długośmy mniemali;
Bo zdawała się tak wielka
Gromada ludzi... że z fali
Mórz nie zostanie kropelka,
Kiedy ją, w hełmy rozbiora.
Potem statki z piany runem,
Jak potwora za potwora,
Kiedy idą za Neptunem
I z pod skał ciągle wychod
Nowe i nowe straszyla...

Nagle!... gdy podniosły skrzydła,
Całe w słonecznych opalach
I otrząsły je na falach,
Myśleliśmy, że fale je rodzą...
Wtem bliżej... ujrzały wzroki
Wyraźniej, już nie obłoki,
Już nie skrzydła, nie trytony,
Ale jakieś Babilony,
Idące po złotej ziemi
Z chorągwiami ognistymi...
Wtenczas spostrzegłszy i żebra
Okrętów, tłukące je wały,
Pod nimi, jak góry ze srebra,
Pod nimi z kryształu — jak skały.
Wtenczas, poznawszy, że flotę
Tak wielką i tak przemożną,
Kazała rycerska cnota,
W niebezpieczeństwach ostrożna,
(Bo i to w rycerzu waży,
Gdy się dobrze ma na straży),
Kazała mi, mówię, panie,
Jako świadomszemu morza,
Skryć się w tajemne przystanie,
Między dwa skalne wydroża,
Gdziem bezpiecznie mógł stać z galerami.
Otóż ta flota przed nami
Przepłynęła — nie spostrzegła.
A ja chcąc wiedzieć, gdzie biegła?
Komu niesła miecz zagłady?
Wypłynąłem za nią w ślady
I tu—Bogu memu chwała —
Spotkałem jeden z Armady
Okręt.

Wiadomo, że cała
Flota, na morzu odkryta,
Była srogą burzą bita...
Otóż jedna smętna nawa,
Co większej doznała szkody,
Potrzaskana i dziurawa,
Chwiejąca się, pełna wody,
Nie mogąca jej wyzionąć,

Za każdym nowym bałwanem
Już, już — już zdająca się tonąć,
Stała na morzu. — O! panie,
Choć ja jestem Maurytanem,
Sądzę, że politowanie
W takim nieszczęściu i stanie
Od Maurytan się należy? —
Przybiegłem, jak sokół bieży,
I stanąłem jej przy boku...
A ci rozbici... ach! jaka
Chęć życia w ludziach!... gdy nagle
Ujrzeli mię jako ptaka,
Ze skrzydłami, ze skrą w oku:
Mimo bojaźń — sznury, żagle
Przemieniali na drabiny
I szli w klatkę jak ptaszyny
I sami łańcuchy brali...
A drudzy im urągali,
Widząc schronionych bezpiecznie
I drabiny tnąc toporem,
Krzyczeli: że umrzeć z honorem
I wolnym — jest to żyć wiecznie...
I w morze rzucali ciała —
Portugalska próżna chwała!!!

Od jednego więc z tych wziętych
Wiem, że owe pawilony
Wyłynęły aż z Lizbony,
I po falach idą wzdętych
Tu na Tangier; klnąc się Bogiem
I rycerstwem, że Dej stary
Tu, nad wieżyc swoich rogiem,
Ujrzy te same sztandary,
Co są w Ceucie, — los batalii
To pokaże, że się mylą!...
Podług nich, król Portugalii,
Przed którym światy się chyła,
Którego zwycięska sława
Sztandary swoje zatyka
Aż tam, gdzie ziemi nie stawa,
Gdzie rzymski orzeł lot traci,
Wysłał obu swoich braci,

Fernandesa i Henryka,
Aby tu ich wiek ciekawy
Ujrzał obu w słońcach sławy;
I za wielkie nasze klęski
Przyklasnął, jako wiek klaszcze.
Fernand, to mistrz Awiceński,
Henryk, to mistrz Chrystusowy;
Oba noszą białe płaszcze,
Rządzą wielkie dwa zakony:
Jeden krzyż ma purpurowy,
Drugi wielki krzyż zielony;
Oba wiodą różnej broni
Do czternastu aż tysięcy;
A niepłatnych jeszcze więcej,
Co idą jak na popisy:
A do tysiąca aż koni
Poprzebieranych w tygrysy,
Na jednorożce przekutych...
Taka fantazya jest u tych
Hiszpanów!!!

Te więc szeregi
Depcą może nasze brzegi,
Albo już u ładu stoja.
Spieszmy, o! panie, z obroną.
Weź miecz i okryj się zbroją.
Weź tę chorągiew zieloną,
Podobną do gromów obłoka,
Chorągiew naszego Proroka.
Niech ze mną straż idzie przednia
I niech się sprawdzi nad nimi
Morabitów przepowiednia:
Ze tu, w tych piaskach, w tej ziemi,
Co nas nosi na swem łonie,
Jest grób portugalskiej koronie.
I niech widzą nasze oczy,
Jak ta śma czarnego sokoła
Przefarbuje nasze zioła
I morze krwią na czerwień przebroczy

K r ó l.

Muleju, dość! nie mów dalej,
Bo mi żyły krwią wybryzną.

Bo dla serca, co się pali,
Każde słowo jest trucizną.
Pomyśle, aby te franty,
Ci dumni, zostali w Afryce.
Pomyśle, by tu ciemnice
I grób znaleźli infanty.
Muleju, weź nieco konnych,
Ruszał zaraz na mórz brzegi
I broń, aby te szeregi
Brzegów naszych nieobronnych
Nie wzięły bez krwi. Krew ci powie,
Jak uczynić w tym razie należy;
I uczynisz, jak czynili ojcowie.
Ja tymczasem zgromadzę rycerzy
A pośpiechu i sił nie poskapię,
I po tobie krok w krok tam nastapię.
I pokażę, że dzień jeden zakończy
Krwawe nasze wiekowe turnieje;
Że mi Ceutę do korony przyłączy
A tu, Tangier krwią hiszpańską obleje.

(Wychodzi).

Mulej.

O! Fenixano! blizki czy daleki,
Tak skarg już moje nauczyłem wargi,
Ze zawsze one gotowe do skargi,
I śmierć je chyba zagłuszy na wieki.
A choć nie umiesz zazdrości ocenić,
Choć mię obwiniasz, że uchybiam tobie,
Naprawdę chciałbym wyrazić odmienić,
Bo zazdrość o słów nie myśli ozdobić.
Cóż to za portret? o! dziewczyno sroga!
Cóż to za portret ręka twoja pieści?
Któż to jest? powiedz, kto to jest na Bogar...
Ach nie powiada! dosyć już boleści...
Dość, że go twoja biała ręka trzyma,
Ze nim jak różą zerwaną kołysze.
Ach, dosyć dla mnie, że widzę oczyma,
Niechaj przynajmniej z twoich ust nie słyszę.

Fenixana.

Pozwoliłam ci, abyś mnie miłował,
Nie pozwoliłam, abyś mnie obrażał.

Mulej.

Jam już wyrazów prędkich pożałował,
Bom w żalu mówił i na styl nie zważał.
Ale wiem, że mówić potrzeba inaczej.
Ale któż myśli o słowach w rozpaczey?
Milczeć?... ach, miłość potrafi ogłuchnąć,
Milczeć... Lecz zazdrość... ta musi wybuchnąć,
Musi wybuchnąć.

Fenixana.

Chociaż mi się zdaje,
Żeś nie zasłużył, bym się tłumaczyła,
Ponieważ różnych mam wymówek siła,
A mam ich wiele — najlepszą ci daję.

Mulej.

Więc masz wymówkę?

Fenixana.

Mam.

Mulej.

O! Bogu dzięki.

Fenixana.

Ten portret z ojca mojego mam ręki.
A przysłał mi go...

Mulej.

Kto?

Fenixana.

Fezki królewic.

Mulej.

W jakim zamiarze?

Fenixana.

Bo mój ojciec stary,
Który się nie zna nic na se dziewic...

Mulej.

Co?

Fenixana.

Pretenduje, oraz ma zamiary
Te dwa królestwa Fezu i Tangieru.

Mulej.

Dość! Ta wymówka jest podobna zeru...
Taką wymówkę dajesz? o! nie dzięki!
Nie dzięki tobie... Czy masz lepszą inną?

Fenixana.

Ale ten portret ja mam z ojca ręki,
I sędzę, że jest zupełnie niewinna.

Mulej.

Winnaś!—bo trzeba było... trzeba było...
Choćby ci ojciec zagrażał mogiła,
Portret odrzucić...

Fenixana.

Jakaż dać przyczynę

Mulej.

Nie wiem... co skłamać.

Fenixana.

Z kłamstwa ja nie słyszę..

Cóż miałam czynić?

Mulej

Co?—umrzeć w potrzebie,

Jabym to łatwo uczynił dla ciebie.

Fenixana.

Przymus był wielki.

Mulej.

Achl serca zmienienie!...

Fenixana.

Przymus i siła...

Mulej.

Któż się podda sile?

Fenixana.

Cóż więc być mogło?

Mulej.

Moje oddalenie!

Ach, oddalenie podobne mogile,
Które mnie w grobie ciemnym położyła
A teraz jeszcze drugi raz odjadę,
A ty mię drugą nakryjesz mogiłą.

Fenixana.

Otóż, Muleju, dam ci jedną radę:
Abyś tu zaczął skarżyć się w Tangierze
I aż do Fezu ciągnął to stękanie...

Mulej.

Zaprawdę boleść moją tak rozszerza
Ze aż do Fezu za tobą dostanie.

Fenixana.

A teraz bądź zdrów, jedź, bo już nie rano.
Przymus ci każe opuścić te mury.

Mulej.

„Odsyłasz mię? o! Fenixano?
I nie oddasz mi tej miniatury?”

Fenixana.

Ach, jak smutna to chwila... ach smutna
Miniatura ta na mnie spoziera!
(Wychodzi).

Mulej.

Więc ci z ręki ją wyrwę, okrutna,
To, co serce mi z piersi wydiera.
(Wychodzi).

ZMIANA I.

Brzeg morski. Słychać wrzask i szum wylądowania.

Wchodzą na scenę Don Fernand i Don Henryk,
infanci portugalscy, Don Zuan Coutinio
i Żołnierze.

Don Fernand (skacząc na ląd).

Pierwszy, o! piękna Afryko, wyskoczę
Na twoje brzegi i nadepcę nogą.
A ty czuj, jak cię moją stopą tłoczę,
A ty czuj pana i poddaj się z trwogą.

Don Henryk.

Ja drugi skoczę na ląd.

(Wyskakuje i pada).

O! mój Boże!

Aż tu ścigają za mną wróżby czarne?

Don Fernand.

Nic, Don Henryku; wróżba nic nie może.
Przeciw krzyżowi — strachy to są marne.
A że upadłeś? to ja tak tłómaczę,
Ze ziemia, pana uczuwszy i księcia,
Sama się jemu chciała dać w objęcia...

Don Henryk.

Ziemia to pusta... Arabcy tułacze
Poszli w pustynie...

Don Żuan.

Tangier zawarł bramę.

Don Fernand.

W mieście my naszych wrogów poszukamy.
Niech z harmat pierwszej wystrzelą na salwy
Ty, Don Żuanie Coutinio z Miralwy,
Idź i pod miasto podbiegnij zamknięte;
Ostrzeż, niech próżną nie drażni obroną
Ognia i miecza, bo gdy będzie wzięte,
Domy się zwałą w krew, kościoty spłoną.

Don Żuan.

Wkrótce pod miejską ujrzyecie mnie brona;
Choćby to miasto na dymu ciemnicy
Stało, jak wulkan z krwi i z błyskawicy.

(Odchodzi).

(Wchodzi Brytasz, trefniś)

Brytasz.

Chwała Bogu! że przecie stoję o swej sile
Na brzegu, kędy mają widzę i apryle;
A już nie te przeklęte bałwany i szkuty,
Kakatosy, maestry, gdzie człowiek ma buty,
Ale chodzić nie może; gdzie od kul ucieka,
To wpada w morze, kędy pan ludożer czeka.
Jak to mówią u ludzi, spadł z rynn pod wodę...
Dość morza — lubię lepszą na ziemi wygodę.

Poezyc Słowackiego. — Tom III.

(Całuje ziemię).

Kochana ziemio moja, noś mię, ja człek ładu —
Radbym ostatecznego doczekać się sądu
Na ziemi, nie na morzu.

Don Henryk (do Fernanda).

Co ty nań uważasz?

Don Fernand.

A ty czemu się wróżby marnymi przerażasz?
Dla czego smętny stoisz z rozwianymi włosy?

Don Henryk.

Duch mój pełny przestachu. Przeciwnie nam losy:
Z Lizbony wyjeżdżając, gdy szeregi dzielne
Wsiadały, to ja strachy widziałem śmiertelne.
Zaledwo barbaryjskich dotknęliśmy łądów,
Słońce, jak gdyby na dzień ostatecznych sądów,
W chmury krwawe zabiegło i w niebiosą wkleśło.
A morze ciemne, czarne, okrętami trzęsło.
I teraz, gdy nań spojrzę, to kolor ma taki
Jak krew. Patrz na niebiosą, zewsząd czarne ptaki.
Patrz nad morzem... jakby z mgły posępne osoby.
Patrz na ziemię—zdaje się, że wszędy są groby,
W które za każdym krokiem człowiek błędny wpada.

Don Fernand.

Moja miłość inaczej to wszystko wyklada:
Ze nam burza uniosła jeden okręt zbity?
To zwyczajny przypadek. Ze niebios błękitny
Zaćmiły się i kolor wzięły szczeroloty?
Poważny? to nie groźba, ale cześć dla floty.
Ze potwory za nami wyzierały z morza?
Ze czarna chmura ptaków migotała zorza? ,
To nie przeciw nam wróżba, lecz strach na Arabych;
Wszakże tych ptaków nasze nie niosły koraby?
Nie ciągnęły za sobą? ale tu znachodzą?
Więc tej arabskiej ziemi owe wróżby szkodzą,
Jeżeli są wróżbami. Maur niech patrzy na nie.
Ale my, mój Henryku, oba chrześcijanie,
My, cośmy nie dla marnej tu przyszli potęgi,
Nie po to, aby nami zaczerwionę księgi

Po wielu wiekach o nas do ludzi gadały...
My, cośmy tu dla Boga i dla Jego chwały
Abyśmy kościół Jego szablami podparli;
Z tą wiedzą, że zarówno obabyśmy zmarli,
Choćbyśmy tylko szczęścia szukali jak drudzy;
Czegoż się boim Boga? wierni Jego słudzy!
Czemuż my się na wróżbach oparli, nie na Nim?
My, cośmy przyszli z naszej krwi ofiarowaniem.
(Wchodzi Don Żuan).

Ale cóż to od pola?...

Don Żuan.

Książęta,
Kiedym wasze wypełniał rozkazy,
Tam, gdzie góra w łuk zagięta
Łamie się w piętra dwa razy,
Usłyszałem w strasznej wrzawie
Pod nieba strefą niebieską
Zlatującą konnicę Fezką...
Zdawało się, że żorawie,
Na Pigmeów w wielkim gniewie,
Szary klucz na niebie klecą...
Ziemia nie wie i wiatr nie wie,
Czy oni biegną, czy lecą.

Don Fernand.

Idźmy powitać te wrogi.
Niech strzelce staną na czoło.
Siodłać konie, a wesole!
Wdziać koleczugi — od głów do nogi
Zbroić się i stawać w szykul —
O! szczęśliwy dzień, Henryku,
Zwycięstwo nam w ręce dane.

Don Henryk.

Ja, twój brat, przy tobie stanę,
Piersi także mam niezłomne,
O strasznych wróżbach zapomnę
I pokażę, że śmierć mnie nie trwoży.

(Wychodzą i słysząc odgłos walki).

Brytasz (sam).

A ja tam, gdzie śmierć się sroży,
Nie pójdę... w każdym hazardzie
Ja stoję na ariergardzie
I wulkan ze mnie wybucha. —

(Patrzac na walkę).

Ach jaka tam zawierucha!
Jaki blask, jaki bój srogil...
Niech się biją — a ja w nogil —

(Ucieka).

(Wchodzą Don Henryk i Don Żuan)

Don Henryk.

Łatwo brać zwycięskie laury.
Uciekają zbite Maury.

Don Żuan.

Pole całe pełne łupów,
Koni, mieczów, siodeł, trupów.

Don Henryk.

Gdzie Don Fernand?

Don Żuan.

Z całą linią

Arabów znika w obłoku.

Don Henryk.

Chodźmy za nim, Don Coutinio.

Don Żuan.

Zawsze obaczysz mnie przy twoim boku.

(Wychodzą).

ZMIANA II.

Pustynia.

Wchodzi na scenę Don Fernand (ze szpadą Muleja)
i Mulej (rozbroiony, z tarczą tylko).

Don Fernand.

Tu na tej ogromnej puszczy,
Co zdaje się grobem ludzi,

Gdzie krew z ciał pobitych pluszczy,
 Koń leży i pan się nie budzi;
 Sam zostałeś, Maurze młody,
 Nad pobitymi narody.
 I twoje gdzieś orle żrebie
 Przez pola pobiegło krwawe,
 Tocząc pianę i kurzawę:
 Pod sobą kurz, a pianę z siebie...
 I oddało cię bez broni
 Łupem tej rycerskiej dłoni.
 Horyzont, jak okiem objęty,
 Podobien do jednej trumny;
 A ja twojem wzięciem dumny —
 Więcej dumny, żeś ty wzięty,
 Niż, że te pola oblane
 Są krwią, aż tam gdzie w błękit gina,
 Tak, że oczy, smętne tą ruiną
 I czerwienią tą jak obłakane,
 Odwracają się, nie wiedząc, gdzie natrzeć
 Ostrzem wzroku znużonych promieni;
 Aby ciągle na nieszczęścia nie patrzeć,
 Aby ciągle nie widziały czerwieni. —
 Ja, gdyś cię silnem ramieniem
 Wziął, mężnego tak wojaka,
 Wybrałem sobie rumaka
 Z próżnem siodłem i strzemieniem,
 Którego ojciec był burzą,
 A matka była płomieniem;
 Bo płomienie i wiatry mu służy,
 Równe jemu robiąc rodowody.
 A ja jeszcze powiem, że był z wody,
 Taką szerść miał i rzadkie tak piegi;
 I tę wodę przemienił na śniegi
 I znów powiem, że wody był synem,
 A co do prędkości — delfinem,
 A co do krwawości — był smokiem,
 Co do lotu — był, mówię, obłokiem,
 Co do nozdrza — był szczerym rubinem,
 A był orłem, gdy puścił się lotem,
 A gdy piersią uderzył — był grzmotem;
 A pod dumnym szedł z dumą szlachecka.

A pod starcem — jak starzec poważnie,
A pod cichym — spokojnie jak dziecko,
A pod silnym — jak rycerz odważnie:
I na jego kark i siodło jego
Siadłem z tobą, jak z broni kolegą;
A on, zda się, jak łośdź, co się ślizga,
Pruł się piersią przez krwawe bałwany
I gniótl pole, co krwią naszą bryzga.
Ale czy to jego wewnętrzne rany?
Czy ta myśl? zwyciężonych tak blizka,
Że kark jego zwycięzca uciska,
Czy nad tobą może zlitowany?
Gdy pomyślał, że obu nas wie dzie,
Obu włożył na kark swój niechętny:
„A ten Hiszpan taki wesół gdzieś jedzie!
A ten Arab jedzie taki smutny!“
Ach i może ta myśl nie pozbyta,
Że ojczyznę zdradza, mnie unosząc,
Padł, oczyma litości nas prosząc,
I załamał się na cztery kopyta
I dech oddał.

I powiedz mi teraz,
Czemuś taki smutny, przyjacielu?
Gdy się zwracam — a obracam się nieraz —
Choć mi taisz, twą boleść, Arabie,
Widzę jasno, żeś pełny trosk wielu.
I podobnyś jest żelaznej sztabie
I tej stali, co zgięta odskoczy...
Lecz ból, wulkan, przez usta i oczy
Ciagle z ciebie jak ogień wybucha:
Niepodobna! by takiego ducha
Marna boleść poddała swej woli?
Abyś cierpiał tak na tej niewoli,
Ty, co wolność sprzedałeś tak drogo.
Inna jakaś być musi przyczyna?
Jeśli troski podzielić się mogą,
Jeśli sądzisz, że na to zasłużył,
Mów, o! Maurze, dla trosk to jedyna
Prawie ulga — a jam serca nie zużył
I obaczę, widząc ranę twoją,
Czy ta rana jest z tych, co się goja.

Mulej.

Widać, żeś równie szlachetny
Jak odważny, mój Hiszpanie.
Równie mieczem jak językiem
Umiesz czynić zwyciężonych.
Miecza twego niewolnikiem
Było ciało, co nie boli...
Teraz wzięłeś do niewoli
Mego ducha. Doskonały
Jesteś rycerz! Na dwie bronie:
Moc masz i w ręku—i w łonie—
Twoim jeńcem jestem cały.
A ponieważ ty wzruszony
Litością pytasz, Hiszpanie,
Czemu ogień i żal słony
Sypią mi z oczu perłami?
Uczynię tobie wyznanie
I sercu ulżę ustami.
Nie dla tego, że mnie boli
Serce i skarżyć się pragnie...
Bo nieszczęście do skarg mię nie nagnie...
Ale, że to z twojej woli,
Ażebym ci się poskarżył...
Wiedz, że jestem urodzony
Synowcem króla Fezkiego,
A zowią mnie Mulej Chekke;
Królewska krew płynie we mnie
I serce mi wielkie grzeje,
Bowiem ród mój uświetnili
Różni basze, belerbeje.
A rodziłem się w tym roku,
Gdyście wy Gelwy tracili,
I ze smutnego wyroku
Matce kosztowałem życie,
Smetne fortuny igrzysko!
Gelwańskie, krwi pełne pole
Było mi pierwszą kołyską
A odtąd... ciągle niedole
Nieszczęścia mnie ciągle gonia
I pokoju ciągle bronia.
Albowiem, kiedym do Fezu

Przybył, dziecko, z moim stryjem,
Przyjechała tam dziewczyna
I w blizkim domu, przez ścianę,
Stała, i odtąd serce
Zostało w niej rozkochane
I do śmierci tak zostanie.
Ach! bo ta miłość, Hiszpanie!
W zawiązkach swoich tak drobna,
Zaczęta w dzieciach tak tkliwie,
Taka, zda się, niepodobna,
(Gdy sobie serce tłómaczy)
Ani się skończyć szczęśliwie,
Ani się skończyć inaczej,
Ani się mogąca dźwignąć,
Ani zerwać, ni ostygnąć...
Z tą miłością wychowani
Rośliśmy, panie, oboje.
I dziś zarówno nas rani
Ta miłość w serc naszych dwoje
Ciskając razy niemyłne
Na serce słabe i silne...
Ach... z mojem tak uczyniła,
Jako woda z marmurami,
W które ciągle bije łzami,
I tak będzie ciągle biła,
Ciągle biła, aż je strawi
I w marmurze ślad zostawi;
Tak łzy me nowe i nowe
Na serce pięknej spadały,
Aż serce twarde, ze skały,
Serce jej dyamentowe,
Na które sto razy spadały,
Przegryzły na wskrós i zjadły...
Ach, i nie moje to cnoty,
Że teraz serc naszych dwoje
Są, jakoby dwa powoje,
Wzajemnymi wite sploty.
W tym stanie przeżyłem lata,
Zapomniawszy prawie świata.
Rozpływając się w jej wdziękach,
W pierwszej miłości jutrzeńkach,

Pijac pierwsze tajemnicze
Troski i pierwsze słodycze...
Gdy oto, w nieszczęsnej chwili,
Rozstałem się z nią na czas krótki;
I stąd idą moje smutki,
Stąd płynie mój żal ogromny,
Bo ja z drugim zaręczyli,
Kiedym ja był nieprzytomny.
Teraz powiedz, czym szaleniec,
Że klnę fortunie bogini?
Tamten jest wolny — jam jeniec!
Jam jest daleko — on przy niej!

Don Fernand.

Szlachetny Maurytańczyku,
Dobrze mi smutki wykladasz.
Jeśli tak kochasz—jak gadasz?
Tak cierpisz?—jak w serca krzyku
Słychać, gdy boleść malujesz,
Jeśli tak z ognia usychasz?
Ach! i tak tęsknisz? jak wzdychasz,
Ach! i tak wzdychasz? jak czujesz,
Widzę, że wiernie miłujesz.
Więc honorowi nie skłamię,
Wodzu maurytańskich galer,
Idź i powiedz swojej damie,
Ze portugalski kawaler
Przysłał cię za niewolnika,
A ja ci daję za pana.
A jeśli obligowana,
(Bo to dziewie serce łechce)
Skarby swoje poodmyka
I płacić za ciebie mi zechce?
Ten okup weź, Maurze młody,
Bo będzie wielki, jak sądze,
Zmień na miłości pieniądze
I miej z niego wieczyste dochody.
A teraz jedź mi szczęśliwie,
Oto koń twój własny wraca.
Ja wiem, że kto kocha tkliwie,
Temu czas płynie leniwie;

Więc ci czasu, Arabie, ukraca
Moja miłość; a ty się nie zmuszaj,
Siadaj na koń, rycerzu, i ruszaj.

Mulej.

Słów mi teraz nie staje w potrzebie,
Ale wdzięczność ma inne oznaki.
Wiem, że daru przyjęciem pochlebię.
Lecz mi powiedz, proszę, ktoś ty taki?

Don Fernand.

Portugalczyk i szlachcie — nie więcej.

Mulej.

Pokazałeś to czynem i słowy,
Bądź co bądź, w grunt nie siałeś jałowy.
Twój niewolnik...

Don Fernand.

Ujeżdżaj co prędzej,

Koń twój czeka.

Mulej.

Więc otwierasz mi szranki?
Więc chcesz, aby serce w niewolniku
Uderzyło znów przy sercu kochanki?
(Siada na koń za sceną).

Don Fernand.

Tak, zaprawdę, szlachetnym być trzeba.

Mulej (z poza sceny, z konia).

Hej! szlachetny mój Portugalczyku!

Don Fernand.

Co mi powiesz?

Mulej.

Gdy pozwolą mi nieba,
To ci kiedyś za dar taki odpłacę.

Don Fernand.

Bądź szczęśliwy!

Mulej.

Teraz ja się bogacę...
Ale dar twój, panie, nie padł w wodę

I na końcu, na ziemi odbierze
Swoje żniwo i swoją nagrodę.
Mój Hiszpanie, niech Allah cię strzeże.
(Odjeżdża).

Don Fernand.

Jeśli Allah Bogiem, niech cię broni.
Lecz cóż to za tętent koni?
Co to za trąby i krzyki,
Którym powietrze przykładało?
Tam, z drugiej strony kotły słychać, Marsa hasło.
Ha! mój brat Henryk.

(Wchodzi Don Henryk).

Don Henryk.

Gdzie jesteś, Fernandzie?

Dawno cię szukam.

Don Fernand.

Cóż tam za nowiny?

Don Henryk

Bracie, Fezanie idą i Murzyni!
Budząc te echa; Tarudant z wojskami
Królowi Fezu przybył dla odsieczy.
A król podparty z Maurytańczykami
Zrobił wycieczkę, bije nam na czoło,
Kiedy Tarudant nam odwrotu przeczy.
Zewsząd straszliwe nieprzyjaciół koło
W swoje żelazne objęło nas wieńce.
Oblęgający my i obleżenie,
Z tej ciemnej chmury, co się na nas toczy
Błyskawicami bici w same oczy,
Zmieszani... Cóż nam, Fernandzie, zostało?
Powiedz, co czynić?

Don Fernand.

Co? umierać z chwałą.

Niech nacierają ci oba alianci,
My na śmierć idźmy jako wojownicy,
Jako dwaj mistrze, jako dwaj infanci,
A choćby tylko jak Portugalczycy.
Idźmy i krzyczmy hasło dwóch zakonów:

Ave i Chrystus... hasło nasze stare,
I stańmy oba na czele szwadronów,
I umierajmy, mój bracie, za wiarę.

(Wchodzi Don Żuan)

Don Żuan.

Złe ładowanie jest wszystkiemu wina.

Don Fernand

Nie czas się teraz zatrudniać przyczyną
Złego... gdy zewsząd wróg i krew i jęki...
Do poratunku trzeba użyć ręki
Przeciwko siłom Tangieru i Fezu.
Za mną!... W Twe Imię Przenajświętsze, Jezus!
Za mną!

(Wychodzą wszyscy, z drugiej zaś strony na pustą scenę
wchodzi Brytasz).

Brytasz.

Otóż i śmierć! otóż i sztuka!
Pięknie ten rycerz swoim hasłem puka
W bramy niebieskie; klucze przenajświętsze
Pewnie otworzą mu te wielkie gmachy,
Gdzie święty mieszka aż na siódmym piętrze.
Co do mnie, czuję nieśmiertelne strachy,
Które mi sercem jak dyabły szamocą,
Rozmyślam, na co my tutaj i poco?
A z rozmyślenia to wynika mego,
Ze odtąd mam się już za umarłego.
(Pada na ziemię i udaje zabitego. Wchodzi Don Henryk
w pojedynku z Maurem).

Maur.

Kto się broni tak uparty?
Szabla moja, piorun żywy,
Który spada aż ze sfery czwartej.

Don Henryk (depcąc Brytasza).

Choć co krok ja nieszczęśliwy
Chrześcijańskie depcę ciała,
Ręka moja nie omdlała,
Nie straciłem mocy w ducnu.

Jeśli ja piorun? ty trup... Ty piorun? ja skała.

(Wychodzą z Maurem, bijąc się)

Brytasz.

I prawda, że mnie dobrze nadeptał po brzuchu
(Wchodzi Don Żuan w pojedynku z Mulejem).

Mulej.

O! rycerzu! twoje męstwo
Nie widzi, że słabo walczę;
Że chciałbym ci dać zwycięstwo.

Don Żuan.

Co mi powiadasz, zuchwalcze?
Nie przyjmuję takich danin.
Broń się! —

(Depce Brytasza).

O! straszliwa męka!

Gdzie nadepcę i spojrzę na trupa, Chrześcijanin!

(Wychodzą, bijąc się).

Brytasz.

Nadeptał mnie, lecz o mnie niechaj się nie lęka.
A gdyby lżej mnie deptał, to byłby rozumny.

(Wchodzi Don Fernand, cofając się przed nacierającym Kró-
lem Fezu).

Król.

Portugalczyku dumny,
Oddaj mi twoją szpadę;
Pod strażą cię zostawię
I rękę na sercu kładę,
Że obejdę się łaskawie,
Choć twojego miecza znaki
Na piersi rozdartej noszę.
Powiedz, mężny, ktoś ty taki?

Don Fernand.

Nie dam ci mego nazwiska
Ani szpady... o śmierć proszę.

(Wchodzi Don Żuan i ciałem swoim zakrywa Fernanda)

Don Żuan (do króla).

Ten miecz, o! panie, co w twem ręku błyska,
Już okręcon koło głowy;

Przez tę pierś chyba dostanie.
Jak przez mur dyamentowy,
Mego księcia. (Do Fernanda) O! mój paniel
O! mój książę! krzep się w sobie
Teraz, teraz ja przy tobie
Aż do śmierci.

Krół.

Stój! co słyszę?
Księcia Fernanda oglądam?
Więszego łupu nie żądam
I ten wielki dzień zapiszę
Pomiędzy najszczęśliwzszymi.—
Zatrzymać ludu zagładę.
A ty—królowi tej ziemi,
Fernandesie, oddaj szpadę.

(Wchodzi Mulej).

Mulej (na stronie).
Co widzę? o! biada jemul
Don Fernand (oddając szpadę).
Królowi tylko samemu
Oddaje ten oręż święty,
Nie chcąc jak desperat ginać.

Brytasz (wstając).
Jak widzę, próżne wykręty!
Z łańcuchem nie można się minąć.

(Wchodzi Don Henryk).

Don Henryk.
Ach! co widzę? brat mój wzięty!..

Don Fernand.
Patrzaj, ale boleści nie wydawaj głosem.
Bo to, mój miły bracie, zwycięstwo nad losem,
Jeśli go człek wolny umie
Upokorzyć i poddać pod jarzmo swej dumie.

Krół.

Tak, Henryku, twój brat się dostał do niewoli...
A choć mogę i słuszość mi, sędzę, pozwoli,

Abym go na śmierć skazał, serce mam ruszo-
Bom tu przyszedł na własnej korony obronę;
A los, który mię panem niespodzianym robi
Waszej krwi, więcej waszą niewolą ozdobi.
Więc owszem, z ciągłą myślą o tym niewolniku
Powracaj do ojczyzny i powiedz, Henryku,
Duartowi królowi, że temu poruczę
Więżnia, co mi przywiezie złote Ceuty klucze,
Nie inaczej. A teraz, jako moja własność,
Do Fezu ze mną raczy twa książęca Jasność.

Don Fernand.

Jako u mojej sfery słońcem idę wszędzie.

Mulej.

Achl serce moje smutek dwojaki posiedzie,
W miłości i w przyjaźni mając swe powody.

Don Fernand.

Henryku, ja zostaję tu pełen pogody;
Na zło i dobro... wytrwam jak ludzie niezłomni.
Jedź i proś brata, niechaj o mnie się upomni
Jako pan chrześcijański.

Don Henryk.

On się zobowiąże...

Don Fernand (przerywając, mówi z powagą).
Niech się upomni jako chrześcijański książę...
Jak katolik

Don Henryk.

Takim ja, mój bracie, powrócę.

Don Fernand.

Teraz pozwól, że w twoje objęcia się rzucę
I uściskam, bracie mój, Henryku kochany!

Don Henryk.

Ty wzięty, a mnie kładziesz na szyję kajdany?

Don Fernand.

Bywaj zdrów, Don Żuanie.

Don Żuan.

Żywot mój bez celu...

Ja tu, z tobą.

Don Fernand.
Więc zostań ze mną, przyjacielu.

Don Henryk.
O! dzień pełny nieszczęścia!

Don Fernand.
Wszyscy bądźcie zdrowi!
Jedź, Henryku... i powiesz odemnie królowi...
Nie, nie mów... Słowem to powierzać daremnie,
Ot, tylko te łzy moje zanieś mu odemnie.
(Rozchodzą się, Don Fernand z Maurami, Don Henryk ku
brzegowi morskemu).

DZIEŃ II.

Ogród króla. — Na ganku pokazuje się Fenixana.

Fenixana.
Zara! Estrella! Rozal... Cóż?
Nikogo nie ma oprócz róż?
(Mulej wychodzi z po za wzgórza).

Mulej.
Piękna! w wołaniach imię zmień,
Ja ci odpowiem, lutni słodka!
I oko twoje mnie napotka,
Boś ty jest słońce, ja twój cień.
Za tobą chodzę nakształt chmur,
I słysząc echo twego głosu,
Wołanie twoje, szedłem z gór. —
Co dumas?

Fenixana.
Achl z mojego losu
Girlandy sobie czarne płotę,
W górach, gdzie jedno pochlebne,
Wolne, niewdzięczne i srebrne
I słodkie i szepczące tęsknotę
Zróżdło ma tajemną grote,

I stamtąd strumieniem bieży
Kwiaty łąkom malujące;
Pochlebne—bo szeptce coś łące
A własnym słowom nie wierzy;
Niestające źródło i zwodne,
Bo chociaż szemrze — pogodne;
Wolne—bo otwarcie gada,
Gdy głos zefirom poruczy;
Szalone—bo ze skał spada,
A słodkie—bo w trawach mruczy;
A głośnie—bo słyszane z daleka,
A niewdzięczne—bo ucieka.
Tam, przy tem źródle, zmęczona
Seiganiem za jedną sarną,
Z melancholią moją czarną
Ległam... a góry tej strona
Pokryta nakształt płomyków
Krzyżącą jaśnią gwoźdźników,
Jakoby falą karminów
I szmaragdami jaśminów
Błyszczała. — Ledwo z tęsknotą
Smętnym się oddałam dumom
I samotnym źródła szumom
I wielkiej ciszy... gdy oto
Szmer usłyszałam za sobą:
Przeleżała, skoczyłam z trawy
I twarz w twarz z ciemną osobą,
Z duchem kobiecej postawy,
Z czarną spotkałam się marą:
Z Afrykanką suchą, starą,
W łachmanach, z pochyłym grzbietem;
Z cieniem człowieczej postaci
I z cienia tego szkieletem
Zesłam się. Zda się, pień drzewa,
Co korę spróchniałą traci
I bursztynem się oblewa.
Gdy czarne myśli naraisz
Czarne wróżby ci przychodzą,
I straszą i sercu szkodzą.

Nim się do nich przyzwyczaisz.
Gdy mię wzięła ta szalona
Za rękę, szatańskie plemię!
Myślałam, że wrosłam w ziemię,
Że byłam drzewem jak ona...
W oczach mi czarno i dymno...
Od jej rąk szło we mnie zimno;
I broniłam się daremnie,
Od niej strach przechodził we mnie...
A jej głosy obłąkane,
Pełne uragań bezczelnych
I jadów pełne śmiertelnych,
Ciche, zaledwie szeptane,
W sercu się odbiły głucho,
Tak jak węże lazły w ucho.
„Nieszczęśliwa niewiasto!“ wrzasła,
„Nieszczęśliwa! śmierci będziesz łupem!
Proś, by piękność ta twoja zagasła
Wprzód, nim zmarłych zostanie okupem.
Tak... ta piękność twoja będzie cena,
A kupiony towar będzie trupem.“
To wyrzekła—a ja taką sceną
Zatrwożona i dotąd lekliwa,
Pół umarła a jeszcze pół żywa;
Ach! i lepiej bym cała umarła!
Niżby ta wróżba straszliwa,
Wiedźmie tej wydarta z gardła,
Była prawda, nim wejde w mogiłę,
Nim te oczy blask niebios utracą.—
Ach! więc ciało ludzkie! ciało zgniłe
Oszacują i mną żywą zaplącą?

(Wychodzi).

Mulej.

Porzuć, piękna, te rozpaczę,
Ja ci te sny pełne trwogi
Jedynie przez mój los srogi
Rozwiążę i wytłómaczę.
Tarudanta masz być żoną!
A jeśli go nie pokonam...
(Ach! na sama tę myśl konam!)

To pewnie, że moje łono
Na dwoje mieczem rozkroi,
Nim go twa miłość napoi...
Więc zawsze widzę z daleka,
Jak mi los okrutny grozi;
Za mnie, martwego człowieka,
On cię dostał i uwozi:
I tak... o! moja Syrenol
Przyszłość wróżbę sprawdzoną zobaczy;
Bo ty mego trupa będziesz cena,
Bo z miłości skonam i z rozpaczny.

(Ustępuje na stronę. — Wchodzi Don Fernand bez broni, ale
w książęcym ubiorze. Niewolnicy, pracujący w ogrodzie
zbiegają się ku niemu).

Pierwszy niewolnik.

W tym ogrodzie, kopiąc grzędy,
Skorośmy tylko postrzegli,
Panie, że przechodzisz tędy,
Wszyscyśmy oto przybiegli
U nóg twoich się połączyć.

Drugi niewolnik.

Bóg nam pozwolił tej pociechy dożyć
I tę nam ulgę w nędzy dał jedyna!

Pierwszy niewolnik.

Tys jest litosny! bo łzy twoje płyną,
Ty niewolników litujesz się męce.

Don Fernand.

Bracia! podajcie mi ręce.
Bóg, co widzi ludzkie duchy,
On wie, że tymi rękami
Chciałbym zdjąć wasze łańcuchy;
Ale nie mogę. — Bóg z wami!...
Pracujcie cicho i skromnie,
A częściej o Nim niż o mnie
Pamiętajcie. — Smetna chwila!...
Ale też miejcie nadzieję,
Bo zło, gdy nad miarę przeleje,
To się często na dobre przesila.
Pomnąc, że i w ostatecznym

Razie odwaga pomoże,
Idźcie i z losem koniecznym,
Sercami nie bądźcie w sporze.
Uwaga ta niech was czyni
Odważnymi na fortuny upiora;
Bo to dziwna na świecie bogini!
Trup z niej dziś—a kwiat był wczora,
To się może znów jutro zaśmieje.

O! Boże! cóż dawać rady!
Kiedy ten tłum taki bładny
I smętny... takie lzy leje!
Trzeba te nauki schować,
Aż ich serca jęk nie zgłuszy.—

Chciałbym was czem udarować,
Ale nie mam nic przy duszy,
Przebaczcie mi, przyjaciele!
Nadzieję się z wami dzieło,
Bo sądzę, że nam z ojczyzny,
Co pewnie tam o nas pamięta,
Przybędą wkrótce okręta,
Zgoją cierpienia i blizny;
Wtenczas, co ja mam na świecie,
To będzie moje i wasze:
Wszystkich rękami opaszę!
Wszyscy ze mną pojedziecie!—
Teraz idźcie już, biedacy,
Srogo bardzo spracowani;
Idźcie znów do waszej pracy
I bądźcie panom poddani.

Pierwszy niewolnik.

Twoje zdrowie, panie nasz,
Nieszczęsny nam dodaje sił.

Drugi niewolnik.

Bogdaj ty setne lata żył
Bóg ciebie weź pod swoją straż!
(Niewolnicy odchodzą).

Don Fernand.

Duch mój został pełny mąk
I w smętnej dumaniu stoi,

Zeście wy od moich rąk,
Biedni, tak odeszli z niczem!
Biedni! biedni, bracia moi! —
Któż nad sercem niewolniczem
Ulituje się prócz Boga?

ulej wychodzi z ukrycia, gdzie patrzył na poprzednią
scenę).

Mulej.

Tu byłem. I żalność sroga
Zdjęła mnie... i z uwielbieniem
Patrzałem, z jaką miłością
Traktowałeś niewolniki.

Don Fernand.

Zaprawdę, żem przeżył litość
I przeżył był cierpieniem,
Patrzając na te męczenniki,
Które pan do taczek pędza...
I uczyła mnie ich nędza,
Jak znosić więzy haniebne
I los swój dźwigać biednemu...
Kto wie? może mnie samemu
Wkrótce to będzie potrzebne.

Mulej.

Co wasza Jasność powiada?!

Don Fernand.

Co? — kto się infantem rodził,
A dziś pan nim obcy władnie,
Niech wie, że los często spada.
I spadł już i jeszcze spadnie.
W infanctwo mnie już ugodził:
A kto wie? może niżej pokłoni?...
Dzień za dniem nieszczęsny goni
I płacz z płaczem w łańcuch wiąże.

Mulej.

Nie mniejszy mój ból, o! książę!
Chociaż innego rodzaju.
Bo wasza Jasność do kraju,
Jak sędzę, wkrótce powróci...

Ale to, co mnie tu smuci,
Ratunku znaleźć nie może;
Troska moja bezimienna...
Fortuna jak księżyc zmienna.

Don Fernand.

Gość jestem na waszym dworze,
I twój los mię serdecznie obchodzi,
A tyś mi nie dał nowiny,
Jak się tobie powodzi
Z sercem tej cudnej dziewczyny?

Mulej.

Łaski były na mnie złane.
Ale wielką tajemnicą
Usta przypieczętowane
I tą pieczęcią zamknięte...
Lecz przyjaźń ma prawa święte
Więc z jakąm winien różnicą,
Tym dwóm a równym potęgom.
Obojgu serca przysięgom,
Powiem mową nieudolną,
Ile mi powiedzieć wolno
I com ci winien istotnie. —
Miłość ma cierpi samotnie,
I bogata jest i biedna,
Bo jak Fenix na świecie jest jedna
I nie ma podobnej sobie.
Miłość moja jest na probie,
Bo dla oka, myśli, duszy,
Fenix jest skrą wyobraźni; —
Fenix powodem katuszy
Dla czucia, miłości, bojaźni.
Fenix nadzieję mi niszczy,
Gdy wątpię i czuję trwogę...
Lecz gdy się na duchu wzmogę
Fenix mi nadzieją błyszczy.
Fenix moją wieczną troską!
Fenix moją iskrą boską! —
Tak mej przysięgi nie łamiąc,
Przyjaźni fałszu nie zadam,

Bo o Fenixie ci gadam
I nie mileząc i nie kłamiąc.

Don Fernand.

Więc ci powiem bez ogródki,
Otwarcie, żeś nie wart litości;
Bo Fenixem są twoje smutki
I Fenixem ty jesteś miłości. —
Lecz mój ból, miły kolego,
Mój smutek—to co innego...
Ludzie go pojmą niejedni,
Bo to jest smutek powszedni,
I wielu już tak cierpiało.

(Wchodzi Król Fezu).

Król.

Książę, oto za tą skałą
I tam, za tymi parowami,
Kazałem przyrzadzić łowy.
Nim słońce swój wieniec spali
Pośród pereł i koralu,
Strzelce zaskoczą z przeciwka
I tygrysa nam napędzą.
Dla księcia to będzie rozrywka.

Don Fernand

Panie, twoje ręce nie szczędzą
Ciągłych łask. Utrudzasz głowę,
Zawsze wynajdując nowe
Rozrywki rozrywkom bliźnie; —
Jeśli tak zwykłeś, pan dziki,
Traktować twoje niewolniki,
To zapomną o ojczyźnie! —

Król.

Więźniom takim jak ty, panie,
Którzy panów swoich szczytą,
Takiem winien traktowanie.

(Wchodzi Don Żuan).

Don Żuan.

Panie, idź i spójrz strzelnicę
Na morze, a mówię szczerze,

Ujrzysz najpiękniejsze zwierzę,
W którym się i dzikość szczerza
I ludzka maluje sztuka.
Jedna chrześcijańska galera
Do drzwi tego portu stuka.
A taka piękna i wolna,
Choć cała czarna i smolna,
Ze nam pojąć niepodobna,
Patrząc na tego sokoła,
Jak ona razem wesoła
I w wesołości żałobna?
Wszyscy tam wysoko stańcie,
Portugalski herb ujrzycie.
Żałoba ta po infancie
Prędko nam pociechą zlegnie,
Bo z jej lotu po błękiecie
Widać, że po niego biegnie.

Don Fernand.

Przyjacielu, Don Żuanie,
Omyli cię ta rachuba,
Zły to znak to jej ubranie
I ta żałoba jej gruba.
Oj, byliby oni biali,
Gdyby po mnie przyjechali!

(Wchodzi Don Henryk z pergaminem w rękę, w grubej
żałobie ubrany, ze świtą).

Don Henryk.

Ręk mi pozwól, Tangierski mocarzu.

Król.

W szczęsny czas wasza Jasność przybywa..

Don Fernand (do Żuana)

Don Żuanie... już ja na cmentarzu...

Król (na stronie).

Ceuta moja!

Don Henryk.

Niech mi wasza mościwa

Łaska brata uściskać pozwoli.

Don Fernand (ścisnąc brata).

Mój Henryku — czemu tej niedoli
Znak na tobie? i twarz taka blada?
Dość!... Twa postać mi to sama powiada.
Słów nie trzeba, bo mówią twe oczy.—
Nie płacz, bracie, ja wiem, co cię boli,
Ja wiem, co ci serce tłoczy.
Masz mi donieść, że zostanę w niewoli?...
Ha! to dobrze, ja tego i żądam.
Niepotrzebnie cię w żałobie oglądam;
Mogłeś przyjść tu wesoło i w bieli
I mnie mogłeś uścisnąć weselój
I uctować na każdym popasie.—
Jak się ma brat mój miły i król mój?
Nic nie słucham, aż powiesz, jak ma się
Brat i pan mój...

Don Henryk.

O! bracie — ach, ból mój
Bez wyrazów... ach! ty nie wiesz, co czuję...
Niech raz tylko poselstwo sprawuję,
A ty, bracie, co mi towarzyszysz
Sercem w mowie, raz me słowa usłyszysz,
I dość będzie jednego słuchania!

(Do króla Fezu).

Panie, chociaż na tej górze
Gdzieś przybył dla polowania,
Nie w stolicy twojej murze:
Podaruj mnie swą uwagę
A tego jeńca wolnością.
Kiedy wielką nawałnością,
Kiedy wielką falą przewagę
Bici, na morskich rozruchach,
Utraciliśmy armadę;
Gdy infant został w łańcuchach;
Gdy te wieści, jędze blade,
Rozkołysane przez dzwony,
Przyleciały do Lizbony
Z wiatrem, co po morzu dyszał;
Kiedy król o nich usłyszał,
To bez żadnej prawie skargi

Wpadł w melancholie serdeczne,
A z melancholii w letargi,
A z letargów we sny wieczne.
I zwłoki jego dziś leżą,
Płacze go ciżba nabożna;
A ludzie, patrząc, dziś wierzą,
Ze z bolesci umrzeć można.
Niebieska mu świeci chwała!

Don Fernand.

Tyle brata kosztowała
Moja niewola!

Król.

Wie Alla,
Ile mię ta śmierć zasmuca

Don Henryk.

Otóż król, co świat porzuca,
W swym testamencie pozwała,
Owszem, każe dać fortecę
Centy za infanta osobę...
A ja, przywdziałwszy żałobę,
Od króla Alfonsa lece,
Jako od dziedzica tronu,
Którego jeszcze nie znacie,
Oto z tym aktem...

Don Fernand (wyrywając pergamin).

Stój, bracie!

Słowa te pełne pokłonu
Nietylko że nie są godne
Krwi królewskiej i wyrodne,
Nie godne są ust infanta,
Nie godne mistrza zakonu,
którego wiara czeka
Wsparcia i wiecznego zelanta;
Lecz nie godne są człowieka
I nie godne barbarzyńca,
Co nigdy o Chrystusie nie słyszał...
Ze mój brat (niech mu Bóg świeci)
Włożył ją do testamentu,
Tę klauzę — to tylko na to,

Aby u ludzi wiadzano,
Ze brat dba o swego brata;
Nie na to, aby czytano
I tłómaczono to słownie...
Jeśli rzekł: oddajcie Ceutę! —
To ma się znaczyć, że trzeba
Powolnie, albo gwałtownie,
Z pomocą ludzi i nieba
Upomnieć się o infanta.
Jakżeby król katolicki
Jak on, wierny, sprawiedliwy,
Taki król jak on? — nieżywy,
Na swój proch oddany laurom
Kładł taką okropną plamę,
By Ceutę oddawać Maurom,
Tę Ceutę — miasto to same,
Gdzie on pierwszy, zdjęty żarem,
W Imię Przenajświętsze Pańskie,
Ze szpada i ze sztandarem
Przyskoczył i chrześcijańskie
Chorałowie zatknął na wieżach.
A teraz byłoby czynem
Godnym tej sławy w rycerzach,
By miasto, które wyznało,
Ze Chrystus jest Boga Synem,
Kościoły pozakładało,
Gdzie się Imię Jego święci
Pośród serdecznych płomyków,
I męka się ma na pamięci,
Aby kościoły już stare
Przez ludzi, przez katolików,
Przez ludzi, co mają wiarę
I tego Boga wyznają,
Przez ludzi, co serca mają!
Przez nas! przez Portugalczyków!
Byli?!... Aby te kościoły,
Które złożonymi czoły
Podpierają mleczne pasy,
Jak naszej wiary Atlasy;
I na krzyż złoty pobożny
Wieszają słońca czerwone;

Aby przez księżyc dwurożny
Były na niebie zaćmione,
Jęcząc tak jak męczennice!

Więc-że teraz te kaplice
Opuścilibyśmy tajnie?
Oddawszy na stodoły i stajnie;
Albo, czego ten Maur łaknie,
Na Mahometa meszkity? —
Gdy to mówię — tchu mi braknie!
Gdy myślę — stoje jak wryty;
Język mi w ustach kościeje,
Włosy wstają, pot się leje
I drży całe moje ciało!—

Bo choć to nieraz bywało
Że jaka stajnia uboga
Ugościła Pana Boga,
I dała mu sen w swoim żłobie —
Lecz meszkity?! Boże Panie!
Ach, toby na naszym grobie
Napisano: tu Chrześcijanie,
Przewrotnym podobni panom,
Wygнали Boga z kościołów,
Boga i Jego aniołów,
I oddali je szatanom!
I byłoby sprawiedliwie,
Ażebyśmy boże gmachy,
Gdzie my stoim jak szyldwachy,
Mając cały świat pod nami
W zatrwożeniu i podziwie,
Teraz otwierali sami,
Wpuszczając tam nasze wrogi?
Ażeby ten lud ubogi
Chrześcijański a gorący
Z miasta wychodził płaczący,
Z dobytkiem, z całą rodziną;
A my na te łzy, co płyną,
Patrzalibyśmy, gnąc szpady?
Aby osadnik nierady
Zmieniał wiarę dla majątku?
Aby tam Arab dzieciątku
Urodzonemu bez winy

Wlewał fałsz trupa z Medyny,
Za młodu kalać zaczynał,
Do swojej wiary naginał,
Do swych zapędział namiotów,
Do swego zamykał płota? —
Więc dla jednego żywota
Tyle chrześcijańskich żywotów!
Tyle łez wylanych z powiek! —
Cóż ja? czy więcej niż człowiek.
Cóż mnie równa z ludzi likiem? —
Czy to, że byłem infantem? —
Więc oto nie infant ze mnie,
Oto jestem niewolnikiem,
Już nie korony brylantem,
Gotów jak drudzy niekczemnie
Żyć i tu Pana bogacić.
I któż wam każe tak płacić
Za niewolnika? — Niech płaci
Niewolnik ciałem i gardłem.
Bo kto swoją wolność straci,
Ten, mówię, ludziom umiera.
Więc ja — dawno już umarłem.
Któż mnie dziś z trumny wydziera?
Któż chowa na większe czyny?
Daj! — niech drę te pergaminy!
Niech drę na świstki tę kartę,
Niech drę na kawałki gadu —
I jeszcze je zjem już podarte
Aby nie zostało śladu.

(Drze pergaminy i kawałki połyka).

A teraz, królu i panie,
Rozkazuj mi, panuj srogo,
Jak chcesz... Niewolnik zostanie.
Którego kupić nie mogą.
Każ, niech mnie łańcuchy strzegą,
Niech robią na rękach blizny:
Cierpliwością cię nasycę. —
Henryku, wróć do ojczyzny
I mów: żeś mnie tu w Afryce
Zostawił pogrzebanego.

Bo ja z żywota mego
Taką rzecz pokorną zrobię,
Jakbym na prawdę był w grobie,
Wspomnienia ludzi nie warty,
Z oczu ludzkich i z myśli już starty.—
Chrześcijan! książę Fernand już skończył
Losom swoim on jeszcze nie sprostął,
Lecz co do was, czas służby już wybył.—
Maury! oto niewolnik wam został.—
Niewolnicy! brat jeden wam przybył,
Aby nędzę z niedolą połączył,
I łązy swoje połączył z waszymi.
Wy niebios! oto człowiek na ziemi
Panu swemu kościoły zakłada,
Założone podpira na skale.
Morzał morzał do fal waszych pada
Jedna łąza, co powiększy wam fale.
A wy góry! oto człowiek pospołu
Ze zwierzęty do jaskiń ucieka.
Wichry! wichry! oto nędzarz was z dołu
Westchnieniami zaklina i wścieka.
A ty ziemi! oto garstkę popiołu
Rzuca tobie i zewiók człowieka,
Co z robaków twoich włoży laury...
A to wszystko, by ten król i te Maury,
I ten infant i ziemi gdzieś końce,
Chrześcijan i księżyc i słońce
I niebios! i ziemia i chmury
I zwierzęta i morza i góry
I kto jeszcze na powietrzu przytomny
A pieczęć żywota nosi,
Tu widzieli:—jak książę niezłomny
Wiare swoją przeświętą podnosi,
W obronie praw bożych stawia,
I przed Maurami wyznawa
Jego Przenajświętsze Imię.
A choćbym w działowym dymie,
Śród mieczów i ludzkich grotów,
Bronił od ludzkiej obrazę
Niewymówionych przymiotów
Tei, co poczęła bez zmasz,

A miał w sobie sto żywotów,
Oddałbym żywot sto razy!

Król.

Twardy, niewdzięczny człowieku!
Także mi za łaski moje
Odpłacasz?... Jak śmiesz, robaku,
Tego mi właśnie odmawiać,
Czego najwięcej żądałem?
W państwie cię tak traktowałem
Jako brata, jako syna;
Nie czułeś prawie niewoli.
Lecz teraz przyszła godzina,
Ze cię twój łańcuch zaboli
I los cię ukole srogi.
Tu, więźniu! z duszą robacz! —
Tu sami niech wszyscy zobaczą,
Jak ty mi całujesz nogi...

(Fernand klęka mu do nóg).

Don Henryk

O! nieszczęście!

Mulej.

O! cierpienie!

Don Żuan.

Boże! co za poniżenie!

Król.

Do mnie twe należy ciało.

Don Fernand (wstając).

Tak, zaprawdę, ale mało,
Mało to ci mocy doda,
Panować nad kośćcami moimi;
Bo ta ziemia to gospoda
W ogromnej naszej podróży;
I na to wyskoczył z ziemi
Człowiek, by się z losem kłócił;
I na końcu każdej burzy
Znowu do ziemi powrócił.
Więc, żeś mi kazał pochyła
Twarzą naszą tu, gdzie proch leży!

Za to ci wdzięczność należy,
Bo mię oswajasz z mogiłą.

Król.

Ponieważ jesteś w niewoli,
Zatem więc idzie z porządku,
Że nie możesz mieć majątku,
Ni pieniędzy, ani roli.

Więc ponieważ ciebie trwoga
Może zmusić... lub biec pana,
Czemu mi Ceuta nie zdana?

Don Fernand.

Bo nie moja jest Ceuta, lecz Boga.

Król.

Nie jest-że to pierwsze prawo,
Że niewolnik pana słucha?

Don Fernand.

Nie przeciwko prawom ducha
Ma niewolnik słuchać pana.
To nie pies nęcony strawą,
Ale uchrystusowana
Natura z woli przymiotem,
Która służy... grzech ją maże.

Król.

Podły jeńcze, zabić każe.
Dam ci śmierć...

Don Fernand.

Śmierć jest żywotem

Król.

Więc życiem ciebie obdarzę,
Ale takim, że się złkniesz
I sam śmierci będziesz chciwy.
Bo jam srogi.

Don Fernand.

Ja cierpliwy.

Król.

Obaczymy — zaraz zmięknieś
Hej...

(Wchodzi Selim, dozorca niewolników.

Selim.

Co, panie?

Król.

W mgnieniu oka
Wziąć go, niech mi stóp nie płam,
I porównać go z jeńcami.
Niech jego postać wysoka
Ugnie się pod równą nędzą;
Niechaj go do łazien pędzą,
Niech moich koni dogląda;
Dać mu w ręce taczki, grabie
A zdjąć te jasne jedwabie
I ubrać w szarak ubogi;
Dać chleba, gdy jeść zażąda,
Spleśniałą wodę niech pije;
Łańcuch mu włożyć na szyję,
Łańcuchami okuć nogi;
W mazamorach bez podłogi
Na wilgoci niechaj lega;
Niech jego orszak służebny
Tym samym prawom podlega,
Co on.

Don Henryk.

O! wyrok haniebnym!

Mulej.

O! żałości!

Don Żuan.

O! rozpacz!

Król.

Zobaczy ten jeniec! zobacz!
Czy mi jego duma sprzeczną
I cierpliwość na tej próbie
Wytrwa.

Don Fernand.

Wierz mi, wytrwa tobie.
Po ta cierpliwość jest wieczna.
(Wychodzi za dozorcą niewolników).

Krół.

Henryku, a co do ciebie,
To ci powrotu nie bronię.
Wracaj i powiedz w Lizbonie,
Niech się w popiołach zagrzebie,
Bo stracon ratunek wszelki,
Bo jej infant, jej mistrz wielki
Został tu — czysci mi konie.
Niech mu z ratunkiem przychodzą.

Don Henryk.

O! przyjdą! klęę się przed światem,
Ze przyjdą pod Boga wodzą.
A że ja tu z moim bratem
Nie został, choć serce boli,
To dla tego, królu fezki,
Ze przyjdę, jak syn królewski,
Uwolnić brata z niewoli.

(Wychodzi ze świtą)

Krół.

Czyń, co ci rozum poradzi
(Wychodzi).

Mulej.

A teraz nie mi nie wadzi,
Ażebym się Fernandowi
Z długu wdzięczności uiścił.
(Wychodzi).

ZMIANA I.

*Inna strona ogrodu, zdala pracują niewolnicy i widać
Fezu mury.*

(Wchodzi Don Fernand w niewolnika siermiędze
i Selim)

Selim.

Król każe i to stanowi,
Abyś tutaj ogród czyścić;
Posłuszny więc bądź królowi
I schyl do pracy ramiona.

Don Fernand.

Cierpliwość moja srogość królewską pokona.

(Wychodzi z Selimem).

Pierwszy niewolnik (zbliża się, śpiewając).

Oj, na Tangier wysłał król..

Jaki ból! jaki ból!

Na podbiecie wysłał świata

Don Fernanda, swego brata,

Posłał król! posłał król!

Aby zawojował Fez; —

Ile łez! ile łez!

Don Fernanda wysłał król...

Ile łez! jaki ból!

(Don Fernand wchodzi i zdala słucha tej piosenki).

Don Fernand.

Już z historyi mojej jest piosenka.

Już ją słyszę żałośnie śpiewaną.

Smętny jestem i serce mi pęka.

Duszę jakby mam zaturbowaną

I złąknioną...

Pierwszy niewolnik (nie poznając księcia).

Co ci jest, niewolniku?

Czy ty nie wiesz, że wolność mieć mamy?

Infant wraca i wszyscy wracamy,

A tu na tym mogilniku
Nie zostanie z nas żaden! z nas żaden!

Don Fernand (na stronie).

O! jak prędko tę nadzieję straciecie!

Pierwszy niewolnik.

Przynieś, bracie, wody na ten gradyn
Polać kwiaty.

Don Fernand.

O wodę prosicie?...

O jak dobrze! jak dobrze! że do mnie,

Który z wami smętne życie wiodę,

Udajecie się, bracia, po wodę.

Bo zaprawdę—że choć cierpię niezłomnie,

Jakiś robak, tu, serce mi toczy,

Pełne serce i łez pełne mam oczy.

(Bierze władra na plecy i wychodzi).

Niewolnik.

Nam do łaźni iść teraz wypada,

Gdzie już poszli wszyscy niewolnicy.

(Wchodzi Don Zuan, szukając oczyma księcia między niewolnikami).

Don Zuan.

Szukajmy, czy ta gromada

Gdzie mego księcia nie mieści?

Może go ci robotnicy

Widzieli?... szukam go wszędzie.

Przy nim i mniej mi boleści,

I siły w sercu przybędzie. —

Bracia, powiedzcie mi, proszę,

Czyście tu gdzie nie widzieli

Noszącego kwiatów kosze

Księcia Fernanda?

Pierwszy niewolnik.

Nie, bracie.

Don Zuan (na stronie).

Pomóżcie, święci anieli!

Bo łez utrzymać nie mogę.

Pierwszy niewolnik.

W łaźni go pewnie spotkacie.

Pokażemy tobie drogę

Do tej gorącej piekielni.

(Don Fernand wchodzi z wiadrami na plecach).

Don Fernand (patrzac w niebo).

Czy się nie zlekniecie, śmiertelni,

Widząc w takim pohańbieniu

I mizeryi infanta korony?

Mistrza Avis? czy w zastanowieniu

Czas nie stanie, jak stają zegary!!

Don Żuan.

O mój panie! jaki ty zbiedzony!?

O mój panie! w jakim ty odzieniu!

O! mój książę, do jakiej ty mary

Już podobny? jak żal cię już strawił!

Don Fernand.

W imię Ojca!... wielkiś smutek mi sprawił

Tem odkryciem, drogi don Żuanie.

Ja się chciałem tu ukryć w łachmanie

Miedzy ludźmi własnymi, w tym cebraze

Nosić wodę, jak człowiek, co żebrze

I pracuje, tak biedny jak oni.

Pierwszy niewolnik (klękając).

Przebacz, panie! i daj mi twoj dłoni.

Jam nie wiedział, kto jesteś; nas wielu

Nie wiedziało...

Drugi niewolnik.

Całujemy twe nogi.

Przebacz, panie.

Don Fernand.

Wstań, mój przyjacielu.

Ja ci równy, niewolnik ubogi,

Jak ty — pana mego teraz własność.

Don Żuan

Wasza Jasność...

Don Fernand.

Puśćl jaka tam jasność?
Rzuć ten tytuł, mój drogi biedaku!
Jaka proszę mi Jasność w żebraku?
Jasność?... Jestem ci równy, kolego,
I ty teraz traktuj jak równego,
I wy wszyscy traktujcie jak brata.

Don Żuan.

Czemuż piorun mię w proch nie obróci!
Czemuż czaszki mi grom nie rozplata!

Don Fernand.

Don Żuanie, to serdecznie mię smuci,
Ze utrzymać nie umiesz powagi
Jako szlachcie... i potępiam tę żywość. —
Bo zwątpieś w nieba sprawiedliwość,
A tu trzeba spokojnej odwagi
Ufającej.

(Wchodzi Zara z koszykiem).

Zara.

Chodźcie tu, niewolniki.
Fenix, moja pani, prosi,
Ażebyście te koszyki
Napełnili kwiatami.

Don Fernand (biorąc koszyk).

Ja pierwszy
Będę kosił je tak, jak śmierć kosi

Niewolnik.

Idźmy tam, gdzie ogród szerszy.

Zara.

Ja z ganku patrzę za wami,
Jak chodzicie za kwiatami
I polewacie je łzami.

Don Fernand (do niewolników).

A wy bez tych już pokłonów,
Bracia moi ukochani;
Łosem my już porównani,
A jeszcze królowa zgonów

Jutro we drzwi zakolace,
Szczerszą równość postanowi:
Więc, bracia, na co tę pracę
Zostawiać jutro grobowi?
(Wychodzi z Don Żuanem i niewolnikami).

(Wchodzi Fenixana i Roza).

Fenixana.

Czy posłałaś niewolniki
Po kwiaty?

Zara.

Zaraz powrócę.

Fenixana.

Zasmuciły mnie słowiki,
Kwiaty może odesmucą
I kolorami zabawią.

Roza.

Twe fantazy takie ładne
I piękne, że ach! nie zgadnę,
Jakie ciebie smutki trawia,
Gdy je kwiatami malujesz?

Zara.

Cóż ty cierpisz? cóż ty czujesz?

Fenixana.

Nie sen to był — ale widzenie,
Ale mój los i przeznaczenie.
Bo czy nieszczęsnemu śni się,
Że znalazł gdzie skarby duże?
Brylanty jak jaja kurze
W perłowej leżące misie?
Czy mu się przyśni, że czyta
Napis literami krwawymi,
Że wszystko stracił na ziemi,
Tak że we śnie aż zazgrzyta?
Jeśli go nieszczęście tłoczy,
Zarówno obudzonemu
Spojrzy świat w zbudzone oczy
Nieszczęściem... Biada biednemu!
Ach! i mnie nieszczęsnej biada,

Na którą los taki spada,
Ze za umarłego mię dadzą.

Z a r a.

Na to płacze nie poradza.
Jeśli ciebie takie smutki rozdarły,
Jakże cierpieć ma — ach, ten umarły?

Fenixana.

Któż słyszał o takim losie,
Jak ten, co nademną świtał
Nieszczęśliwa ja kobieta!
Wykapana w kwiatów rosie,
Jako perła czysta, biała,
Biała jak srebrne łabędzie
Przy żółci trupiego ciała...
A ten trup — ach, kto on będzie?
Zda mi się, żem go widziała,
Ciagle mi się w oczach roi.

(Wchodzi Don Fernand z koszem kwiatów i staje nagle przed
Fenixaną).

Don Fernand.

Ten trup — tu — przed tobą stoi.

Fenixana.

Co widzę? Anieli w niebie!

Don Fernand.

Cóż cię trwoży?

Fenixana.

Ty! twoja twarz!
Strach mię zdjął, patrząc na ciebie.

Don Fernand.

I zaprawdę słusność masz
Dziwić się fortune światów.
Przyniosłem ci, oto, kwiatów
W koszyku, garstkę pokosu...
Zbierałem, gnąc się ku ziemi.
Są niektóre między nimi
Hieroglify mego losu;
Wyciągnij — znajdziesz niektóre,

Co były rano szczęśliwe
Jak ja...

Fenixana.

Ręce moje cheiwe
Lecą na tych róż purpure
Jak gołębie.—Ach, ten kwiat,
Który mi już w rękę spadł.
Znalazłam wczoraj wśród łąk
I nazwałam: maravilja.

Don Fernand.

Ach! tak nazwij każdą lilję,
Z moich niewolniczych rąk
Podaną... czyż nie jest cudem?

Fenixana.

O prawda! prawda!—Lecz któż cię tak zmienił?
Kto ci te włożył łańcuchy na nogi?

Don Fernand.

Seniora, mój los.

Fenixana.

Twój los, tak srogi?

Don Fernand.

Tak twardy, pani!

Fenixana.

Ach, tyś mię skamieni!

Powiedz? za cóż to?

Don Fernand.

Jesteśmy skazani

Rodząc się tu już, na mękę i ból.

Fenixana.

Czyż ty nie Fernand?

Don Fernand.

Ja Fernand—tak, pani.

Fenixana.

Któż skazał?

Don Fernand

Prawo.

Fenixana.

Któż miał prawo?

Don Fernand.

Sam król.

Fenixana.

Za cóż to?

Don Fernand.

Jeniec, do niego należe.

Fenixana.

Zaledwo oczom zasmuconym wierzę!
Wszakże cię wczora król wysoko cenil!

Don Fernand.

A dzisiaj serce, jak widzisz, odmienił.

Fenixana.

Ach, więc-że gwiazdom, co przy sobie siedzą,
Dosyć jednego dnia, by się rozeszły...

Don Fernand.

Kwiaty, co z gwiazdą nieszczęśliwą weszły,
Same ci na to, pani, odpowiedzą. —

Kwiaty, co wschodzą na ranek umyte

I tak się w zorzach rozwinęły jasno,

W objęciach noey pomarszczone zasną

I dla nich już dnie nie wrócą przeżyte!

Lilije w tęcie kolorów spowite

I umoczone w złoto i karminy

Zejdą, jak duchy aniołów z doliny,

Z jednym dniem życia pięknego pozbyte

A czy to rosy spadały obfite,

Czy otulone były mgłą i tęczą,

Śmierć je znalazła w godzinę urodzin...

Tak ludzie kiedyś przyjdą i zaręcą,

Ze wieki, które się włoką i dręcą,

Nie były dłuższe nam od smętnych godzin.

Fenixana.

Ranisz mię... słyszę zdaleka

W twoim głosie wieków głos.
Kto cierpi na własny los,
Od cierpiącego ucieka.

Don Fernand.

A te kwiaty? takie śliczne?...

Fenixana.

Jeżeli pomiędzy nimi
Są kwiaty hieroglificzne,
Jak losy twoje, żałobne,
To je rozsypię po ziemi
I zdepcę...

Don Fernand.

Cóż cię w nich rani?

Fenixana.

Ach, że są do gwiazd podobne!...

Don Fernand.

Przebacz im te grzechy, pani.

Fenixana.

Co?

Don Fernand.

Niestalość, próżne blaski.

Fenixana.

Nie, wszystkie wypuszczam z łaski!
Z gwiazdami zarówno cenię.

Don Fernand.

Jak to?

Fenixana.

Moje przeznaczenie

Z jedną smętną gwiazdą chodzi;
Dla tego, bo kobieta się rodzi
Gwiazdom podległa i kwiatom,
Co ją prowadzą do truny.

Don Fernand.

Wiem, że w kwiatach są piołuny.
Ale ach! niebieskim światom
Wpływy przysądzam uczynne.

Fenixana

Więc się dowiesz, że i gwiazdy są winne
Ach gwiazdy! gwiazdy, co takie gromadne.
Niebieskie mają ze słońcem sojusze
I leją w słońce całą światłą duszę,
Są także dniowi jednemu podwładne.
Kwiaty błękitu—bo są takie ładne.
Jak te, którymi oto ziemię pruszę.
Kwiat ci powiada: przez dzień skonać muszę;
Gwiazda ci mówi: przez noc jedną spadnę.
Więc gdy się od gwiazd ludzkie losy sądzą,
Jeśli się od nich nasze losy winą,
Nie dziw, że często spadają i błądzą,
I gdzieś w mgły ciemne niewidzialne płyną...
I naszym losem tak niestale rządzą
One, co przez noc palą się i giną.

(Odchodzi).

(Wchodzi na scenę Mulej, który przy końcu tej sceny stał za drzwiami).

Mulej.

Czekałem, aż się oddali
Fenixana. Pierwszy raz
Od jej oka, od jej kras
Uciekam jak orzeł smętny,
Gdy na słońcu oczy spał. —
Fernandzie, czy jesteś sam?

Don Fernand.

Cóż mi powiesz, Muleju szlachetny?

Mulej.

Oto chciałem, abyś wiedział,
Ze czasem i w sercu Maura
Znajdzie się miłość i wiara,
Radząca czyny rozpaczne.
Ach, nie wiem, od czego zacznę?
Nie wiem, czy ci mam powiadać,
Ile ja cierpiałem na to,
Kiedyś ty zaczął fortunie
Ulegać, pod nią upadać,
Jej niesfusznej podległ zmianie

I poszedł na uraganie
I stanął za przykład losów...
Ach, jak one z ludzi szydzą!
Tyle nędzy! tyle ciosów! —
Niech mię tu ludzie nie widzą,
Ze z tobą, Fernandezie, gadam.
Bo król wydał rozkaz srogi,
Abyć ustępować z drogi,
Traktować cię bez respektu:
Lecz ja do nóg ci upadam,
Fernandezie, pełny afektu
I wielkiej wiary dla ciebie;
Twój niewolnik, a w potrzebie
Twój przyjaciel. Nie chcę tracić
Tych chwil, więc krótko ci powiem,
Że przychodzę dług zapłacić,
Życie życiem, zdrowie zdrowiem,
Wolność wolnością; więc żądam...
(Daruj mi, że się oglądam,
Czy nas gdzie nie widzą z murów)
Weź ten nóż, ten wianek sznurów;
Weź je o! panie... a skoro
Noc się zaczerni, gotowa
Będzie łódź pod mazamorą,
Łódź dobra, silna i zdrowa,
Z rdzawym, pękniętym łańcuchem.
A wtenczas ty, panie, duchem
Napełń twoje niewolniki,
Rozkuj więzy; znajdziesz na to
Gotowe piły, pilniki,
Zapas ubioru, bielizny;
Weź ich i na łódź skrzydlatą
Wsiadaj i uchodź szczęśliwy
Do młkiej tobie ojczyzny.
Ja zaś tu zostanę żywy
Odpowiadać życiem, zdrowiem,
I czem trzeba, tem odpowiem
I przed królem i przed prawem;
Gotów twoim być zastawem
Choćby głową, jestem gotów. —
To wszystko. — Ach, jeszcze sędzę.

Że ci potrzebne pieniądze?
Więc oto garstka klejnotów
Za mój okup niechaj służy,
Bo człowiek, gdy się zadłuży,
Połowę przyjaźni traci,
Gdy pieniądz serca przegrodzi.
Dopiero, gdy dług zapłaci
I usunie tego rocha,
Z przyjacielem równiej chodzi,
Lepiej czuje, wolniej kocha.

Don Fernand.

Mówisz mi o wolnej łodzi...
Chciałbym... Lecz patrz, król nadchodzi...

Mulej.

Czy nas widział?

Don Fernand.

Nie.

Mulej.

O, panie!

Skryj się...

Don Fernand.

Tutaj... w tej altanie.

(Fernand kryje się do altany. — Wchodzi Król i uważa to zdaleka).

Król (na stronie).

Gadali tajemnie oba.
Jeden skrył się do altany,
Drugi stoi pomieszany.
Wcale mi się nie podoba
To zejście obu, ta zmowa.
Jeden się przedemną chowa,
Drugi zlekły stoi, czeka.
Więc go podejść zdaleka,
A słuszny, czy nie, powód trwogi
Usunę.

(Do Muleja).

Bardzo się cieszę...

Mulej (przerywając).
Panie, pozwól uściskać twe nogi...

Król.

Żem cię spotkał tu...

Mulej.

Co mi rozkażesz?...

Król.

Wyznam tobie, żem mocno żalosny
Z niepoddania się Ceuty.

Mulej.

O, panie!
Ceutę szturmem zdobędziesz bez trudu
Siłom twoim nie oprze się miasto.

Król.

Nie, Muleju, ta Ceuta się musi
Poddać sama, bez kosztu żadnego...

Mulej.

Jak to, panie?

Król.

O tak, przyjacielu...
Myślę nędzą i głodem okropnym
Tak przycisnąć Fernanda infanta,
Ze mi sam tej fortecy da klucze.
Rzecz mię jedna tylko trwoży...
Oto infant, ten książę, Muleju,
W Fezie nawet mieć może przyjaciół
Sami jeńce go widząc w niedoli
I w cierpieniu, gotowi lada dzień
Bunt mi podnieść... a baczę też na to,
Ze pieniądze łakomą są rzeczą,
Więc strażniki przejęte zapłatą,
Moga jeńca wypuścić — a nie mam
Pewnych ludzi...

Mulej (na stronie).

W tej go myśli utrzymam.
A tak, widząc moją dobroduszość,
Ci mnie bać się nie będzie...

(Głośno).

Masz słuszość!

Myśli twoje biorą dobry kierunek.

Król.

Jeden na to jest tylko ratunek,
Jeden sposób, a o tym sposobie...

Mulej.

Cóż to, panie?

Król.

Pod straż go dam tobie,
Bo wiem, że cię nie kupi brylantem
Ani kiesz... Więc ty nad infantem
Postanowion, bądź jemu alkađem...
Ufam tobie, a jedynym zakładem
Za infanta twój honor mi stoi.

(Odchodzi).

Mulej.

Słyszał wszystko i o mnie się boi,
Albo sam się domyślił wszystkiego. .
O! Allachul!

Don Fernand (wychodząc z altany).

Cóż tak smutny, kolego?

Mulej.

Nie słyszałeś, co pan ten okrutny?

Don Fernand.

Owszem, wszystko słyszałem z altany.

Mulej.

Czemuż pytasz, dla czegoś ja smutny?

Dla czego stoję zmieszany?

Dla czego rozmawiam z sobą?

Czemu żal mi pierś rozrywa?

Pomiędzy królem a tobą,

Posłuszeństwem a przyjaźnią

Straszną się walka odbywa.

Sumienie mi będzie kaźnią,

Jeśli króla mego zdradzę;

Węgłę na głowę zgromadzę,

Jeżeli ciebie opuszczę...
Ach! zaszedłem w straszną puszcze!
Myśl zbłąkanego odbiega...
Król na mnie tylko polega,
Ty we mnie masz tylko nadzieję...
Radź, co czynić?

Don Fernand.

Miłość grzeje,
I przyjaźń szczęście stanowi;
A choć obiedwie są święte
I zdradzone są ohydą,
Lecz w porównanie nie idą
Z wiarą należną krajowi
I klękają przed nią zgięte
Te anioły naszych dusz.
Więc radzę, królowi służ
Z tą wiarą niepokalaną.
A ja tu przyrzekam święcie,
Ze choćby mi dziś dawano
Wolność na pierwszym okręcie,
Co do Portugalii płynie,
Odrzucę—bo na mnie leży
Twój honor i przezemnie nie zginie.

Mulej.

Jesteś zwierciadłem rycerzy!
Ale mi nie dawaj rad,
Wszak ty mi wróciłeś życie.
Smętnemu wróciłeś świat!
A ja miałbym... Nie, mój książę!
Tej nocy, jak była zmowa,
U brzegu ci kół przywiąże:
Uchodź—a moja tu głowa
Odpowie.

Don Fernand.

Bracie mój miły,
Byłżebym ja sprawiedliwy?
Dałżebym ja dowód siły

i serca? wolności chciwy,
Z hańbą mego przyjaciela...
Hańbą się jego bogacąc,
Honor biorąc, serce tracąc?
Wolność, ten brylant wesela,
Jazbym jego łzami płacił?
Zostawiał tu męczennikiem?
Jeżeliś miary nie stracił,
Która czyny ludzkie mierzy,
To bądź mi sam poradcikiem
I mów, czy mi to należy
Uczyńć?

Mulej.

Ach! nie wiem, panie,
Co ci sam na to poradzę...
Powiem: nie, to serce pęknie,
Powiem: tak, to ciebie zdradzę,
Jak przyjaciel, co sam zmieknie
I w trwodze źle radzi może

Don Fernand

Więc ja tu słowo położę
Niewzruszone, głaz ogromny.
Wiedz, że mię tu sądy boże
Skazały, bym wybrał miarę
Litości i tu za wiarę
Skonał jak książkę niezłomny.

DZIEŃ III.

W palacu króla feskiego.

(Wchodzi Król i Mulej).

Mulej (na stronie).

Ponieważ pomóc nie mogę
Fernandowi niczem prawie,
Do króla się za nim wstawię.
Może on co postanowi
Litośniejszego z tym jeńcem...

(Głośno).

Panie, służyłem ci wiernie
I na lądzie i na morzu;
Wszędzie, gdzieś mnie tylko użył..
I jeszcze tę pierś postawie..
A jeśli na łaskę zasłużył,
Dziś wysłuchaj mnie łaskawie.

Krół.

Cóż tam?

Mulej.

Fernand...

Krół.

Dosyć tego.

Mulej.

Sądziłem, żeś mi łaskawszy.

Krół.

O Fernandzie tym wspomniawszy,
Jużeś tknął mnie i zostawiasz smętnego.

Mulej.

Jak to, panie?

Krół.

Bo przysiegam na duszę,
Że dać chciałbym, a odmówić ci muszę.

Mulej.

Wszakże jestem strażnikiem księżęcia.
Czyliż nie chcesz o więźniu mieć sprawy?

Krół.

Mów, lecz nie sądź, że będę łaskawy.

Mulej.

Ten Fernand, co z niemowlęcia
Na króla był wychowany,
A dzisiaj tak podeptany
Załośnie stopą fortuny,
I tak blizki, panie, truny,
Takim strasliwym posągiem
Do grobu po stopniach złata,
Ze fortuny dziwolągiem

Wydaje się w oczach świata,
 Który patrzy i drży z trwogi,
 Widząc jej deptające nogi.
 A myśli świat i o tobie,
 O twojej mocy i sile,
 Co takiej wielkiej mogile
 Rzuca takie wielkie ciało.
 Ty go sam trzymasz przy grobie.
 Tyś mu jest na piersiach skatą;
 Ty, panie, pod twoje nogi
 Wzięłeś piersi takie dzielne,
 To czoło takie naczelne!
 Rzekłeś—a on dziś ubogi,
 Nieszczęsny żebrak i nędzarz,
 W rdzawym na szyi łańcuchu,
 Nie godzien twojego słuchu,
 Oczu, które ty oszczędzasz.
 Abyś nie stracił płaczących;
 Litości u przechodzących
 Prosi rękami obiema,
 Litości prosi i nie ma
 Nawet litości!... Bo jako
 Rozkazałeś, panie srogi,
 Aby wymiatał podłogi
 I strawę miał lada jaką,
 A potem odmówił strawy
 I chleba dawać zabronił,
 A do stajen twoich gonił
 I w loch zapędził plugawy
 Sypiać w mazamorach ciemnych,
 Gdzie wilgoć ma gad i plamy:
 Z członków się jego nikczemnych
 Zrobił trup, a z oczów jamy...
 Te oczy, niegdyś pogodne,
 Dziś na ludzi patrzą głodne,
 We łzach bolesnych czerwone,
 Suche, głodem zapalone;
 A ręce jałmużny proszą.
 Rankiem swoi go wynoszą
 Z mazamor jako kość błądą
 I gdzieś go na słońce wala,

Gdzieś na słońcu, pod murami;
Potem uciekają sami,
Bo... (ach, głos mi w piersiach głuchnie)
Bo ten księżę trupem cuchnie,
Gnije żyw, z kości opada;
Nikt z nim nie żyje, nie gada,
Nikt przy jego mazamorz
Od swędu wytrwać nie może;
Tak kość, ciało, co się cegli,
Trąci i tak się rozpada,
Ze go już wszyscy odbiegli.
Jeden tylko, jeden sługa
Został przy tym panu biednym
I przyjaciel jeden jednym,
Szlachetny pewien kawaler.
Tych dwóch ani męka długa,
Ani dzuma, córka galer,
Nie odstraszyły od pana.
Ci dwaj, jeden mu kolana
Okrywa łachmanami wielą,
Drugi pierś pod głowę daje.
Chlebem z nim się oba dzieli,
Choć dla jednego nie staje
Tej cząstki. Bogi to wiedzą,
Jak oni ją we trzech jedzą?...
Jeszcze często księżę musi,
Gdy go chleb zebrany krztusi
A przyjaciele go śledzą,
Musi kawałek podany
Jak złodziej chować w łachmany,
Kryć się z tem, że przez obrozę
I gardło (o! jasne nieba!)
Tego żebrackiego chleba
Ten nędzarz przełknąć nie może.
A zaś owych karmicieli
Służba twoja srogo karze,
Kijem biją twoje strażę.
Więc przy panu jeden czuwa
I słowami go weseli,
Drugi żebrze i z nim dzieli
Chleb i łzę, co chleb zatruwa.

O! skończ, panie, już tę mękę!
 Ulż więźniowi w imię Boga!
 Spuść mu, panie, podaj rękę,
 Nie stężaj tego powroza.
 Bo to już nie żal, lecz trwoga,
 Nie litość bierze — lecz zgroza!

Krół.

Przestań na tem.

(Wchodzi Fenixana i rzuca się do nóg królowi)

Fenixana.

Królu, panie!...

Krół.

Cóż tam, moja córko miła?

Fenixana.

Jeżelim ja zażyła,
 Przez miłość i przez pokorę,
 Na twoje, ojcze, kochanie,
 Przychodzę o łaskę prosić.
 Niech ją z twoich rąk odbiorę.

Krół.

Choćby królestwo! pół berła!...
 Niechaj prosi wschodu perła.

Fenixana.

Ojcze! Fernand...

Krół.

Dosyć! dosyć!...
 Dalej nie gadaj... bo próżno.

Fenixana.

Ojcze, zgrozą już przenika!
 Daruj go jaką jałmużną,
 Ulituj się niewolnika!
 Nieszczęsny aż do łez wzrusza.

Krół.

A któż go do tego zmusza,
 Aby cierpieć? — Nędzny, słysze...
 Lecz on sam swój wyrok pisze,

Sam swoją pieczęć przykłada,
A pod nędzą nie upada,
Choć wyszedł z głodu na marę;
Ale chce cierpieć za wiarę,
Co mu niebiosą otwiera...
Chce umrzeć?... niech więc umiera,
Ja zeń mej nie zdejmę nogi,
Bo on sam nad sobą srogi,
Chce żyć w nędzy i plugastwie;
I nie ja się nad nim pastwie,
Ale on sam siebie męczy. —
Niech mi Ceuty klucze wręczy,
Dziś wolno puszczyć infanta

(Wchodzi Selim).

Selim.

Panie, przyszli dwaj posłowie.
Jeden z nich od Tarudanta,
A zaś Portugalczykowie
Drugiego przysłali w łodzi.

Fenixana (na stronie).

Ach! jeden po mnie przychodzi!
Tarudant po mnie przysyła!

Mulej (na stronie).

Ach! w dniu jednym taka siła
Nieszczęść na serce mi spada!

Król.

Wpuścić obu... Fenixanie
Tu miejsce, niech przy mnie siada.

(Król siada z Fenixaną na tronie. — Wchodzi Alfons, król portugalski w posła charakterze i Tarudant, infant Fezu, również jako poseł).

Tarudant.

Przepotężny Fezu panie!

Alfons (nie dając się wyprzedzić).

Przesławny Maurów tyranie!

Tarudant (mówiąc razem z Alfonsem).

Którego moc...

Alfons.

Którego siła...

Tarudant.

Bogdaj trwała...

Alfons.

Bogdaj żyła...

Tarudant.

O! zorzo tego narodu!

Alfons.

O! jutrenko jasna wschodu!

Tarudant.

Obyś lata...

Alfons.

Obyś wieki

Wielkie i nieprzeliczone...

Tarudant.

Miał laury...

Alfons

Nosił koronę.

Tarudant.

W każdej walce...

Alfons.

W każdym czynie...

Tarudant (do Alfonsa z gniewem).

Jak ty, psie chrześcijaninie,

Ważysz mi się głos przewlekać?

Alfons (do Tarudanta).

Jak ty się tu ważysz czekać,

Gdzie ja gadam?

Tarudant.

Słuszność każe,

Ze gdzie Arab tron zasiada,

Tam najpierwszy Arab gada.

Alfons.

A gdzie znają gospodarze
Grzeczność, tam prawo stanowi,
Ze głos pierwszy dać gościowi.

Tarudant.

Nie znam ja takiego prawa.
Niech dla gości pierwsza ława...
Ale głos...

Król.

Siadajcie oba
I niech poseł chrześcijanów,
Jako nieznająca osoba,
Ma głos...

Alfons.

Krótko powiem, panie.
Oto Alfons, Luzytanów
Król, którego panowanie
Sławne teraz po wszej ziemi,
A ustami bronzowymi
Sławy po morzach głoszone,
Pozdrawia twoją koronę,
Zdrowia ci życzy i błaga:
Ponieważ ma tutaj brata,
Który się wolności wzdraga
Kupionej Ceutą i duszą,
Aby teraz ta zapłata
(Nim się jedze wojny ruszą)
Dla zobopólnej ugody,
W innych mogła być pieniądzech.
Poszukaj, panie, w twych żądzach,
Oszacuj dwa takie grody
Jak Ceuta, rachuj na krocie,
Każ je złożyć w srebrze, w złocie;
Alfons je pewno wypłaci
I przyjaźń z tobą zachowa.
Lecz gdy tę nadzieję straci,
A z wiatrem pójdą te słowa,
Ten sam wiatr z po nad odmetów
Nagna tu tysiąc okrętów;

Flotę, co już brzegów sięga
Krzyżami zaczęła błyskać,
I króla, który przysięga
Ogniem i mieczem odzyskać
Księcia i waleczyć dopóty,
Aż więzień będzie rozkuty.
A te pola i doliny
Szmaragdów pozbędą kłosa
I ubiorą się w rubiny,
Nim słońce zajdzie w niebiosach.

Tarudant.

Choć jako poseł zasiadam,
Lecz krewny tego mocarza,
Jako taki odpowiadam
Na to, co Pana obraża
I rani. — Powiedz odemnie
Alfonsowi, jego rzeszy,
Niechaj się na pola śpieszy.
Bo nim się w blasku lazurze
Jutrzenki pokażą róże
I ozłocą wschodnie chmury,
Na ziemi będą purpury.

Alfons.

Gdybyś ku nam się podzwignął
Przez jaki wielki uczynek,
Możeby tu pojedynek
Te całą sprawę rozstrzygnął.
I tak rzecz niech z nami stanie;
Niech Tarudant krwi nie skapi,
Niech wasz król przyjmie wyzwanie,
A ja w tem, że mój wystąpi.

Tarudant.

Kłamiesz! król się twój przeleknie.
Tarudant placu dotrzyma.

Alfons.

Więc na pole...

Tarudant.

Aż krwią zmięknie...

Alfons.

Aż krew wytryśnie oczyma,
Będę patrzył, czy przybędziesz?

Tarudant.

I nie długo patrzeć będziesz,
Bo ja piorun.

Alfons.

Jam obłokiem!

Tarudant.

A ja piorunowym smokiem!

Alfons.

A ja wulkan z ognia łonem!

Tarudant.

A jam jędzal!

Alfons.

A ja zgonem!

Tarudant.

Słuchasz — i żyjesz? to dziw!

Alfons.

Widzisz mnie i jesteś żywym!

Król.

Niech wasze Jasności obie
Na czas pofolgują sobie;
Bowiem i słońce już blizkie
Zachodu... A niechaj pomna,
Ze bez mego pozwolenia
Na mojej ziemi nie mogą
Szranków mieć otwartych sobie.
A teraz niechaj pozwolą.
Abym gościnnością służył.

Alfons.

Kto mię ugascza niedolą
I podał czarę żalości,
Ten inaczej nie ugości
I gościną nie przynęci.
Bo Fernanda tu przyszedłem

I miałem to na pamięci,
Aby ludzkiej krwi oszczędzić,
A zachować króla sławę:
Teraz czekam na odpawę.

Krół.

Odpawa, królu Alfonsie,
Będzie krótka. Jasny panie!
Jeśli mi nie oddasz Ceuty,
To infant u mnie zostanie.

Alfons.

Ponieważ przychodzę zbrojny
Poseł srogi, wieszczby kruk,
Ogłaszam żalobę wojny.

(Do Tarudanta).

A ty czy poseł, czy wróg,
Chodź w pole. Za godzin trz
Cała niech Afryka drży.

(Odchodzi).

Tarudant (do Fenixany).

Wojny ognista pochodnia,
Która o czasie stanowi,
Twojemu niewolnikowi
Nie daje służyć inaczej:
Niechaj mnie więc perła wschodnia
Zgiętego u nóg obaczy
I ręką swoją obdarzy,
A weźmie duszę w niewolę.

Fenixana.

Nie przystoi dla mocarzy
Takich jak ty w takim dole
Zostawać, i w tej pokorze
Utracać godności miarę.

Mulej (na stronie).

Słyszeć to i żyć! o! Boże!

Krół.

Wasza Jasność godzin parę
Niech przyjmie moją gościnę.

Tarudant.

Królul za ledwo godzinę
Mogę czekać. I to jeszcze
Jak ambasador obwieszczę,
Że jestem umocowany
Wybiwszy mymi kolany
Przed tą pięknością dwa groby,
Prosić o dar jej osoby
I z sobą wziąć ten skarb drogi.
Przebac, że tak krótko proszę,
I tę piękną stąd unoszę
Niby orzeł, pełną trwogi.

Król.

We wszystkim, panie, me żądze
Prześcigasz takim życzeniem.
A ponieważ to być sędzę
Naszych długów skwitowaniem
I naszych wojen skończeniem,
Ugodę potwierdzam daniem
I unieść ją stąd pozwolę.
Ale śpieszny odjazd radzę,
Nim wrogi zastąpią pole.

Tarudant.

Swaty ja liczne prowadzę,
W swaty wiodę wojsko całe,
Tak, że puszcze mi za małe,
A z obozów stoją miasta,
Więc odjedźcie ta niewiasta
Bezpieczna.

Król.

Dla wszelkiej pieczy,
Nie będzie i to od rzeczy.
Że, Muleju, weźmiesz Spachy
I odprowadzisz pod dachy
Mażeńskie tę narzeczoną.

Mulej (na stronie).

Więc i to... pęka mi łono!
Fortuna się koligaci
Z wrogami, a ze mnie się śmieje,

Achl i Fernand we mnie traci
Przyjaciela i ostatnią nadzieję!
(Wychodzą).

ZMIANA I.

Ogród przy mazamorach.

(Niewolnicy wnoszą Don Fernanda i kładą go pod murem). Don Zuani Brytasz

Don Fernand.

Położcie tu moje ciało
Na słońcu, przy białej ścianie,
Aby mię słońce ogrzało.
Wielki Boże! Boże Panie!
Bądź pozdrowion duszą całą
Za Twoje słońce wiosenne,
Pełne złotego uśmiechu.
Hiob przeklinał światło dzienne,
Bo urodzony był w grzechu,
W nędzy, w upadku, w obawie;
Ale ja ci, błogosławie
Za dzień, co mi żyć pozwala,
Miłości goreć płomykiem.
Każde drzewo się zapala
I Tobie, Panie, goreje;
Każdy promień, co mię grzeje,
Płomienistym Cię językiem
Na wysokości wychwala!

Brytasz.

Czy ci tak dobrze, o! panie?

Don Fernand.

Dobrze, bracie,—dobrze, ciepło.
Wielkie Twoje zlitowanie,
Boże! wielkie łaski Twojej!
Gdy mi ciało w lochu skrzepło,
Ty mi dajesz światła zdroje,
Ptaszkom Twoim każesz śpiewać.

Słońcu Twojemu ogrzewać.
Dobry jesteś i łaskawy!

Pierwszy niewolnik.
Pozostalibyśmy dłużej
Przy tobie, ale z obawy
Nie możemy. Człowiek służy..
Czeka nas łańcuch i plaga.

Don Fernand.

Bracia, niech wam Bóg pomaga
I szczęści.

Pierwszy niewolnik.
Jakie katusze!

Drugi niewolnik.
O! jaka nędza na świecie!
(Niewolnicy odchodzą)

Don Fernand.

Wy dwaj ze mną zostanieiecie?
Don Żuan.

Ach ja, panie, odejść muszę.
Don Fernand.

Ciebie mi zawsze potrzeba
Przy boku, bez ciebie się smucę
Don Żuan.

Panie, ja zaraz powrócę,
Pójdę tylko szukać chleba,
Abyś miał co jeść; dziś rano
Nie jadłeś. O! biada! biada!
Odkąd Muleja zabrano,
Ziemia, zdaje się, zapada
Pod nami, okropna puszcza
Szerzy się, wszystko opuszcza!
A straszliwa biada nędza
Ciagle nam karku dopędza,
Wczoraj jak straszdyło krwawę,
Dziś suchsza, bledsza od trupa.
Bo kiedy biegnę po strawę,
To łajdactwa tego kupa,

Co po wioskach, panie, siedzi,
Pomna na zakaz surowy,
A bojąc się, że ją śledzi
Jaki Argus stuokowy,
Od króla stawiony na to,
Chleba ani za opłatą
Nie chce dać... o twarda taka!..
Ani na prośbę żebraka
Nie chce dać, skruszona łzami,
Taki twardy los nad nami!
O! panie... Lecz ktoś nadchodzi.

(Don Żuan wychodzi).

Wrytasz klęka przy leżącym Don Fernandezie. Wchodzą Król,
Tarudant, Fenixana i Selim).

Don Fernand.

Głos go mój w serce ugodzi.
Może litość wydobęde
I cierpiąc, dłużej żyć będę.

Selim (do króla).

Panie, przechodząc tą drogą
Musisz tu nadeptać nogą
Infanta.

Król (do Tarudanta).

Badź świadkiem, panie,
Jakie moje panowanie.

Tarudant.

Zamiary moje podrózne
Opaźniasz przez tę gościnę.

Don Fernand (żebrząc).

O! dajcie jaką jałmużnę
Zebrakowi, z głodu ginę!..
Niech próżno rąk nie otwieram.
Pomnijcie, żem człowiek przeciel!
A z nędzy, z głodu umieram,
W oczach mi głodnemu ciemno
Ludzie! miejcie litość nademną
I nie odwracajcie oka.

Brytasz.

Książę, nie tak żebrać trzeba...

Don Fernand.

A jakże?

Brytasz (żebrząc).

W imię proroka!

I w imię siódmego nieba,
Maury, dajcie nam jałmużnę,
A niebo wam będzie dłużne
I sam prorok wam zapłaci.

Król.

Taki nędzny, a nie traci
Żywota, nie skłania czoła. —
Mistrzu infancie!

Brytasz (do Fernanda).

Król woła.

Don Fernand.

Mylisz się, więźniu, kolego.
Mistrzem ja nie jestem zgoła,
Ni infantem... trupem obu,—
Ich trupem, to co innego;—
Bowiem wyglądam z pod grobu;
Na piasku jak nędzarz drzemie
I proszę wody kropelki...
Lecz nie infant, nie mistrz wielki...
Tamtych grobowiec naciska,
Ja jestem człowiek z nazwiska.

Król.

Więc mi odpowiedz na imię
Fernanda.

Don Fernand (wstając).

Teraz, ubogi,

Wstanę całować twe nogi,
Prosić o posiłek skromny.

Król.

Zawszeż-li taki niezłomny?
I wytrwały dziś jak wczora!...
Powiedz mi, to uniżenie,
Duma to jest? czy pokora?

Don Fernand.

Króla godność w tobie cenię,
I każdym to stwierdzam czynem
To prawo, które zamyka
Zakon boży: że nad gminem
Król ma sobie berło dane,
I ma mieć od niewolnika
Posłuszeństwo — więc złamane
Członki przed twoją osobą
Prostując, stanę przed tobą.
Nim przed Panem Bogiem stanę. —
Wiedz, że król, skąd nie bądź, nosi
Taką powagę, moc bożą,
Tak się w nim siły wielmoża,
Że krew, co mu ciało rosi,
Musi wstać w ciała nicestwie
I zaświadczyć o królestwie,
Do cnót królewskich się dostać.
Więc nietylko króla postać,
Ale i cnót świadczy żywość,
W sercu łaska, sprawiedliwość
I inne cnoty mocarza.
A to prawo, podług wzorów
Boskich, do natury tworów
Przechodzi i tak przeraża
Samą dotkniętą naturę,
Że prawa prosto idące
O te twory królujące
Zbiwszy, nieraz cofa w górę
I cud robi niestychany,
Jak niegdyś boże Jordany. —
I tak: pomiędzy zwierzęty
Lwu się królestwo należy.
Ten kiedy grzywę najeży

I kudłami stanie wzdęty,
Jak ogromna fala złota,
Co zwierzę przed sobą goni,
To mu królewska istota
Pastwić się nad jeńcem broni.
A patrz na morz błękit siny;
Tam królami są delfiny.
Bowiem kiedy akwilony
Napędzą fale gromada,
Fale te delfinom kładą
Srebrne i złote korony.
Jednak to królewskie plemię
Co włada na wodnym świecie,
Nieraz na swym sinym grzbiecie
Człeka wynosi na ziemię
I wściekłym falom wyrzywa.
Więc i orzeł, ten król trzeci,
Który po błękitach pływa
I zawsze na słońce leci;
A koronę ma nie lichszą
Od innych, z tych piór na głowie,
Które mu burze rozwichrza:
A jednak, kiedy się dowie,
Że gdzie podłe żądło gadu
Do źródeł nalało jadu
I woda już śmiercią traci;
By nie była ludzi grobem,
Rusza ją skrzydły i dziobem,
I wichrzy, aż ją zamaci,
Aby swój kryształ popsuka,
Zbladła i ludu nie trufa.
Królestwo roślin, kamieni
Tym samym prawom podpada.
Pani owoców, grenada,
Co z drzewnych niby promieni
Koronę nosi i wieniec,
Gdy ją dotknie jad zarazy,
Traci ognisty rumieniec.
A wewnątrz ziarenek rubiny
Wnet zamienia na topazy.
Więc śród kamiennej družyny

Także król ma swój sakrament,
 Oto, panie, ów dyament,
 Co jest nad kamienną zgrają,
 Twardszy od granitów kości,
 Przed którym magnesy stają,
 Stają w jego obecności
 Pomne na króla potęgę,
 I tę mu zdają przysięge
 Poddania, ów król tak twardy
 Tyle ma dumy i wzdardy,
 Że nie pomny własnej siły,
 Kiedy go stał z dziecka krzykiem
 Zdradzi i dotknie pilnikiem
 I o królestwo zaleka,
 W drobne rozpada się pyły,
 W proch się rozpada i pęka,
 A biednej stali nie niszczy...

Taka więc szlachetność błyszczy
 Wszędy w królewskich sumieniach,
 W zwierzętach, w rybach i ptakach,
 I w roślinach i w kamieniach;
 Więc i w ludziach po tych znakach
 Mają być znani królowie.
 Nie tylko że z wielmożności,
 Nie tylko z koron na głowie;
 Ale, panie, i z litości
 I ze szlachetnego serca.
 Chrześcijanin, czy bluźnierca
 Krzyżowy, gdy spojrzy we dno
 Duszy, wyczyta to jedno
 Prawo przez Boga wyrte,
 Któreś ty w sercu zagłuszył.
 Nie gadam, abym cię skruszył,
 Abym do litości skłonił.
 Ciało me bolem rozryte
 Nie tyś, ale Bóg pokłonił.
 Nie chcę u twojej osoby
 Zebrać, życia już mam sytość...
 Późna też byłaby litość;
 Bo wiem, że żądło choroby
 Aż w serce mię już raniło;

Oddech mi powietrzem szkodzi,
Jak nóż przez serce przechodzi
I rznie zapalone płuca.
Ja wiem, że już nad mogiłą,
Że mnie już żywot porzuca,
I żar wypala piekielny...
I to wiem, że jest śmiertelny,
Jak ty, panie, robak drobny,
Nie żadna anielskość dumna.
I dla tego to podobny
Kształt ma kołyska i trumna;
Aby to ludzie wiedzieli,
Że na podobnej pościeli,
Gdy przyjdą na rozkaz boży,
Matka ich i śmierć położy.
Tak więc podobne do pary
Przy kołysce stoją mary!
Tak podobne u podwoi
Dwojga — dwoje łóż człowieka.
Kto to wie — czegoś się boi?
Kto słyszał to — czegoś czeka?
Kogo strząsał los na ćwierci,
Naraził na nieszczęść krocie —
W czymże ufa! czy w żywocie?
O nie, zaprawdę, że w śmierci,
W śmierci ufa! — Tę ofiarę
Zrób ze mnie, panie, o! proszę...
Daj śmierć — niech umrę za wiarę!
Oto ręce me podnoszę
I o śmierć, panie, cię błagam.
Nie dla tego, że się wzdragam,
Żyć i cierpieć jestem nierad;
Że chcę umrzeć jak desperat;
Nie dla tego u nóg szlocham —
Ale ja się, panie, kocham
W takiej śmierci męczennika,
Co krwawe ciało odmyka
I Bogu uwalnia duszę
I na wieki ją ożywia.
Więc choć grzechu prosić muszę,

Miłość mię usprawiedliwia,
Ze o śmierć nieszczęsną proszę...
Oto me ręce podnoszę,
A ty daj!—Lwem będziesz wtedy,
Co widząc myśliwce śmiałki,
Napastniki ojców schody,
Napada i rwie w kawałki.
Orłem będziesz, co się ciska
Na gniazd swoich rozbójnika,
W szpony mu czaszkę zamyka,
I dziób maluje rubinem
Tej krwi, co z oczu wytryska.
O! panie, będziesz delfinem,
Który na nieba lazurze
Zapowiada śmierć i burze
Ludziom grożące zalewem.
Królewskiem ty będziesz drzewem,
Co piorunami czerwone,
Ramiona огоłocone
W burzach rwie i tak się zżyma,
Ze zda się piorun otrzyma
I nad światowym zamętem
Będzie spełniał gniew boży.
Panie! będziesz dyamentem,
Co się na stal biedną sroży,
Gardząc kamieni motłochem.
Lecz syp się w proch i zrób mnie prochem!
Bo ja nie ulegnę przedzej;
Bo im więcej cierpień nędzy,
Im więcej mnie gną rozpaczę,
Im boleśniej w nędzy płaczę,
Im przed tobą jestem mniejszy,
Im we wnętrznościach głodniejszy,
Im bardziej odarty z ciała
I z nadziei i z łachmanów,
Choćby ta ziemia gnać miała
Za mną szczękami kajdanów
Nawet — nawet w żywot dalszy;
Im więcej cierpień, tem stalszy
Muszę trwać przy mojej wierze.
Bo ona mnie jedna strzeże!

Serce nadzieją rozniecał
Słońcem w męczeństwie oświecał
Palmy zawiesza nad czołem!
Nie przeważysz nad kościołem,
Ile go jest w mej osobie.
Z kości tych tryumfuj sobie...
Gardło masz i moje łono.
Bóg ucieczką moją i obroną!

Król.

To już przechodzi pojęcie!
Aby człowiek tak grobowy
Bawił się takimi mowy,
Wpadał na takie sentencje
I sam się cieszył w niedoli.
Jakże ty chcesz, abym bolał,
Gdy ciebie serce nie boli.
Jeśliś ty sam umrzeć wołał
Niż żyć?—Nie, nie, nadaremnie, —
Litości nie znajdziesz we mnie,
Pierwej miej ją sam nad sobą.

(Wychodzi).

Don Fernand (do Tarudanta).
Przed twoją, panie, osobą
Uniżam się, wspomóż jeńca...
Tarudant (odpychając go).
Nędzarzu!

(Wychodzi za królem).

Don Fernand (do Fenixany).
Więc potępieńca
Ty się ulituj, o! pani,
Jeśli twa piękność jest z Boga,
A nie jest wzięta z otchłani.

Fenixana,

Achl jaki widok!

Don Fernand.
Ty sroga,
Odwracasz oczy?...

Fenixana.

We łzach mi
Toną... człowieku! ach! strach mi!
Duch mi cały z ust wyskoczy!

Don Fernand

I dobrze, bo są też oczy
Ach, nie do nędzy stworzone.
Dobrze! że twój wzrok roztropny.

Fenixana.

Puść mnie. — Jaki ty okropny.

Don Fernand.

Okropny? — Choć odwrócone,
Czy masz pełne popłochu.
Dobrze jest, abyś wiedziała,
Ze piękność twojego ciała
Tyle, co mój szkielet waży,
Tyle co ja — garstkę prochu.

Fenixana.

Puść mię — oddech mię twój parzy,
 Głos zabija, szaty cuchną.
 Puść mię ty, człowiecze próchno!
 Szaty mi rękami skazisz,
 Oddechem twóim zarazisz.
 Puść, człowieku — bo omdleję!

(Ucieka z Selimem).

(Wchodzi Don Żuan pokrwawiony i w łachmanach z chlebem).

Don Zuan.

Oto mię Maury, złodzieje,
Za kawałek tego chleba
Zbili — krew się ze mnie leje.
Panie, jedz.

Don Fernand.

Już mi nie trzeba
 Jadka, drogi przyjacielu.
 Oto już jestem u celu...
 Już ide...

Don Żuan (padając mu do nóg).

Panie mój drogi!

Czy ty już... o! ratuj, Boże...

Don Fernand.

Placz tu już nie nie pomoże—

Nie martw się — ziębną mi nogi

Zaprawdę, jużem przy śmierci.

To serce, za godzin mało,

Robak śmiertelny przewierci

I znajdzie, że cię kochało,

Ciepło w niem jeszcze zostanie.

Nie martw się, mój Don Żuanie.

Ja się w długą podróż wybieram...

A dla Boga tu umieram,

Chóry anielskie bogacę

I dług Panu memu płacę.

Nie martw się i oczu rosą

Nie lej na ciało książęcę.

Każ, niech mię wezmą na ręce

I do mej jamy odniosą.

Już konam...

Don Żuan.

Z tą ziemią nędzy

Ostatni mój węzeł pęka!

Don Fernand.

Don Żuanie... czy później, czy prędzej

O tu.

(Pokazuje na ziemię).

Daj rękę. Ta ręka

Karmiła mię — o! szlachetna!—

Chociaż moja śmierć nie świetna,

Po śmierci może Bóg zdarzyć

Odmianę... więc w mazamorze,

Gdzie się sam jak trup położę,

Nie rusz mię... lecz po skonaniu,

W mistrzowem zawiń ubranu

I zostaw tak okrytego

Uchylm i spokojnym trupem,

Jeśli król pozwoli na to...

A kiedy przyjdą z okupem,
To znajdą mistrza martwego
Pod zwykłą krzyżową szatą.
I powiozą, gdzieś przez morza,
Do kraju garstkę popiołów...
Już też, za tyle kościołów,
Da mi tam grób łaska boża!
(Don Żuan i Brytasz wynoszą go).

MIANA II.

(Ładują na brzeg morski Alfons i Don Henryk
z rycerstwem).

Alfons.

Zostawić falom zhukany okręt,
Co podpierały żaglami obłoki.
I niechaj biją dział ogniste smoki.
I niechaj rzeka ludzi wyrzygnięta
Z okrętów płynie i ten kraj zalewa...

Don Henryk.

Zły do ładunku brzeg wybrałeś, panie
Radziłbym lepiej te masztowe drzewa
Bliżej po srebrnym posunąć bałwanie
I z nich samemu Fezowi dać szturmy.
A tu, jak widzisz, maurytańskie hurmy
Rażą nas straszną szabel błyskawica.
Tu sam Tarudant, z swą oblubienicą
Z Fezu wracając, bój nam wypowiada.

Alfons.

Jasnych aniołów była to dorada,
Abym uczynił to, co teraz czynię;
W Fezie na oba natrafiłbym wrogi,
A tutaj jeden — o pół nie tak srogie,
Stoi na polu. Więc, nim się rozwinie,
Każ huknąć w trąby.

Don Henryk.

Racz zważyć, że wojna
Zawczesna, panie, ludzie nie gotowi

Alfons.

Na nic nie zważam, dusza moja zbrojna,
A duch w mej piersi równy piorunowi!
A duchy święte pilnują mych skroni,
A dla Afryki noszę śmierć w tej dłoni!

Don Henryk.

Lecz noc zaciąga swoje smętne kiry
Na ogień słońca, na niebios szafiry;
Ona zwycięstwo tobie wydrze z ręki...

Alfons.

Ha! więc zwyciężać będziemy po ciemku.
Niechaj noc idzie z czarnymi sztandary
Ona nie wydrze z mego ducha wiary,
Ze się o sprawę biję sprawiedliwą.
A jeśli Fernand mekę swą cierpliwą
Za nas, o bracie, Bogu ofiarował,
To Bóg pioruny te jasne ukował,
Którymi szyki będzie walił krwawe.
A my zbierzemy zwycięstwo i sławę.

Don Henryk.

Lepiej by w polu porobić przeraby...
(Ściemnia się — słychać w powietrzu anielskie trąby i różne
głosy duchów).

Alfons.

Cyt... słyszysz, bracie?...

Don Henryk.

Głosy jakby śnią się...

Alfons.

Głuchną... i znówu.

Głos Fernanda.

Alfonsie! Alfonsie!...

Don Henryk

Głos mego brata... i znów jakieś trąby
Smętne, powietrzne, rozptakane głosy..

Alfons.

A więc to Pan Bóg z całymi niebiosy
Schyla się ku nam, owinięty nocą.

(Wchodzi duch Fernanda z pochodnią).

Duch.

Z błogosławieństwem tobie i z pomocą
Dla twojej, Alfonsie, wiary
Pan Bóg zesłał tę noc ciemną,
I zlitowany nademną,
Pozwolił opuścić mary,
Gdzie płakali... odejść od nich...
A tu z duchów ciżbą liczną
I z tą pochodnią gromniczną
U gwiazd zapaloną wschodnich
Iść przed wami. — Za mną... za mną!...

(Wychodzi).

Don Henryk.

Bracie, opuszcza mię męstwo,
Zda się, że czaszkę dwujamną
Miał ten...

Głos Fernanda (za sceną).

Za mną...

Alfons.

Słyszysz?...

Głos Fernanda (gینący w odległości)

Za mną...

Alfons.

Na koń, bracie, Bóg nam daje zwycięstwo!...

(Wychodzą z wojskiem za duchem Fernanda).

ZMIANA III.

Galerya w palacu króla fezkiego.

(Z jednej strony wchodzi Król i Selim, z drugiej niewolnicy chrześcijanie niosą w trumnie ciało Don Ferdanda. Don Żuan idzie za trumną).

Don Żuan (do króla).
Napaś oczy tym widokiem,
Oto w czterech deskach leży
Bohater, perła rycerzy.
Twoim okrutnym wyrokiem
Zabity...

Król.

Ktoś ty jest taki?...

Don Żuan.

Rycerz bez żadnej poszlaki...
Z nim oto dźwigałem biędę
I leż się wspólnych napilem,
Do śmierci wierny mu byłem
I za ciałem jego idę.

Król.

Patrzajcie się, ludzie krzyża,
Bo oto trumna się zbliża,
Trumna, co do mnie należy,
A w niej oto przykład leży
Zgiętego aż do mogiły,
Pod nogą króla, oporu.
Niech teraz Alfonsa siły
Wyrwą go i ów sen moru
Odwalą... Niech kto wyzwoli
Z tej ostatecznej niewoli,
W której mu łańcuchy snia się?
Chodź! chodź po brata, Alfonsie!
Chodź mu teraz z uwolnieniem!—
Co do mnie... choć Ceutę tracę,
To się tem książąt zgnieceniem

I starciem więcej bogace
W sławie, niż tysiącem grodów...
Otom upór ich zwyciężył.
A jakom żywemu ciężył
Na piersiach — obaczą tłuszcze,
Ze nawet tej garstce lodów
I po śmierci nie odpuszczę,
Ale kość zgnilizny blizką
I to nieszczęśliwe ciało,
Z tą trumną napół spróchniała,
Oddam na wiatrów igrzysko,
Na słońca wystawię skwary
I wiatry. —

Don Żuan.

Blizkiś jest kary!
Bo oto widzę z wysoka
Chorągwie twego proroka
Niżej... a krzyże u góry..

Król.

Selimie... wyjdźmy na mury
Zobaczyć... co za nowiny?

(Wychodzą).

ZMIANA IV.

Pole pod murami Fezu.

(Wchodzi Duch Don Fernanda z pochodnią, za
nim zaś Alfons z wojskiem, Don Henryk. —
Fenixana i Tarudant wzięci w niewolę).

Duch Fernanda.

Przez ciemność i mrok siny!
Przez skały i rozpadliny,
Gdzie orzeł latać się lęka,
Prowadziłem was bezpiecznych,
Oto różana jutrzeńka!
Oto Fez w ogniach słonecznych!

Wiecej mi Bóg nie pozwól...
Wykupcie mię u pogan z niewoli.
(Znika).

Alfons.

Zniknął w jutrzeńki lazurze...
Hej... kto tam z ludzi na murze?...
Niech król do układów stanie.
(Pokazuje się na murze Król i Selim)

Król (z muru),

Czego chcesz, śmiały młodzianie?

Alfons.

Wypuść infanta z niewa.
A ja ci oddam w zamianę
Twoje dziecko ukochane,
Które oto w mojej mocy...
Inaczej — choć serce zaboli,
Uczynię twój dom sierocy,
Śmiercią twojej córki pusty...

Król.

Selimie... aca, tymi usty
Wydan wyrok sprawiedliwy...
Co zrobisz? Fernand nieżywy,
A moja córka u wroga.
Fortuno! fortune sroga!
Jak ty się nagle odmieniasz!

Fenixana.

Ojczel czy ty zakamieniasz
Serce na twęj córki głosy?
Ze widzisz mię w tej niedoli,
Widzisz z rozwianymi włosy,
Pod toporami, pod strażą
I spokojną patrzysz twarzą
Na córki twojej więzienie.
W twoim ręku los mój cały,
W twoim głosie me zbawienie
A ty stoisz oniemiały?
Kiedy w jednym twojem słowie
Ratunek dla córki leży?

Widzisz miecz na mojej głowie
I czekasz, aż we mnie uderzy?
I milczysz? aż mię zabiją,
Aż mi nóż utopia w łonie
I szyję zetną bułatem...
Ach, lwem ty, byłeś na tronie!
Będąc ojcem, jesteś żmija!
Będąc sędzią, byłeś katem!
Nie król ty, nie sędzia, nie ojciec,

K r ó ł.

O! Fenixano—ta zwłoka,
Choć z twarzy mej trudno docieo
Boleści... ach, na proroka!
Straszną mię rani katuszą.
Bo wiedz, Alfonsie, że wczora
Księżę się wasz rozstał z duszą
O samym zachodzie słońca,
Po wyjeździe Fenixany,
I leży nieopgrzebany...
A ja... wskrzesić go bezsilny
Wam... (o fortune zdradziecka!)
Oddaję krew mego dziecka
Na zemstę...

Fenixana.

O nieomylny
Wyrok był!... jestem zgubiona!

K r ó ł.

Niech płynie ta krew czerwona,
Za jej duszą moja śpieszy.

Don Henryk.

Co słyszę! mój brat nieżywy!
O! więc już go nie pocieszysz
Ta wolność... i pomoc próżna.

Alfons.

Nie mów tak, twój brat szczęśliwy,
Girlanda go gdzieś podróżna
Duchów i gwiazd bratnich wita
Co do mnie, treść jego woli

Nie jest mi wcale zakryta.
 Prosząc, byśmy go z niewoli
 Uwolnili, gdy w ciemnościach
 Z pochodnią przed nami błdził,
 Mówił o sercu i kościach. —
 Więc, królu, abyś nie sądził,
 Że ten trup, po którym lament
 Morskie podniosą Syreny,
 Podlejszej jest u nas ceny,
 Niż jaki wschodni dyament
 I cudnej piękności lice,
 Za Fernanda zewłok święty
 Oddam ci twoją dziewicę;
 Róże dam — za dyamenty,
 Śniegi dam — za te popioły;
 Oddam tobie mój wesóły
 A posępne wezmę grudnie;
 Tę postać świecącą cudnie,
 Co mi z rąk jak anioł ucieka,
 Zdając się młodością i chwałą,
 Oddam ci za biedne ciało
 Nieszczęśliwego człowieka,

K r ó l.

Co mówisz?...

A l f o n s.

Każ spuścić trumnę

K r ó l.

Ach! i czoło moje dumne
 Pójdę... przed tobą uniżyć...
 Spuścić tu ciało książęce...

(Odechodzi).

(Spuszczają trumnę z murów).

A l f o n s (przyjmując spuszczoną trumnę).

Przyjmuję ciebie na ręce,
 Święty! drogi męczenniku!...
 Całuję twe rany i krzyże...

Proszę... pomóż mi, Henryku,
Te trumnę...

Don Henryk.

Witaj, mój bracie!...

(Stawiają trumnę... Wechodzi Król i uniaż się do nóg Alfonsowi, który go podnosi z ziemi. — Wechodzi Don Żuan, Brytasz i Niewolnicy).

Don Żuan.

A mnież to nie powitacie?

Alfons.

Witaj, don Żuanie stary!
Dobry nam zdajesz rachunek
Z opieki...

Don Żuan.

Prowadzę mary...

Półki żył, każdy frasunek
Podzieliłem z nim i nędzę...
A teraz (od łez mi ciemno!)
Oto on poszedł przedemną,
Ale ja go tam dopędzę,
Dopędzę...

Alfons (obracając się ku trumnie).

Wuju mój drogi!

Fernandzie, pochodnio światła!
Na twoje ręce i nogi,
Jako na święte stygmata,
Kładę usta... i tę mroźną
Dłoń ściskam w królewskiej dłoni...
A choć przyszedłem zapóźno,
Miłość moja się wyłoni
W pośmiertnej dla ciebie cześci;
I z mojej wielkiej boleści
Wielkie, ze złotymi czoły
Wstaną dla ciebie kościoły.
Bowiem po śmierci się jasno
I przyjaźń ludzka pokaże. —
Królu, a tobie zaś w darze
Oddając twą córkę własną,

Oddaję też Tarudanta.
Ale przez pamięć infanta,
Któremu Mulej był miły,
Proszę — abyś ten kwiat złoty,
Który był ceną mogiły,
Uczynił nagrodą cnoty,
Wiary — i dał Mulejowi.

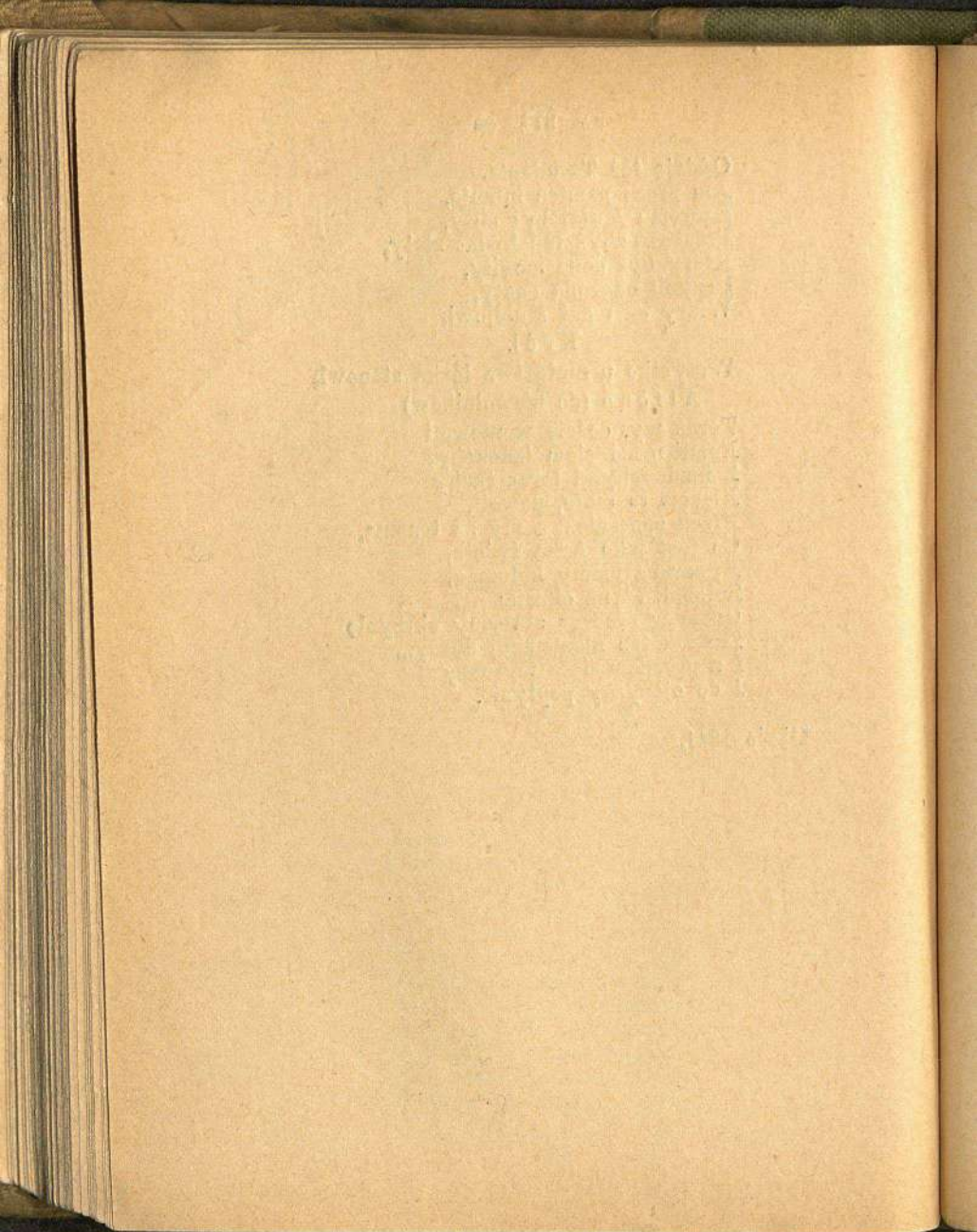
K r ó l.

Wszystko u mnie twa łaska stanowi.

Alfons (do niewolników)

Teraz wy, coście w niewoli
Nosili z księciem łańcuchy,
Z niańczynymi teraz ruchy
Nieście to ciało, powoli,
Niech spocznie... a my za trumną,
Co jest jako Arka święta,
Rycerską idźmy kolumną,
Żałobni, aż na okręta;
Gdzie w srebrną złożymy skrzynię
Zewłok ten niezłomnej duszy...
I z prochem flota wyruszy
I do ojczyzny popłynie.

Około 1841.



PISMA RÓŻNE PROZA.

THE NEW YORK

PRELIMINARYA

PEREGRYNACYI DO ZIEMI ŚWIĘTEJ

J. O. Księcia Radziwiłła Sierotki.

(Fragment).

.....a nikt nie wyszedł na spotkanie moje, gdy wjechał kałamaszką na dziedziniec, oprócz ślepego zórawia, który się przechodził jako szyldwach przed ganikiem — także trafna suka gończa księciu ulubiona zaskowytała i rozciągnęła się przedemną. Po takiej akcepcyi w zamku zrozumiałem, że sam książę musi znajdować się, jak zwykle, u księży Bernardynów w klasztorze na rekolekcyach; — udałem się więc prosto do oficyny, gdzie mieszkał marszałek domu J. O. księcia, i byłem od niego przyjęty jak najlepiej. Wysłał zaraz do J. O. księcia pana, który był, jak się już domyśliłem, w klasztorze, z oznajmieniem, że przybył — a potem zaprowadził mnie do komnat niewieścich, gdzie zastałem żonę i córki w. marszałka i stół nakryty do wieczerzy. Dowiedziawszy się, że przyjechał, zaczęli się schodzić na powitanie z całego zamku dworscy panowie, i ścisnąć mnie i całować. Byli pomiędzy nimi pan Haraburda, pisarz ziemski nowogrodzki, wielki przyjaciel księcia i klient Radziwiłłowskiego domu, — pan Kos, miernicz czy dóbr J. O. księcia, — pan Harmider, przełożony nad puszkarnią księcia i artylerją prywatną domową, której było puszek dwanaście, człowiek wysokiego wzrostu

i mówiący głośno, co było jakby w zgodzie z jego nazwiskiem; malej nauki, ale pocziwego serca, i mocno przywiązany do domu karmazynowego księcia, który mienić być dla swoich puszek niedobyłą fortecą. Przybył także pan Drzymała, szlachcie rodem, który na dworze księcia bawił bez urzędu, ale był lubiony, albowiem dostarczał zabawy z siebie, mimo wielką obraźliwość charakteru, i dosyć poważną dla wielkiej otyłości postawę, mający więcej nauki, niż pan Harmider, ale (nie wiem, jak się to dzieje) daleko mniej zdrowego rozsądku, a jak powszechnie mówią, pozbawiony quintum sensum; a może też dla wielkiej zarozumiałości, jaką miał o sobie, ludzkim żartom będący na celu. Przez dziwne albowiem zaślepienie nie tylko swój rozum miał za bardzo ornatum wiadomościami, ale i figurę swoją, gdyby powiedział, co myśli, przyrównałby Apollinowej — a to z każdego ruchu tak było znać po nim, że się za pięknego ma człowieka, iż wiadomo to było ledwie nie kuchcikom dworskim i cyganom, którzy uczyli tańczyć niedźwiedzie, a mówili często, że go do akademii swojej mieć chcą i uczyć darmo, dla krotochwili i sławy własnej. Już więc zaraz przy wieczery zaczął się wdzięczyć, jak miesiąc czerwony — do panny Anny, córki w. marszałka, nie tak niby zakochany, jak ją w sobie zakochaną być sądząc, co nie było do podobieństwa — albowiem panna ta, z bogatym posagiem, i z mlecznem obliczem mogła wybierać między młodzieżą sutą i nawet karmazynową, a nie miałyby oczu, gdyby na takiego kupidyna postrzały była przystępna. Był pan rachmistrz J. O. księcia Skorubski, niegdyś professor u księży Jezuitów, gdzie uczył arytmetyki — człowiek suchy i śledziennik, jakich mało — dobry jednak w gruncie i przyjaciel wytrwały, a w uczciwości niezachwiany, jak sam tego doświadczyłem po sobie. Melancholią jego przypisywałem chorobie i temu, że był nieżonaty — a że mu ciężkie było samotne życie, widać to było i z jednego przysłowia, jakiego używał przy piciu (wodę tylko pijał). Zawsze albowiem zwyczaj miał przeżegnać ręką szklanke — a przeżegnawszy ją, mówił ponuro i z westchnieniem: „Bóg mój! wszystko moje! oprócz —“. Był to człowiek wysokiego wzrostu,

głos miał jakby jęczący i grobowy, a zwyczaj przechadzać się po komnatach, jak cień, wielkim i głucho tętniącym krokiem. Opisuję tu osoby wspomniane, albowiem towarzyszyli wszyscy, składając świętę i dwór J. O. księcia w podróży do Ziemi świętej, i miałem z nimi nieraz do czynienia. Pan marszałek sam był jakby konterfekt księcia pana, albo naśladował go w ubiorze i w pićciu, z tyłą tylko różnicą, ile między panem a podwładnym przyjacielem być powinno.

Już więc zaraz przy wieczery dowiedziałem się, że podróż odbyta ma być z wszelką wspaniałością i powagą, jaka przystoi domowi J. O. księcia; że w przejeździe odebrać mamy błogosławieństwo Ojca świętego w Rzymie, a potem ambarkować się w którym z portów włoskich, na weneckiej lub neapolitańskiej nawie; dalszy kierunek podróży zależeć miał od wiatrów i woli samego księcia pana, a jam także myślał, że i od mojej porady nieco zależeć będzie.

Po wieczery przybył zaraz posłaniec od J. O. księcia, który dowiedziawszy się, żem przyjechał, kazał mi tegoż wieczora stawić się w klasztorze księży Bernardynów. Zastałem J. O. księcia w wielkiej tureckiej oponie, w celi księdza gwardyana, przy kominie; albowiem chłód aprylowy i grube mury klasztorne, aurą zimową przesiąkłe, czyniły ogień potrzebą. Ujrzawszy mnie, zawołał: „Witaj, panie Michale!”

Uniżyłem się do kolan J. O. księcia, a on, podniósłszy mnie z ziemi, ucałował w oba policzki i pytał o żonę i dzieci moje uprzejmie, a rozpytawszy się o wszystko, rzekł: „Panie kochanku“ (było to przysłowie, które po ojcu swoim J. O. książę odziedziczył i zapewne je w domu swoim zostawił do późnych wieków w puściźnie z mnogimi dobrami, jakie posiadał) „panie kochanku, cóż myślisz o mojej peregrynacji?“ — „Jeszcze nie zaczęta, J. O. książę“, odpowiedziałem, „a ja się lękam, aby to wszystko nie było snem i wizją, albowiem Jazon, kiedy się po złote runo wybierał, to nie miał tyle baranów, co J. O. książę, więc miał po co jeździć, a świętej pamięci Godfryd z Bullionu...“ — „W moim domu robią bulion z niedźwiedzi“, przerwał książę, „a kto się go napije, to jak lew. Patrz, pan Ar-

mider, co tuczony bulionem z niedźwiedzi, czy nie straszny? Ja myślę, panie kochanku, pobić Turków i wziąć Jerozolimę, abym tam wypędził Żydów z Polski, — mój Josiel arendarz jedzie ze mną i weźmie dolinę Józefata w arende, i będzie płacił koszerne. — Że mój pradziad z królem Stefanem węgierskim nie poszedł na krucyatę, to też masz — wnuk jego biedny sierotka musi iść na goły łeb z Turkami — inaczej dyabli wezmą ród jego. — To nie są sny. Najświętsza Panna mi się pokazała trzy razy — a zawsze mi powtarza to samo, aż mnie uszy bola, panie kochanku — jak nie posłucham, to będzie źle — a jednak jeszcze poradzę się Najświętszej Panny Począjowskiej, bo mówią, że w koroniaszach serce na języku, to mnie ich Najświętsza Panna nie szuka. — „Ale J. O. książę”, rzekłem, „musisz mieć inne jakie ważniejsze powody, które go skłaniają ku tej peregrynacji.” — „Ja? panie kochanku, żadnych nie mam powodów... tylko, że mnie świerzbi gdzieś, to chcę użyć przejażdżki — chcę zobaczyć, czy wielu durniów na świecie. Bo że Jerozolima w ręku Turków, to, jak mówi ksiądz Ryłło Jezuita, nawet dobrze, a wiesz dla czego?” — „A dla czego J. O. książę?” — „Bo, panie kochanku, gdyby chrześcijanie katolicy grzeszyli w ziemi, gdzie Chrystus Pan poniósł mękę na krzyżu, toby się Bóg gniewał — a że Turcy grzesza, to się nie gniewa... exemplum panie kochanku... jak pies podejmie nogę czwartą w pańskim pokoju, to się pan wojewoda nie obrazi — lecz gdyby człowiek jaki, choćby kolliгат, popełnił taką niegrzeczność, tobym ja mu sam kazał wylizać podłogę. Czy rozumiesz parabolę, panie kochanku? Turcy to psyl!” — „Ksiądz Ryłło ma racya, J. O. książę, ma słuszną racya.” — „Ksiądz Ryłło nie wie, co gada, a ja wolę księdza gwardyana, co tu ze mną pił przez godzinę, choć ma reumatyzm. Ksiądz Ryłło, kiedyś mu pokazywał Najświętszą Pannę na księżycu, to Jej nie spostrzegł; ślepy mój zóraw widział Najświętszą Pannę na księżycu i nie zadał mi kłamstwa przed ludźmi. Ksiądz Ryłło ma przysłowie: wolno wierzyć, wolno nie, a to gorsze dla moich uszu, niż kiedy Skorubski mówi: Bóg mój, wszystko moje, oprócz —, a i to także kłamstwo, bo Nieśwież nie jego, ale Radziwiłłów.” — „To też właśnie, książę panie —

Skorubski mówi: oprócz Nieświeża.“ — „Może to być, panie kochanku, — więc pan Skorubski ma racya, a nie ksiądz Ryłło. A tymczasem gotuj się w drogę i zrób testament — a furmanów moich ucz geografii, aby mnie zawieźli do Rzymu, bo ja zwykle, jak w powozie, to śpię i nic nie widzę.—Gadałbym z tobą dłużej, ale mi ksiądz Ryłło zadał pokutę—a już późno. Jeżeli chcesz odprawić rekolekcyą w klasztorze, to powiedz księżom, niech ci dadzą celę i dyscyplinę — a jeżeli nie chcesz, to ruszaj stąd prędko, bo cię dyabli porwa, jak się przestaniez trzymać mego pasa.“

Na te słowa, uściskawszy nogi J. O. księcia, wyniosłem się z klasztoru i wróciłem do zamku, gdzie mi pan marszałek wyznaczył pokój i dał klucze od biblioteki; tak więc zamiast rekolekcyi sposobilem się do podróży, wszelako nie pewny jeszcze, czyli chęć peregrynacyi w J. O. księciu potrwa, i przywiedziona będzie do skutku.

.....przez cały wielki tydzień, poszcząc i susząc, pokrzepiałem się jedynie, lykając pył książek, które w księgarni J. O. księcia, że były długo nieczytane, prochem i kurzawą leżały okryte. W Sobotę wielką, gdy pan Harmider z działami i puszkarzami wyruszył na rezurekcyą, udałem się także do Nieświeża, abym przytoimny był letycyi i allelujom. Rezurekcyą odbyła się, jak należy, — książę pan z przyjaciółmi swoimi, J. P. Abrahamem Duninem, podczaszym litewskim, klęczeli w pierwszej ławce karmazynami wybitej i w procesyi niesli baldakin nad celebrantem, a dziedziniec obszerne przed kościołem wysłany makatami i liściami ajeru, wydawał się, jak łąka kwiecista. Skoro więc we drzwiach kościoła ukazał się celebrant ze złotą monstrancyą i mający nad głową karmazynowy baldakin, którego kije złociste niesione były przez J. O. księcia samego, a drugi przez wojewodę linicza, pana na Mirze (który z księciem panem zrobił był układ na przeżycie, jako bezdzietny), dano ognia z dwunastu dział, a dzwonnicy na wieżach wystrzelili z moździerzy, a całe pospólstwo strzelało z kluczów, z dubeltówek, z krucic, i był huk

taki, że zwałił się pułap w domie pewnego mieszczanina który potem rozpoczął o to proces z klasztorem, a te pretensye J. O. książę aż po powrocie z Ziemi świętej zapokoił. Było mu bowiem na sumieniu, iż armatami swoimi mieszczański dom zburzył tempore pacis, — a z drugiej strony upodobanie mając w harmatach, cieszył się z wielkiego, jaki zrobiły, efektu; tak zaś był dumny z posiadania największych dział w prywatnej majętności, iż obraził wiecznie J. W. wojewodę trockiego Zabę, a to w taki sposób: będąc raz w Trokach w zamku J. W. wojewody na obiedzie, tenże wojewoda, chcąc od księcia komplement odebrać, że miał sześć armat u swego dworu, kazał puszkarzom zatoczyć je pod same okna sali, gdzie książę Sierotka jadł obiad, i dać razem ognia ze wszystkich, gdy J. O. gość kielich będzie niósł do gęby, co też się i stało; lecz książę pan, pomiarkowawszy, o co rzecz idzie, nie pokazał żadnego po sobie zdziwienia, ani respektu. Zniecierpliwiony tem pan Zaba, nie mogąc już dłużej wytrzymać, zawołał: „A to z dział strzelają, Mości książę!“ — „Z dział?“ odezwiał się niedbale książę pan, „myślałem, że z krócierek.“

Po skończonej rezurekcyi, gdy już było około północy, a my wszyscy zebraliśmy się około księcia pana, skończywszy pacierze, obrócił się do nas i mówiąc: Chrystos woskres, całował się ze wszystkimi, po czem zawołał: „Mości panowie, Bernardyni tańcowali na chórze z radości i pogubili trepki,—pokażmy im, że i w radości trzeba zachować pewną prezencyą i powagę — proszę za mną do bramy, na litanie.“

Mówiąc to, piechotą udał się przez całe miasto do jednej z bram, gdzie był obraz Matki Boskiej. Brama była wązka i ciemna jak spelunka, a jedna tylko lampa wisiała przed obrazem; tam na gołych kamieniach klęknął J. O. książę z aksamitną czapką pod pachą, a my wszyscy klękneliśmy rzędem; wtenczas małe pacholę sierota, którego książę chował przy sobie i bardzo lubił dla tego, że mu on młodzieniec grał na lutni i pięknie śpiewał, wystąpiło w białem ubraniu i klękawszy przed J. O. księciem, twarzą do Matki Boskiej, zaintonowało głosem prawie słowiczym, w którym coś niby płakania było i radości:

*Regina coeli laetare alleluja,
Quia quem meruisti portare alleluja,
Resurrexit sicut dixit alleluja.*

Książę pan porwał dziecko i ucałował, a zarzucał wszy wylotów i pogłaskawszy wusa, zaintonował bernardyńskim głosem litanią. Lecz owoż w połowie śpiewu, kiedysmy w najlepsze beczeli turris eburnea, zrobił się od wejścia bramy łoskot wielki, i pomimo że była pełna nas klęczących, wjechał wóz, ciągnięty przez dwa niedźwiedzie, które szły na łapach a kijami się podpierały jak ludzie, na wozie zaś była wielka kufa srebrnymi obręczami obita, i na niej woźnica z czerwonymi rogami i z ogonem. Zrozumiałem to zaraz, że to być musi z księcia wiedzą i wolą uczyniona krotochwila. Już więc wszyscy powstałiśmy, aby nas wóz nie utracił, a książę pan sam jeden klęczał, mając prawie niedźwiedzie na karku, co widząc jeden z dworzan przyskoczył do księcia i wziął go pod ramiona, ciągnąc na stronę, a książę go w pysk: „Czemu mi acan przerywasz?” — Potem przetarłszy oczy, jak ze snu: „A to co?” zawołał, pokazawszy na wóz i niedźwiedzie. — Na to dyabeł siedzący na beczce odpowiedział: „Puszczaj, Mości książę, to Najświętsza Panna przysła beczkę wody ze stopki począjowskiej Ojcom Bernardynom za to, że pięknie śpiewali na rezurekcyi—bo jeżeli nie popłócą gardel wodą, to pomrą i nie skosztują jutro kiełbasy.” — „Łzesz!” krzyknął pan Sierotka, „to dyabli przysyłają księżom beczkę dyweldreku—chcę klasztor struć ale ja nie pozwolę na to, jakem Sierotka; — gdyby to był prezent od Najświętszej Panny, toby tu w dyszlu były konie Chrystusowe, a nie moje niedźwiedzie.” — „A kiedy tu w Litwie nie ma Chrystusowych koni!” — „Są!” krzyknął książę, „jeśli Najświętsza Panna poszuka osłów, to znajdzie, bo są w Litwie! — nieprawdaż panie kochanku?” dodał obracając się do Dunina, „wszak każdy biskup nowo sakrowany winien pierwszej niedzieli wjechać do kościoła na osle;—a ksiądz biskup wileński, że nie znalazł takiego zwierza, to się markocił, a ja mu poradziłem, aby wsiadł na swego synowca; i tak zrobił. Jakem biedny sierotka, Najświętsza Panna nigdy nie jeździła na niedźwiedziu.” — „Mości książę,” odezwał się

Dunin „musiała kiedyś jeździć na niedźwiedzin— a skądżeby się wziął herb z Szantyrów.“ — „Milcz Waćpan — a to widzisz, że to beczka moja z herbami— więc to kradziona rzecz— et confiscatur.“ — Tu wmieszał się ksiądz gwardyan, który po odbytej procesyi, rozebrawszy się z ornatów, w trop przybył za księciem panem, a zadyuszany jeszcze, trafiwszy na dysputę względem beczki, odezwał się: „Mości książę! już ta beczka nam destynowana, więc czy dyabia, czy nie dyabła — niechaj rusza do klasztoru, a my ją wyexorcyzujemy.“ — „I wypijemy...“ dodał książę!— Gwardyan kiwnął głową na znak, że potwierdza, a książę: „To niech dyabeł tu rzuci beczkę, — a sam jedzie po klasztor, bo jakim sierotka, że łatwiej przejść wielbłądowi przez uszko igielne, niż tej beczce przez bramę Najświętszej Panny Niepokalanego Poczęcia.“

Jeszcze nieco trwała dysputa między ojcem gwardyanem, który adwokatował niby za prawami klasztoru, a księciem, który beczkę zatrzymać chciał; nareszcie skończyło się na tem, że ją odszpuntowano, a dyabli nowi nadeszli z tacą pełną kielichów, które między nami rozdane były — a po napełnieniu onych uklękliśmy wszyscy i kończyliśmy litanią z kielichami w rękę — i twarze mając obrócone do nieba, jakby w ekstazie świętej.

Skończyła się litania i zaczęła się pijatyka, a książę pan porożysiał ludzi na wszystkie trakty i gościńce, aby przejeżdżających łowili i gwałtem do bramy przyprowadzali. Zbierało się coraz więcej takowych więźni, a już ich brama objąć nie mogła, aż wreszcie różowa Aurora wejrzała w bramę, gdzie wszyscy byliśmy jak ona rumiani i weseli,—a z wronami, które się już budziły, ruszyliśmy do zamku, mając już na wozie nie beczkę, ale księcia pana tryumfatora.

W zamku dopiero czekał nas aspekt niespodziany. Skoro bowiem otworzono drzwi od pierwszej sali, zaleciało nas powietrze i aura przesiękła zapachem Święconego, które urządził kucharz pierwszy J. O. księcia, Włoch Loga ku krotochwili i zabawie; w pierwszej bowiem sali stały trzy pasztety olbrzymiego kształtu, które ujrzawszy książę zawołał: „Mości panowie, do ata-

ku! — co wymówiwszy zdjął z pierwszego pasztetu czapkę — i wyleciało z niego wielkie mnóstwo żywych kurapatw, jemieluch, gołębi, jarząbków, ortolanów, które potłukiszy okna, powylatywały na dziedziniec — gdzie jeszcze był długi ogon szlachty, cisnącej się za księciem panem, a ci, że wielu było uzbrojonych w fuzye, zaczęli owo ptactwo strzelać w lot, tak, że czasami wlatywał szrot do sali i spadał gradem od pułapu odbity na nasze łysiny, — lecz że okna były wysokie, żadnemu to z nas nie szkodziło. — Tu książe przyzwał kucharza do sali i zaczął go mocno strofować za to, że nie dopieklł zwierzyny: — kucharz się tłómaczył po włosku, a że mi ten język nie był obcym, zrozumiałem, co mówił, i byłem wielce ciekawy, co się w drugich pasztetach okaże. Albowiem pytany kucharz, co się znajdowało w wielkiej piramidzie stojącej na prawo, odrzekł księciu panu, iż upiekl w niej całego Laokonta z węzami, — a gdy to wytłómaczyłem szlachcie, a znajdowało się wielu, którzy znali historią Eneasza przez Wirgiliusza rymem uwiecznioną, wszyscy wyglądali owego Laokonta w zadziwieniu. Wtem J. O. książe, wzięwszy ze ścian buławę żelazną nabitą gwoździemi, dał tak po piramidzie, że aż się rozleciała — i ujrzelśmy siedzącego na ruinach pasztetu karła, w cielistym ubiorze, który był cały skrepowany kielbasami, jakby ów Laokont właśnie pasujący się z gady Minerwy. — „A i ten żyje!“ krzyknął z gniewem książe. — Na to kucharz Loga niby zawstydzony, odezwał się: „Decoctus erat, sed resurrexit.“ — „Może to być“, rzekł pan Sierotka, „a w trzecim pasztecie co?“ — Na to kucharz odpowiedział po włosku, iż była tam Andromeda przykuta do skały łańcuchami, a smokowi oddana na pożarcie — jakoż i po rozbiciu trzeciego pasztetu znaleźliśmy karlicę księcia, tak nazwaną Dyane, która święconymi salcesony przywiązana była za ręce do pasztetu, a przed nią leżał ogromny szczupak, mający zamiast własnej głowę dzika, z paszczką otworzoną, która bez wątpienia karlicy owej mogła być grobem. J. O. książe udawał gniew — a my wszyscy dziwiliśmy się tym pięknym inwencyom Włocha, które, niby oszukując nas, w zawieszeniu trzymały ranny apetyt. Tu wystąpił ks. Ryflo, Jezuita, już nie

udając gniewu, ale prawdziwie rozsierdzony, i rzekł: „Nie godzi się, książę panie, z tworów boskich czynić takie igraszkil — oto ja, nie wiedząc, co było w tych pasztetach, poświęciłem je, więc i te stworzenia poświęcone zostały, jako rzeczy na jadło przeznaczone, a teraz mam skrupuł i grzech na sumieniu.“ — „Ja to sam wymyślił“, rzekł książę, „więc będę pokutował w Jeruzalem, a te karły wczoraj spowiadały się i jadły komunikańta, więc woda święta nie spadła na dyabła; a żałuję teraz, że zamiast tych trzech pasztetów nie kazałem zrobić jednego i nie wsadzić weń Drzymalę — bo nie bywa na nabożeństwie, toby choć raz napił się święconej wody — możeby schudł; — ale to rzecz nie stracona — bo go znajdziemy w holenderskim serze w drugim pokoju. Wlaź sam na prośbę panny Anny marszałkówniej, w której się kocha“. — Pan Drzymala, który stał przy mnie, zaczerwieniał od gniewu, ale nic powiedzieć nie śmiał, aby uczty nie stracił, więc tylko mruczał pod nosem.

Nie mając co zrobić w pierwszej owej sali, gdzie już tylko smok i owe salcesony, którymi były skrepowane karły, mogły być ku pożywieniu, weszliśmy za księciem panem do sali drugiej, gdzie już czekały na nas niewiasty i małżonki owych panów, którzy byli do księcia na święcone sproszeni. — Książę oddał głęboki pokłon i zaczął wszystkie w ręce całować, co trwało długo, ile że połączone było z komplementami; po czem, kazawszy sobie podać jaje, obchodził wszystkich książę pan i każdemu podając jaje, składał życzenia pełne affektu — a nareszcie i piastunce swojej, która w kącie stojąc, płakała z rozczulenia, podał talerz i pocałował w chude ręce staruszkę, która go wzięła za głowę i uściśnęła jak dziecko swoje.

„Babko“, rzekł J. O. książę, „na przyszłe święcone twój piastun będzie gdzieś na morzach, jak na huśtawce, a ty mi tu rób co roku święcone i czekaj — i z kucią mnie czekaj co rok, aż zejdą gwiazdy — bo może ja powrócę głodny, zjadłszy w tłusty czwartek Drzymalę — a odbywszy cały post Skorubskim, co ma skórę jak stokfiśz. Lecz powrócę, jeżeli mnie samego nie zje pan Harmider z wielkim Turkiem, albo jeżeli mnie pan Durnin na śmierć nie zagryzie złą konduita, albo jeżeli mi

pan Jezus nie każe zostać królem w Jerozolimie na złość księdzu Ryłto, co mnie ma za dyabła gorszego od Zygwulskiego starosty.“ — Staruszka zajęczała i wyszła z pokoju — a ksiązę pan, sam nieco rozczulony, rzekł do nas: „M. panowie, może to ostatnie święcone, które będę pożywał z wami — a że inni moi krewni bambizami, a mój brat Grzegorz ad cardinalatum strychuje, to może już nigdy więcej Radziwiłłowskiego święconego nie zobaczycie; ale niech to was, miłościwi panowie, nie pozabawia apetytu... proszę się rozgościć.“

Obróciłismy wtenczas oczy na święcone, a było na co patrzeć, albowiem i tu pod prezydencyą księcia kucharz wszystko tak urządził, że nie tylko apetytowi, ale i myśli było przyjemnem. W sali tej albowiem wśród mnóstwa drzew, z miodu lipcowego była sadzawka, z wyspą zielonym owsem pokrytą, na której się pasł święty baranek z chorągwią, mający oczy z dwóch karbunkulów ze skarbcu J. O. księcia wyjętych, które błyszczą niezmiernie. Na tego baranka godziło czterech dzików okropnej wielkości, upieczonych całkowicie, a dwańście jeleni ze złożonymi rogami w różnych pozyturach wyskakiwało z lasu, który był z drzew pomarańczowych, różnymi konfektami obrodzony. Gdy tu same mięsniwa, w przyległej komnacie były ciasta i napoje niemniej misternie ułożone. Nie lasy tam, ale baby podobne skałom, nosiły na głowach z migdałowych murów grody i fortece; coś nawet podobnego Jerozolimie było, albowiem wśród cukrowych domów ukryte ananasy koronami szaremi naśladowały palmowe drzewa, a w bramach zaś figurki cukrowe w szmelcowanych pancerzach izkrzyżami czerwonymi na piersiach, jako Jerozolimscy rycerze za czasów Godfreda, stali na straży. — A jam pożałował, że nie miałem przy sobie małego Michasia, abym mu te wszystkie jasełka pokazał i wytłómaczył, boby w pamięci dziecka przynajmniej zostały, nim ruinie uległa.

Nie będę tu opisywał mnogości różnej konwi, rostruchanów, czar złotych i srebrnych i kryształowych, i win różnych i miodów, i małmazyów, które się tam obficie znajdowały — a żem się i tak nadto długo nad

opisaniem rzeczy tych zastanowił, to może dlatego, iż nieraz później w pustyniach głód cierpiąc, wspomniało się na owo święcone z jakimś żalem i z chciwością nieprzystojną filozofowi.

Książę pan, który konceptom swoim nigdy nie uciął ogona, przystąpiwszy z nożem do ogromnego sera holenderskiego, rozciął go na poły i zapytał: „A gdzie pan Drzymała?... Panno Anno,” dodał, obracając się do panny marszałkówny, „myślałem, że twój wiezień tu — chciałem uwolnić.“ — „Pan Drzymała jest w serze,” zawołał pan Dunin, „ale ja mu włożyłem kamień do kieszeni, co sprawia, że jest niewidzialny — więc teraz może już z utworzonego sera wyszedł i stoi między nami, a my go nie widzimy.“ — Książę pan mrugnął na nas, a myśmy zrozumieli, o co rzecz idzie, ile że pan Dunin pierwaj już szepnął niektórym na ucho, co mają czynić. Więc ci nawet, co najbliżej stali pana Drzymały, udawali, że go nie widzą, pytając jedni drugich: „Gdzie jest wielmożny Drzymała? gdzie pan regent Drzymała? gdzie poważny pan szlachcic Drzymała, nasz wielki przyjaciel?“ — „Ja tu jestem!“ odezwał się jak z beczki sam Drzymała — „a panom wolne żarty.“ — „Panie!“ odezwał się pan Sierotka — „słyszemy twój głos — ale wacpana ani śladu — wyjm kamień z kieszeni, panie, bo strzelę na wiatr z fuzji w stronę, gdzie stychać ciebie po zapachu sera holenderskiego. Zamknąć podwoje, bo gotów nam figla spletać i wynieść się niezreżony. Panie Drzymała, prosimy na miłość Boga, ni zrób z siebie fantazma. W Imię Ojca i Syna i Ducha — panie Drzymała, pokaż się!“ — „Panie Drzymała, pokaż się!“ krzyknęła szlachta, patrząc na pana Drzymałę, który stał wtenczas wszystkim na widoku, gdyby rak ugotowany na farfurce, albowiem i twarz i żupan miał z karmazynu.

„Mości podczaszcy,” rzekł J. O. książę do Dunina, „więc przepraszam wasci, że ci wczoraj uchybił, mówiąc: żesz, kiedyś mi waść o tym kamieniu bajdurzył, — a teraz widzę, że to prawda. Lecz mam do ciebie, panie kochanku, anse, żeś twego kamienia na pana Drzymałę spróbował, bo ja na niego lubił patrzeć — on piękny człowiek — i panna Anna będzie się smucić, że go nie

widzi. Już to się ja nie lękam, aby nas pan Drzymała okradł, bo to człowiek uczeiwy. Ale panna Anna dla niewidzialności jego terazniejszej może szwankować, — a w statucie litewskim nie ma jeszcze artykułu „*si quis incarnatione invisibilis factus, pater sit.*” — Tu w. pan Dunin widząc, że książę pan żart zadaleko posuwa, ile że sam w. marszałek, ojciec panny Anny, marszczył się na wspomnienie samo dyshonoru, jaki córka jego ponieśćby mogła, odezwał się: „Mości książę, mnie się zdaje, że pana Drzymały wcale tu nie ma, bom ja go sam zostawił w bramie Najświętszej Panny we śnie głębokim pogrążonego — a tu sobie tylko zrobiłem żart i krotoczwile, mówiąc, że jest między nami.” — „A kiedy tak — rzekł książę pan — to mi lżej na sumieniu; — niech się wyspi pan Drzymała — a nie mówcie mu o tem, co się stało, bo by się gniewał — to człowiek obraźliwy.”

Na znak księcia pana szlachta się znów wzięła do półmisków i kielichów, czyniąc tak, jak gdyby pana Drzymały w istocie nie było. Nieraz więc dostawał w łeb kielichem albo farfurką, albo też łokciem w bok, a zawsze się usuwał, lecz nie nie mówiąc; był bowiem obżarty i przez wzgląd na żołądek wiele przebaczał. Znalazł nareszcie wolne miejsce przy stole, i usadowiwszy się, złożył na farfurce mnóstwo wielkie zwierzyny, kielich węgrzynem napełnił, a niedbając więcej na żarty, w zupełnej spokojności dary boskie pożywał.

Po jakimś czasie książę pan pokazując digito na farfurkę pana Drzymały, zawołał niby z przestrachem: „Książę Ryłto, weź waćpan stulę i kropidło i poświęć stół — bo tu dyabli siedzą i łykają święcone. Ja nie widziałem nigdy, aby jaki człowiek tak jadł, jak ta farfurka; — więc to musi być dyabeł, którego Chrystus Pan wpędził w świnie nad Genezaretańskim morzem. — Wszelki duch Boga chwalił — panie kochanku, ta farfura wychodzi sama od stołu.”

I w istocie pan Drzymała zniecierpliwiony wynosił się za drzwi, niosąc talerz z pieczywem przed sobą; — ale książę pan, który nieraz i po pijanemu korki u trzewika niewiastom strzelał, chwyciwszy za sztuciec nabity kulą, przymierzył się i przy drzwiach już będą-

— 125 —

cemu panu Drzymale talerz z ręki kulą wytrzasnął. — Nieszczęśliwy pan regent zmieszał się niepospolicie i osłupiał — lecz nie mogąc już znieść dłużej owych afrontów, ze łzami w oczach, obróciwszy się do towarzysztwa, rzekł: „Mości panowie, w przytomności waszej uskarżam się na w. pana podczaszego Dunina, że z człowieka cichego i urodzonego szlachcica taki żart czyni: — domagam się więc satysfakcyi.“ — Na to pan Dunin: „Cieniu człowieka, głosie niewidzialny, jeżeli, jak się spodziewam, masz brzuch ludzki i łeb okrągły i ciało człowieka, bić się z tobą będę, choć miałbym przyjąć na ów los nieszczęśliwego Ajaxa, co mając na oczach chmurę, przez zagniewane bogi rozciągniętą, zamiast rycerzy bydło i owce porabiał; choćby ten pojedynek równie smutną jak Sofoklesa urodził tragedya. Dobądź więc szerpentyńy i objaw głosem, gdzie jesteś — a jeżeli mam pójść do Erebu, upraszam tu J. O. księcia, aby na intencyą moją tysiąc czterdzieści cztery msze zakupił, ile że od zaczarowanego człowieka poleć mam nie po katolicku.“

Przychodziło już do bitwy, gdy książd Ryłło, wystąpiwszy naprzód, rzekł poważnie: „Książę panie, wybierasz się na wędrowkę do grobu świętego — a dopuszczasz tu, aby dla żartu krew się lała; — ani to na twoją uczoność przystoi, mości Duninie, żartować tak z tego grzesznika, który się nie spowiadał i nie komunikował w dni boskiego umęczenia, a teraz brzuchowi swemu dogadza i gniewowi ugłę popuścić tak, że się na azard żywota naraża...“ — „Milec, klecho! — krzyknął książę — to nie wielki post, abyś tu nam kazał, jak z ambony, — a że pójdą na szerpentyńy, to nie żaden grzech; — gorzej zrobił pan Samuel Zborowski, co Włocha Candiana, namazanego miodem, oponował niedźwiedziowi rozjuszonemu, a sam na pojedynek nie wyszedł. — Za to by nie był wpuszczony do nieba, tylko że głowę świętą wrzucił pierwej, a sam wszedł niby szukając swego czerepa, z czego się Najświętsza Panna zabawiła i pozwoliła mu zostać — a może też i dla tego, że to był męczennik szlacheckiej sprawy, i zagryziony był przez wilecze zęby królewskie, za którą to rzeczą ja sam będę u Chrystusowego grobu patronował, aby znów

Zborowskiemu głowę in excelsis nosić pozwolił na karku, a nie pod pachą, jak niemiecki kapelusz. Panie Dunin, włóż aspan szablę do pochwy, i ty, panie Drzymała, nie gniewaj się; — a pojedynku nie trzeba, bo i tak mało szlachty — a jak mniej będzie, to więcej pójdzie pod miecz katowski na głowie pana Samuela zaprawiony — a póki nas wiele i zgodnych, to i sam pan Zamojski ogląda się, czy ma głowę. A wiecie wy, że konsylium jego było, abym ja jechał do Ziemi świętej przez Turcyą — i sam król Stefan ofiarował mi glejt turecki od Sultana; — ba, ale ja nie głupi, panie kochanku, a nie chcę tego honoru, aby za mną pan Jan Kochanowski stawał, jak za Podłódowskim, co był w Turczach zarzezany. Chybaby mi pan Drzymała swego kamienia pożyczył, tobym się odważył jeść obiad z samym Sultanem; lecz pan Drzymała nigdy nikomu tyńfa nie pożyczył, więc o kamieniu ani gadać. Trzymaj, panie Drzymała, coś znalazł, bo skarb znalazłeś — a ja ci zazdroszczę. Ale że ty piękny i przystojny, więc tobie ten kamień więcej szkodzi, niż pomaga: — więc może go się pozbędziesz i zamieniasz się ze mną na ten sygnet.“ (Tu książę zdjął z palca wielki sygnet, brylantami osadzony, z szafirem pośrodku i dał go wyciągającemu ręce Drzymale). „Kupuję ci kamień twój; — nie biore go teraz, bo nie chcę zniknąć z przed oczu J. W. panów, którzy przytomnością swoją mój dom zaszczycają, ale żem twój kamień kupił, to go złożysz w skarbcu moim.“ — „Jeżeli J. O. książę — rzekł udo-bruchany Drzymała — będziesz tak kupował te niewidzialne kamienie, to i skarbiec J. O. księcia stanie się niewidzialnym.“ —

Na tem skończyła się krotochwila z panem Drzymałą, który jednakże panu Duninowi sera nie przebaczył — jak tego w dalszej podróży dał tysięczne dowody.

Opisawszy te krotochwile, nie będę się dłużej rozciągał nad uroczystościami zamkowymi, ale przystąpię do rzeczy, mających bliższy związek z podróżą naszą i t. d.

(Z poznańskiego Tygodnika Literackiego,
tom III i IV).

TRZY POEMATY JULIUSZA SŁOWACKIEGO,
Bajki i poezye Antoniego Goreckiego
I POEMAT O PIEKLE DANTYSZKA.

Poezya w dzisiejszych złych czasach okazuje dziwną wytrwałość: coraz liczba czytelników się umniejsza, a w stosunku odwrotnym idzie ilość utworów poetycznych. Jak się ten spór zakończy? obojętność czytelników będzie li zlamana nareszcie? życzymy tego bardzo.

Wprawdzie trzeba wyznać, że my publiczność, my lud czytający, mamy ważne powody oziębłości ku żyjącej poezyi. I mamy słuszną w naszej niechęci; a to nie dla tego, żeśmy ludem, ostatnim sędzią pomiędzy poetą a nami; nie — lepszy niesiemy dowód na faktach i przyrodzeniu człowieka oparty. Pokolenie, które upływa i do którego należym, szuka poezyi wszędzie; i krwawo pracuje, stawia się w tysiącznych położeniach, nagina smak swój tysiąckrotnie, byle uczuć, pojąć w pełni — wszystko, co świeci w historycznym przestworzu, na drodze mlecznej Poezyi, gdzie pierwszymi gwiazdami początek Księgi Rodzaju i hymn dziękczynny z Księgi Wyjścia, o ostatnie Giau, Korsarz, Manfred, wyblęśły już nad porankiem dni naszych. Czemużby ludzie, co z trudem po obcych i dalekich niwach szukają kwiata i woni dla swego uwielbienia, nie mieli pić próżniaczko rozlanej u nóg ich rozkoszy? po co pracowicie i uczenie wkładać ucho do cudzoziemskich, cudzowiekowych tonów, kiedy można z niechęci i serdecznie pieścić je nutą narodową?

Widać zatem, że większa przestrzeń dzieli nas od

dzisiejszej jak od dawnej poezyi. Widać, że nam łatwiej wmieścić się w szyki Hebreów, przechodzących morze Czerwone, zasiać u stołu Agamemnona, przy węzłowiu Dydony słuchać opisu zburzenia Troi, pojąć myśl i dźwięk pół stoickiej, pół epikurejskiej pieśni Horacyusza, zwiedzać z Dantem idealny świat katolicyzmu i rzeczowy świat średnich wieków jednym pochodem, czuć zazdrość i honor sercem szlachcica z Kalderona komedyi; łatwiej to wszystko, niżeli cokolwiek rozeznaczyć, zrozumieć, uczuć w światach dzisiejszej poezyi.

Jak się to dzieje, że co zaszcze lub przymierzećle widniejszem jest przecie dla oka, niżli co nowe, z pośród nas wystrzelone? Oto że tamto są wszystko rzeczy; z ułamków ich nawet możnaby odgadnąć całość, jak Cuvier z kawałków kości odgadywał układ przedpotopowych stworzeń, a z zupełnych utworów odbudować świat ówczesny; taka tam logika od owocu do ziemi i czasu, co go wydały. Jeśli zimni słuchamy poezyi dzisiejszej, to że w ogóle jest ona fałszem, albo co gorsza osobistem prezentowaniem się poety w udanych postaciach i ze śmiesznymi uroszczeniami. — Może zresztą ta maskarada charakterów maluje dobrze nas i naszą epokę i choć niewabna, będzie pod tym względem historycznie ciekawą dla przyszłych pokoleń; my przecież, jeśli już podlegamy powszechnej ułomności, to przynajmniej chcę dać dowód dobrego smaku, wołając, niżli samych siebie, patrzeć z Homerem, Dantem, Kalderonem na ludzi ubiegłych czasów.

Niech nikt nie sądzi, że to złe, co mówimy o dzisiejszej poezyi, jest koniecznym wstępem do zdania, jakie mamy otworzyć o poezyach P. P. Słowackiego, Goreckiego i Dantyszka.

Jest to jednak parę artykułów naszej wiary krytycznej, usposabiających do pobłażania.

Trudno być różnym od swego czasu. Wreszcie bajki i poezye Antoniego Goreckiego wychodzą z pod surowej nagany. rzucanej na nowoczesną poezją, naturą swoją i skromnością swych żądań. Plody nie od dziś polubionego przez naród pisarza noszą zawsze swe mile cechy: czystość mowy, prostota opowiadania, złośliwa dobroduszość myśli znamionuje nie jedną jego bajkę. —

Kto pomni dawne, których się cała Polska na pamięć uczyła, temu poradzim, niech czyta nowe; są tu piękniejsze jeszcze od dawniej znanych. Podobne utwory nie mają nic do czynienia z kłótniami szkół i trudnościami czasów! żyją dłużej niż szkoły i tyle co czas, gdy im da życie talent tak pewny jak P. Goreckiego, bo pojedyncze spostrzeżenie, trafne, delikatne, jak może być zrobione w każdej epoce, tak i podobać się w każdym usposobieniu.

Ala naprzykład, bez poprzednich ogólnych uwag o dziwnym rozbracie poezyi ze społecznością niepodobna by nam było wytłómaczyć, z jakiej przyczyny pieśni Juliusza Słowackiego są dotąd prawie bez echa w narodzie. Nie znam poety, coby miał równy talent wykonania. I musi być wielka niezgoda w ogólnem pojmowaniu poezyi między Polską a p. Słowackim, kiedy mimo uroczej świetności formy, nie przyjął się lepiej na jej gruncie. Przecież Polska mało dotąd miała pisarzy, mało stylów w poezyi; i jak dziecko łakoma jest zewnętrznego polysku.

Trzy nowe poematy Pana Słowackiego świadczą już o uznanej piękności stylu, a na usposobienie narodowe ku utworom poety nie tyle wpłyną, ile mybyśmy życzyli.—Pierwszy poemat: „Ojciec zadżumionych w El-Arish“ (El-Arisz) jest ustępem żywym i zajmującym wprawdzie, ale tylko ustępem; a co do pomysłu jestto przerysowanie owego znowu ustępu, który P. Słowacki na pamięć umie:

*La bocca sollevò dal fiero pasto
Et peccator, etc. etc.*

Jednakże „Ojciec zadżumionych“ jest najlepszym ze trzech poematów. Drugi, pod napisem: „W Szwajcaryi, należy do tej osobowej poezyi, która, gdy nie jest wyrazem typu czasowego, skreślonym ręką geniusza, albo też źródłem jakichś nowych lirycznych natchnień, zajmuje zwykle więcej samego pisarza niż czytelników.

Ostatni poemat „Wacław“ w mniemaniu autora nawet potrzebował usprawiedliwienia: ładnie pisany, jak wszystko co pisze pan Słowacki, nie tłómaczy jednak

poety ani z zaufania, że się pokusił robić dalszy ciąg Maryi Malczewskiego, ani szczególnie z braku artystowskiego uczucia, że chciał zdzierać tę czarowną zasłonę, którą Malczewski zarzucił w końcu na główne osoby swego poematu.

Poemat „O Piekło” nie nosi nazwiska autora; ostrożność bardzo na miejscu. Nie wiemy, kto się dopuścił tego cudaactwa: czy jaki człowiek talentu napisał to na żart dla wypróbowania publiczności, czy też ktoś w dobrej wierze popadł w błąd taki. W pierwszym razie ostrzegamy, że nie łatwo nas złapać; jeśli zaś nasz autor jest dobrą duszą, radzimy mu, aby tytułów, jakie mieć może do pocziwości, nie wymieniał na tytuł śmiesznego poety.

Z. K.

KILKA SŁÓW ODPOWIEDZI

na artykuł pana Z. K.

O POEZYACH JULIUSZA SŁOWACKIEGO.

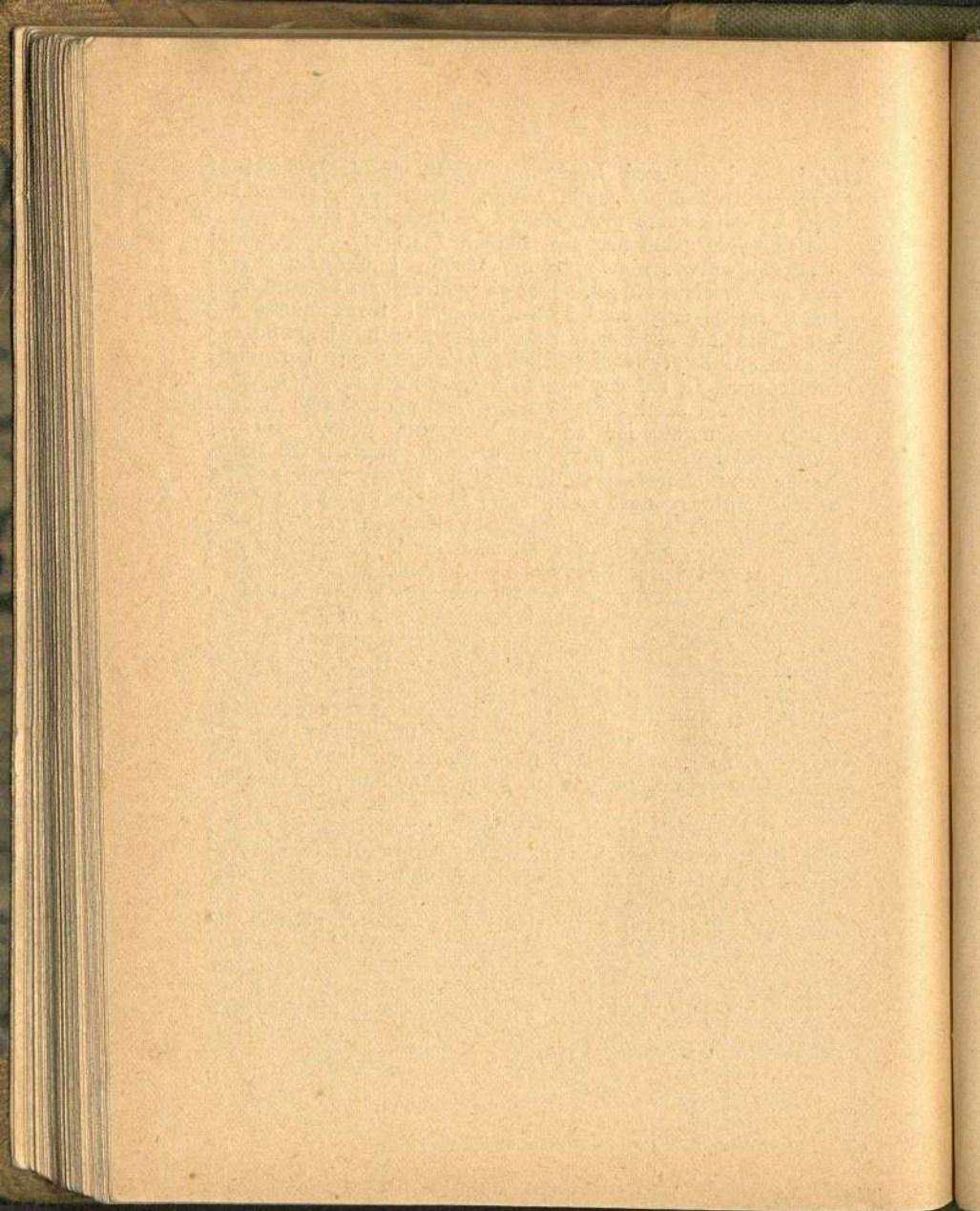
Wolę prosto w piśmie „Młoda Polska“ na artykuł pana Z. K. o poematach moich odpowiedzieć, niż odpowiedź tę zostawiać do zapelnienia kart wstępnych jakiego przyszłego dzieła, jeżeli mi na nowe prace Bóg — dosyć życia, a publiczność zniechęcająca — dosyć cierpliwości i zapasu zostawi. Ostatni krytyk trzech poematów dotknął najgłębszej struny sumienia mego zapytaniem: dla czego pomimo wytworności kształtów poezye moje tak mało mają odgłosu w Polsce. Jest to dla poety *to be or not to be*, nad którem ja jak Hamlet rozmyślam..., a którego rozwiązanie Bóg zapewne grobowi mojemu zostawi. Tymczasem kwestyi tej pan Z. K. długim wstępem swoim do krytyki trzech poematów, i krótką krytyką trzech poematów nie rozwiązał..., wiemy bowiem tylko ze wstępu, że pan Z. K., a z nim Polska, lubi czytać Biblię..., Dantę i Manfreda..., a nie lubi moich poematów. Już to zbliżenie moich poezyj do wielkich mistrzów jest dosyć pochlebne dla mnie, chociaż w celu zniechęcenia mnie zrobione, ażebym się za nie mógł szczerze gniewać. Powiem tu tylko, jak miłość własna autorska broni mię, ilekroć mię ta oziebłość polska do rozpacz przywodzi..., powiem panu Z. K., jakie przyczyny pozbawiły mię dotąd i na długo zapewne, a może na zawsze odgłosu w Polsce pozbawia.

Pierwsze tomy poezyj moich są bez duszy. Imaginacya moja młoda, jak motyl wabiona była polyskiem,

słońcem, kształtami, kiedym je pisał. Teatralny koturn włożyłem na stopy moje, abym, dziecicciem jeszcze będąc, wzrostu sobie przymnożył. Pokazałem się więc po raz pierwszy jako artysta ludziom, którzy bynajmniej o artystowstwie nie myśleli..., ważną i okropną tragedją raczywista zajęci. Pierwszymi dwoma toмами zgubiłem się na cały czas życia mego, i teraz muszę bez echa śpiewać, choć śpiewam inaczej, albowiem Polska nie ma ani krytyków silnych, którzyby ją o zmianie lutni ostrzegli, ani czytelników dosyć szybko sądzących, którzyby się sami z pierwszego sadu otrząsnąć mogli, i z czystą uwagą iść za nową pieśnią poety. Do tej pierwszej i głównej przyczyny niech pan Z. K. doda trochę wyrachowanej obojętności ze strony tych poetów naszych, którzy dość mają lekko zrobionej sławy, a wszelako stoją jak Koklesy na moście literatury, aby skoczyć w wodę, obroniwszy od nowych tryumfatorów polską poezją tych poetów, którzy podobnie do ministrów politycznych, zawiązawszy się niegdyś razem w opozycją przeciwko Osińskiemu i Koźmianowi, osiągnęli berło i dziś są równie przeciwko nowym autorom partya Osińskich i Koźmianów. Niech pan Z. K. doda wpływ takich artykułów na polską publiczność, jakim jest jego ostatni artykuł, gdzie „Ojca zadżumionych“ chce zrobić naśladowaniem Ugolina, tak właśnie, jak gdyby kto powiedział, że grupa Nioby, tracącej dzieci, jest naśladowaniem posagu Laokoona z dwoma synami, zjedzonego przez węże.

Cożkolwiek bądź, sumienie mi powiada, że przez ośm lat pracowałem bez żadnej zachęty dla tego narodu, w którym epidemiczną jest chorobą uwielbienie, epidemiczną chorobą oziębłość, i pracowałem jedynie dla tego, aby literaturę naszą, ile jest w mojej mocy, silniejszą uczynić. Przez ośm lat każdą chwilę życia mego wyrывałem roztargnieniom, osobistemu staraniu o szczęście, abym ją temu jedynie poświęcił celowi..., a jeżeli go nie osiągnął, to dla tego, że mi Bóg dał więcej woli, niż zdolności.

Juliusz S.



PISMA POŚMIERTNE.

POEZYE LIRYCZNE I ULOTNE.

CZEŚĆ PIERWSZA.

DUMA UKRAINSKA (1).

Czemuś smutny, Ruńko młody?
Słyniesz z wdzięków i z urody,
Szybko biega koń twój wrony,
I w pierścienie włos trefiony,
Bystre, czarne twoje oko
W sercach dziewic tkwi głęboko...

Jesteś paziem wojewody,
Lecz nie ciężka twa niewola;
Na stepowe lecisz pola,
Tam wyścigasz wiatr w zawody,
Lub w przyjaciół wiernych gronie
Śpiewasz, brzdąkasz na bardonie...

(1) Powyższa Duma, następujące po niej cztery sonety, jako też zamieszczony dalej poemat Szanfary — są to pierwsze próby poetyckie Juliusza Słowackiego. Były pisane w r. 1826, 1827 i 1828, kiedy autor miał lat 17, 18 i 19. Lubo nie dorównują wartości późniejszych plodów poety, zdawało mi się jednak, że powinny znaleźć pomieszczenie w tym zbiorze.

Ruńko! cóż ci smutek nada,
Jakiej w życiu płaczesz straty?
Złe gdy wiosną liść opada,
Złe, gdy młode wiodną kwiaty:
Kozak zrodzon w Ukrainie
Wesołością, męstwem słynie...

Czemuś smutna, o dziewczyno?
Czemuś smutna, Hanka młoda?...
W cichem szczęściu dni twe płyną,
Jak ta czysta Dniepru woda;
Wśród przyjaciół, wśród rodziny
Nie doznałaś trosk przyczyny.

Achl czyliż tylko od burzy
Wiednie kwiatek polnej róży?
Gdy jej rosa nie poleje,
Gdy jej wietrzyk nie obwieje,
Patrz, jak zaraz smutna, blada,
Patrz, jaka blizka skonania:
Listek po listku opada
I do ziemi głowę skłania.

Pod dąbrową na dolinie
Widna zdala chatka biała;
Przy niej Dniepr szumiący płynie.
Nad nią brzoza wybijała.
I księżycą światłość blada
Na samotną chatkę pada:
To się srebrną mgłą zasłoni,
To się kryje za obłoki,
Igra w bystrej Dniepru toni,
Lub wśród cichej lśkni zatoki.

Siedzi Hanka na kamieniu,
Sercem jej przecucie miota,
Lica blade — a w spojrzeniu
Niespokojność i tęsknota.
Znika Ruńko ukochany,
Coraz słabszy tętent dzwoni,
Zniknął — i tylko po błoni

Gęste snują się tumany.
Smutna chwila rozłączenia.
Smutna Hanka młodej dola.
Wzrok jej tylko i westchnienia
Na samotne lecą pola.

Hanko! słońce szczęścia znika
I na niebie i w twej duszy,
Smutek serce twe przenika,
Ach! któż twoje łzy osuszy?
Znikły, znikły szczęścia ślady,
Lecz widać jeszcze nadzieję,
Choć jej promień tak jaśnieje,
Taki drżący — taki blady,
Tak słabo błyszczy dokoła,
Jak nieśmiały blask księżycy,
Co ciemne niebo oświeca,
Lecz go rozjaśnić nie zdoła.

Hanko! Hanko! wstań z kamienia,
Słuchaj — czy to szum tej rzeki?
Czyli mnogich rot tętnienia,
Albo ludu gwar daleki?...
Gęsta mgła okrywa błonie,
Księżyc w krwawym kurzu ginie;
Słuchaj, słuchaj, tam w dolinie
Coraz mocniej chrzęszczą bronie...

Spojrzyj — Hanko nieszczęśliwa!
I spojrzęła — cała zbladła,
Do swej chatki drżąc wpadła,
Ojca, matki z trwogą wzywa. —
Coraz bardziej rośnie wrzawa,
Głośnie „Allah“ grzmi po błoni;
I już dzicz Tatarów krwawa
Leci z wrzaskiem, z rżeniem koni. —
Dzika w sercach ich uciecha,
Przez wyparte lecą wrota
Zewsząd Tatar ogień miota,

Płonie chaty nízka strzecha. —

.

Ledwie błysnął świt na niebie,
Już po stepach, już po błoniach
Leci Ruńko na swym koniu,
Hanko! Hanko! to do ciebie. —
Prędzej od dniewrowej wody
Spiesz wrony koń wesół;
Lecz weselszy kozak młody,
Pogodniejsze Ruńka czoło. —

Czemuż? czemuż tak, kozacko,
Przez parowy dzikie skaczesz?
Wkrótce gorzko ty zapłaczesz,
Już po tobie Hanka płacze. —

Leci kozak — a dokoła
Smutne stepy, puste pole,
Na niem dzikie rosła zioła,
Chwasty, głogi i kłaki.
Wicher bujną trawą miota
I ponuro w stepach szumi...
Bojaźń jakaś i tęsknota
Radość w sercu Ruńka tłumi...

I już słońca blask na niebie
Złoci stepów puste niwy. —
Cóż, czy czeka Hanka ciebie?
Ze tak lecisz niecierpliwy. —
Pędzi, leci pośród błonia,
Włos mu czarny z wiatrem płynie,
Równy, grzmiący tętent konia
Razem z echem zwolna ginie...
Patrzą mogiła i kamienie,
Na mogile krzyż wysoko,
A Ruńko westchnął głęboko —
Powiedz, powiedz, to westchnienie
Czy w tym grobie pozostało
Czy za Hanką uleciało? —

Rzucił kozak szlak stepowy,
Wziął się w prawo na bezdroże,
Między krzaki i parowy,
Gdzie Dniepr więzi ciasne łoże.
Wypreżony w szybkim biegu
Śmiga koń po krętym brzegu,
Po manowcach i w gęstwinie
To się mignie, to znów ginie,
Tak jak płomień z pod ogniska
Ze szkarłatu czapka błyska. —

.

Patrz! już Ruńko na dolinie.
Już z rozpaczy łamie dłonie,
Żadna z oka łza nie płynie,
Chociaż serce we łzach tonie.
Patrz, i czegoż on wygląda
Błędnem okiem po tej błoni?
Czy wzrok jego spocząć żąda?
Czy za zbiegłem szczęściem goni?...

Ruńko! biedny, nieszczęśliwy,
W złej rodziłeś się godzinie;
Jak bluszczy dziki w Ukrainie,
Gdy wśród polnej błysnie niwy,
Bez podpory w stepach ginie:
Lub go słońca skwar wypali,
Lub, gdy wzrośnie, gdy zakwitnie,
To go z trawą kosą wytnie,
Lub z podporą wiatr obali. —
Pobiegł kozak nad brzeg rzeki...
Ponura cichość na błoni...
Cóż to? słysząc jęk daleki!
Ach to bardon w Dniepru toni,
Tłukąc się o skały z brzękiem,
Konającym zabrzmiął jękiem.

.

I już koń powraca wrony
Zadyszany, zapieniony,

Grzywa z wiatrem rozigrana —
Wbiegł pod zamek wojewody. —
Koniu! gdzież to Ruńko młody,
Gdzieś ty podział twego pana? —

Nad brzeg Dniepru lud się zbiega,
Coraz bardziej tłum się mnoży,
Smutny okrzyk się rozlega:
„Zginął! zginął kozak hoży!”

Ruńko burką swą okryty
W ponadbrzeżnym leżał piasku,
A włos czarny, wodą zmyty
W hebanowym lśnił się blasku.
Ruńko! świetniałeś jak zorza,
Byłeś chlubą Zaporozża,
Teraz kopią grób dla ciebie;
Teraz zbladły twoje lica,
Tak jak blednie twarz księżycy,
Gdy spotka słońce na niebie. —

Gdzieżeś płynął, o kozacze,
Z zapienioną Dniepru wodą?...
Czy się złączył z Hanką młodą,
Która gdzieś w Jassyrze płacze?...

.

Tam, gdzie dawniej chatka stała,
Stoi mogiła w dolinie,
Przy niej Dniepr szumiący płynie,
Nad nią brzoza wybijała. —
Gdzie głos Hance ulubiony
Nieraz głuchą budził ciszę,
Teraz brzoza wiatr kołysze,
Posępny jęcząc tony. —
Ani jednej łzy, wspomnienia,
Ani żalu, ni westchnienia,
Cicho — jak w północną chwilę:
Samo niebo smutne, mgliste,
Lejąc krople rosy czyste,
Odświeża darń na mogile. —

Takie tylko łyzy niestety,
Skoro świt zabłyśnie złoty,
Roszą smutny grób sieroty,
Grób kozaka — grób poety.

Włno, 1826. 26 sierpnia.

S O N E T Y.

I.

Ledwo słońce na wschodzie odsłoni swe lica,
Ledwo spojrzę po cichej, samotnej dolinie,
Mgła się mieni w łyzy róży i na kwiaty spłynie,
Chyli się pod perłami róża krasnolica.

Zaledwo w serce moje spojrziała dziewczica,
Ledwom zaczął żyć dla niej i dla niej jedynie,
Szczęście w łyzy się zmieniło, mgła omamień ginie,
Błyszczą gorzkimi łzami załana zrenica.

Luba! szczęścia nie znajdzie, kto w twem sercu skona,
I moich cierpień nigdy wątek się nie skończy;
Bo chociaż lotnem skrzydłem czas przemianie rączy,

Choć nasze dusze przejdą do wieczności łona,
Gdy twoja tak spokojna, moja tak zwichrzona,
W niebie się nawet dusza z duszą nie połączy.

II.

Zwarzyła jesień kwiaty nad brzegiem strumyka,
Wiatr szumiąc zeschłych liści tumanami miota;
Błyszczą dąb koralowy, błyszczą brzoza złota,
A jaskółkę wewnętrzny niepokój przenika.

Już czas lecieć—gdzie? w sercu znajdziesz przewodnika.
Już czas lecieć, wewnętrzna uczy cię tęsknota.
Siedzi smutna nad gniazdem, skrzydełkiem trzepota,
Zrywa się — podleciała — mignęła i znika.

Jaskółka miała wrócić, nim zefir zawionie,
Pod strzechę, której nieraz doznała opieki,
Lecz ją w przelocie morskie pochłonięty tonie.

Lauro, — ja nieszczęśliwy, idąc w kraj daleki,
Myślę, że wrócę kiedyś spocząć na twem łonie...
Próżne marzenia — żegnam, żegnam cię na wieki.

III.

Duszo! śpij duszo moja, coś cierpiała tyle.
Twój Anioł cię opuścił i szczęście się zmienia.
Śpij! ach śpij, duszo moja, dopóki z uspienia
Nieśmiertelny głos Boga nie wyrwie cię mile.

Śpij serce, już dla ciebie znikły szczęścia chwile,
I na cóż się masz budzić na same cierpienia?
Śpij lutni! próżne, próżne twoje smutne brzmienia.
Ja sam zasną niedługo w głębokiej mogile.

Tak wędrowiec grożącej śmierci niedaleki,
Choć już do dna wychylił trucizny napoje,
Jednak długo się męczy, nim zawrze powieki.

Ja, co piłem tak słodkie, zgubne szczęścia zdroje,
Piłem śmierć z rozkosz czary i zasną na wieki!
Lecz nim zasną — ach biedne, biedne serce moje!

IV.

Czyliż kto duszy mojej wrócić szczęście zdoła?
Czyliż kiedy z łez gorzkich oschnie ma żrenica?
Ta, którą tak kochałem, anielska dziewczica
Litością już nie spędzi smutków z mego czoła.

Może kiedyś na łonie innego anioła
Czoło moje rozjaśni szczęścia błyskawica,
Lecz szczęście to nie potrwa! znów ściemnieją lica,
A serce chwil przeszłości z rozpaczą zawoła.

Choć róża raz na wiosnę kwitnie i opada,

Zdarza się, że w jesieni znowu się rozwija,
Lecz wtenczas taka wątła, wysilona, blada.

Tak choć szczęście nie wraca, gdy raz czleka mija,
Czasem przed zgonem uśmiech na licu osiada,
Ale i w tym uśmiechu już się śmierć przebijają.

1827 r. Wilno.

SZANFARY.

Ułamki poematu arabskiego.

I.

Szczęśliwe stepy, ziemia ta szczęśliwa,
Gdzie dniem tak cicho, jak w północnej dobie.
Tu jeśli serce snów mych nie przerywa,
Zdale od ludzi zasypiam jak w grobie;
Tu mnie nie budzą Muezinów wrzaski,
Ani mię wiążą ostre Ramazany.
Spojrzę po stepie — widzę, jak przez piaski
Tak jak po morzu płyną karawany —
Patrzę i w sercu dawna chęć odżywa —
Dawniej z Arabów ściagałem je zbrojne,
Dziś już Szanfary nad grobem spoczywa,
I karawany wędrują spokojnie. —
Nim zajdzie słońce, obaczają zdaleka
Ostre Medyny minaretów szczyty.
Tam na nich rozkosz i zbawienie czeka,
Tam każdy z grzechów zostanie obmyty. —
Lecz Arab prędko temi modły syty
W swoje pustynie i skały ucieka;
Bo tam choć ludzie dążą dla pokuty,
Lica ich zdradne i oddech zatruty.
Tam człowiek nędzny bardziej nikiemniejszy
I czołem prochy meczetów zamiata,
Prosi proroka o rozkosze świata,
Bo wyżej sięgnąć nie śmieją nadzieje.

II.

Ach! któż opisze ten cud niepojęty,
Cud, który nawet u niewiernych słynie:
Możesz być kiedy i widział w Medynie
Grób Mahometa odwieczny i święty?
W tym grobie ciało proroka spoczywa,
A trumna jego, z ciężkiej kuta stali,
W lekkiej powietrza unosząc się fali,
Wśród nieba, ziemi waha się i pływa.
Chcąc w cud ten wierzyć, widzieć go potrzeba;
Ale któż zdoła dojść przyczyny cudu? —
Pewnie, gdy anioł niósł trumnę do nieba,
Modły wiernego wstrzymały ją ludu...
Są w świecie serca, które w młode lata
Straciwszy szczęście w samym życia kwiecie,
Nie mogąc w niebo ulecieć ze świata,
Żyją, a przecież nie żyją na świecie:
Lecz nim śmierć więzy cielesne rozkruszy,
Pomiędzy niebem a ziemią się waga,
Tworzą świat nowy, świat serca i duszy;
W tym świecie żyją, kochają i marzą.

III.

Motyl błyszczący skrzydłami bławatu
Pierwszy dzień, pierwszą godzinę na świecie
Usiadł na łąki najpiękniejszym kwiecie,
Usiadł — i nigdy nie uleciał z kwiatu.
Krótka niestety jego szczęścia chwila,
Zatruty napój pije z kwiatów łona;
Pierwszy raz stałym widziano motyla,
I wiecznie stały, bo na kwiecie kona. —
Ty, co jak motyl nad kwiatów kobiercem
Do jednej przyłgniesz i duszą i sercem,
Strzeż się; bo ona, choć ma lica cudne,
Nie mając duszy (1), ma serce obłudne.

(1) Mahomet kobietom w Alkoranie duszy odm

A okiem swoim tak prędko zabija,
Tak prędko truje ustami z koralu,
Ze życie twoje jak chwila przemija,
A potem wieczność pełna mąk i żalu.
Bo smutne gorzkiej miłości ofiary
Podług proroka nie idą do raju —
Raj tylko dla tych, co bronią swej wiary,
Co życie łożą dla swojego kraju;
A ci, co żyją w istocie bez duszy,
Co ją kochają nad kraj i nad wiarę
I nad proroka, ci za zbrodni karę
Wiecznych Eblisa doświadczą katuszy.

IV.

Patrz, jakie bole z przyrodzenia ręki
Ponosi ślimak w muszli swej zamknięty: 1)
Owocem cierpień, owocem tej męki
Są drogie perły, dla dziewic ponęty.
Skoro im w oczach perła zajaśnieje,
Oddadzą za nią i cnotę i serce,
Byle dogodzić tej dumy iskierce,
Co wiecznie skryta w sercach kobiet tleje. —
Ale są jeszcze, są pereł rodzaje,
Które dziewica zręcznie łudzić umie;
Perły te równie cierpienie wydaje,
I równie dziewic pochlebiają dumie:
Są to łzy, które leje nieszcześliwy,
Gdy sercem w sercu dziewicy utonie,
I tak silnymi związany ogniwy,
Nim zerwie łańcuch, wprzód duszę wyzionie...

V.

W ustawnej burzy nieszczęsny Szanfary
Zasnąć nie może lub zasnąć się boi,

1) Wielu z pisarzy historii naturalnej dowodzi, że
tworzenie się pereł, tak jak innych ciał narosło, jest skut-
kiem choroby, a temsamem cierpienia zawartego w muszli
ślizgowej. (Przym. Aut.)

Bo we śnie straszne snują mu się mary;
Lub gdy się serce chwilę uspokoi,
Wtenczas tej chwili, tak rzadkiej w mem życiu,
Snowi za żadne nie poświęcę skarby:
Bo wtenczas w sercu, jak w niebios odbiciu,
Młodość żywymi maluje się farby;
Gwiazda młodości znów błyszczy nademną —
Niegdyś jej promień w sercu się objawił,
Chwilę oświecił duszę moją ciemną,
Zagaśł i jeszcze ciemniejszą zostawił. —
Widzę ją: — płynie jak postać anioła,
Od słońca skryte musselinem lice,
Lecz z pod zasłony widna białość czoła
I czarnych oczu jasne błyskawice,
A lekki smutek, jak ranna mgła maju,
Długimi rzesy kryje blask jej oka...
Jeszczebym teraz przysięgał na proroka,
Ze Zara była jedną z dziewic raju,
Które wygnane za swe lekkie winy,
Są tak jak obce dla ludzi i świata;
Zmuszone błądzą wśród ziemskiej krainy,
Lecz ich myśl ciągle do nieba ulatą.

VI.

Brylant największy w koronie Mogola
Świetnie jaśnieje, pali się i błyska;
Rzekłbyś, że z łona te płomienie ciska,
Których śmiertelne oko znieść nie zdoła.
Jednak pomimo takiej ognia mocy,
Pomimo tego, że świeci tak jasno,
Gdy słońce zgaśnie, gdy pochodnie zgasną,
I brylant niknie tonąc w cieniach nocy. —
Tysiącnym ogniem oko Zary świeci,
I blaskiem całe oślniło oblicze;
Rzekłbyś, że z serca ten ogień się nieci,
Lecz spojrzysz w serce, a serce zwodnicze;
W łonie piekielne skrywały się jęzde,
I zwodnym blaskiem żrenica się lśniła;
Napróżnom wierzył miłości przysiędzą
Zeby kochała, toby nie zdradziła

Nie! — jam tak często patrzył w Zary lica,
Śledząc najmniejsze jej poruszeń ślady,
Kiedy miłością jaśniała żrenica:
Jabym tam dostrzegł najmniejszy cień zdrady
Nie! szczere były jej słodkie wyrazy,
Serce mówiło jej oka spojrzeniem:
Brylant, co błyszczy tak silnym płomieniem,
Musi być czysty i bez żadnej skazy. —
Potem te ognie zgasły po iskiecce,
Potem zwodnicze zmieniło się serce.

VII.

Kiedy dopieka słońcem skwary letnie,
Ożywa w stepach szarańcza skrzydlata,
Wzbija się w chmurę i migocąc świetnie
W inne, żyźniejsze krainy ulata;
Bo te pustynie i te dzikie skały
Dały jej życie, lecz żywić nie mogą.
Tak i my, nędzą przemożeni sroga,
W oszczepy, w strute uzbrojeni strzały,
Spadliśmy nagle na łąki Iranu;
Zadrżeli Persy, bladą zdjęci trwoga,
W haremach trwożne dziewice zadrzały,
Zadrzał sam dumny władca Ispahanu. —
O jak dla serca, dla ucha był miły
Jek, który wróg mój wydawał przed zgonem!
Arab obfitym ucieszył się płonem,
A Pers zapłakał nad swymi mogiły.

VIII.

Miotany szczęściem, trwogą i nadzieją
Śpieszę do Zary niecierpliwym krokiem.
Czyż te łzy jeszcze w oku jej jaśnieją,
Co przy rozstaniu lały się potokiem?
Ach! usta moje zapytać się boją.
Oto już widzę mą rodzinną ziemię:
Gdzież moja Zara? — „Zara już nie twoja,
Zara niewierna w Sudana haremie.“ —
Czarna ta zbrodnia nie uszła bezkarnie;

Ale ja karząc jakie czułem bole,
I jakie teraz ponoszę męczarnie,
Czytaj je wszystkie, czytaj na mem czołe!
Świadczy ta bladość, co jej lica kryje! —
Więc wiesz już wszystko — już ona nie żyje —
Ostatnia strzała, co była w kołczanie,
Gorzkie dla Zary niosła pożeganie.

IX.

Noc tę pamiętam. — Jak cicho w haremie! —
Czyste łąy nocy leją się na ziemię;
Jak pełna róża, tak w pełni rozwity
Fingari 1) niebios przebiega błękity;
Dusza i oko w zachwyceniu ginie,
Widząc szczyt nieba gwiazdami zasiany.
Tak nieraz błyszcza piaszczyste pustynie,
Gdy na nich luźne staną karawany
I palą ognie: błyskają płomyki.
Ani ich rosa, ani wiatr nie niszczy;
Spojrzyj zdaleka, a cały step dziki
Tak, jako niebo, cały w iskry błyszczy. —
Cicho w haremie; — palmy się kołyszą,
A mgły srebrzyste na ich szczytach wiszą;
Pomiędzy palmy dwie meczetu wieże
Aż pod szczyt nieba sięgają wysoki,
Tak jak modlitwy, jak wiernych pacierze,
Rzucając ziemię, lecą pod obłoki.
Księżyc oświeca złoty szczyt meczetu;
Patrz na tej gwiazdy migające lica:
Widząc ją, sędzi złudzona żrenica,
Że tkwi na ostrym szczycie minaretu. —
Spiewa dla róży słowik zakochany,
Bo zakochany nie zna, co sen cichy;
Tam znów w murawie błyszcza tulipany
I pełne rosy schylając kielichy
Płaczą, bo nazbyt łąami obciążone:
Tak nieraz ciche przy blasku księżyca

1) Księżyc. (Przyp. Aut.)

Łzy długo skryte i długo tajone
Upuszcza z oczu nieszczęsna dziewica.
Nad kwiaty nocnych motylów tysiące,
Nocy spokojnym ucieszone cieniem,
Błyszczą światłości błękitnym płomieniem,
Tak jak po stepach gwiazdy latające.

X.

Tej nocy — rozpacz porywa mię wściekła! —
Te oczy były świadkami jej zdrady,
Świadkami gwiazdy, świadkiem księżyc blade,
I blade duchy Edenu i piekła.
Tam pod palmami Sudan i dziewica,
Oboje w rajskim zachwyceniu toną;
Widzę, jak ogniem palą się ich lica,
Widzę, jak usta łączą się i płoną. —
Cóż to? — czy zbytkiem rozkosz przesyceni
Blednieje Sudan i Zara pobladła,
Głowa jej zlekka na łono opadła,
I lica z wrzających pogasły płomieni?
O nie! ta bladeść jest bladeść śmiertelna,
Jak zemsta moja czarna i straszliwa:
Pocisk zatruty powietrze przeszywa,
Pociskiem siła kieruje piekielna;
W zwodnicze serce swe jady wysączy.
I w chwilę lice od jadu skościło...
Chcąc ich rozłączyć, jam ich silniej złączył,
Dwa serca jedną przeszywając strzałą...
To mię zawiodła ręka moja mściwa...
Obudź się! obudź, Zaro nieszczęśliwa:
Jam chciał Sudana wtrącić w grobu cienie,
A ciebie z ludźmi zostawić dla kary:
Z ludźmi i w piekle jednakie cierpienie,
Piekła na ziemi doświadczył Szanfary.

XI.

Patrz, jak ogniowej podobne kolumnie
W tysiącznych światłach błyszczą minarety;
Lud do meczetów gromadzi się tłumnie,

I brzmią pobożnym odgłosem meczety.
Muezin wstąpił na wieżę wyniosłą,
Allaha święte rozpoczyna pienie;
Naprzód je niebios odbiło sklepienie,
A potem echo na ziemię odniosło,
I dalej drżące, melodyjne śpiewy
Na skrzydłach wiatru po powietrzu płyną,
Brzmią tak jak w palmach zefiru powiewy,
Tak jak westchnienia tłumią się i giną.
Wszakże się jeszcze Bejram nie zaczyna?
Ni Ramazana nocne nabożeństwa? —
Hymn śmierci głoszą usta Muezina,
I na zabójcę młotają przekleństwa,
Próżno przeklina; ja nie żądam raju:
Bo gdy mnie grono hurrysek 1) otoczy,
Lękać się będę nawet w niebios kraju,
Żeby kobiece nie zdradziły oczy.
Nie chcę ja raju, lecz proszę proroka:
Niech da mej duszy taki step bez końca,
Step dziki, pusty, bezbrzeżny dla oka,
I wiecznie wrzający promieniami słońca;
A gdy zapragnę, wśród dzikiego błonia
Na me skinienie niech źródło wyptywa;
Niech mi tam prorok wróci mego konia,
Który gdzieś w piaskach ruchomych spoczywa;
Niech dla rajskiego duszy zachwycenia
Step ten okryją mych wrogów mogiły,
Niech mi się wróca mej młodości siły,
Lecz nie wracają młodości cierpienia!
O takim szczęściu serce moje marzy,
Ach! wtenczas będę zupełnie szczęśliwy;
Niech tylko żaden, żaden człowiek żywy
Tej samotności przerwać się nie waży!

XL.

Patrz, jak te twarde dzikich skał ogromy
Nad fale groźne wysuwają czoła;

1) Piękne dziewczęta, które w raju Turkom usługują
(Przyp. Aut.)

Próżno nad niemi ryczy wiatr i gromy,
Grom ich i fala poruszyć nie zdołał
Każda ta skała złożona z koralu,
A każdy koral pod wody ukryciem
Niedawno jeszcze obdarzony życiem,
Czuł jak najleksze poruszenie fali:
Lecz później wszystkie te cząstki żyjące
Szukając wsparcia przyłgnęły do skały,
Wśród zimnych gładów wiecznie czuciem drżące
Pośród kamieni same skamieniały. —
Tak, kiedy na świat rzucisz szybko okiem,
Ileż serc zimnych oko napotyka:
Ten patrzy na świat obojętnym wzrokiem,
Ten zimnych ludzi jak gadzin unika. —
A jednak każde, każde z tych serc biło
Zadzą wielkości, potęgi i sławy,
Albo z wojennej ochłonawszy wrzawy,
Wrzącym się ogniem miłości paliło.
W przyjaźni stałe, w miłości niezmiennie
Długo cierpiały na tej nieszczęść ziemi,
Ale trafiając na serca kamienne,
Same się wkrótce stały kamiennymi.

XIII.

W haremie zdala wśród cyprysów cieni
Róża samotna innych róż unika:
Nie jest to czuła kochanka słowika,
Co na słowika pienia się rumieni:
Nie płonie ona tak, jak miłość płonie,
Ani niewinność białym znaczy kwiatem,
Lecz tak, jak ogień przy Eblisa tronie
Błyszczy naprzemian złotem i szkarłatem.
Środek tej róży pozbawionej liści
Tak czczy i próżny, jak serce dziewicy.
Wszystko w niem mija lotem błyskawicy:
Choć los najśłodsze życzenia uiści,
Nowe i śmielsze powstaną nadzieje;
Zawsze zajęte nowych marzeń snuciem —
I nigdy serce, co tak słabo tleje,
Jednem się stałem nie napełni czuciem. —

Chociaż ta róża tak świetnie się płoni,
Nikogo do niej nie zwabia jej wdzięki,
Bo każdy pozna, że róża bez woni
Kolce nastawia dla przyjaznej ręki;
Tam nawet czuły słowik od niej stroni
I leci dalej rozwodzić swe jęki. —
To godło serca, co serce zdradziło,
Nad smutną Zary błyszczy się mogiłą.

XIV.

Weź zimną muszlę, którą wody siła
Z ciemnej głębinie na brzeg morza miota.
Chociaż już dawno nie żyje istota,
Która w jej łonie mieszkała i żyła,
Choć nie kamienna muszla nie ukrywa,
A jednak, słuchaj, coś w jej łonie szumi;
Szum się ten wiecznie dla ucha odrywa,
Zadna go siła nie zniszczy, nie stłumi; —
Tak jako w gwarze zmieszane wyrazy,
Tak brzmi coś wiecznie wśród tej muszli łona,
I chyba wtenczas głos ten wewnętrzny skona,
Gdy samą muszlę rozbijesz o głazy. —
Patrz, jak to serce skrzepłe, lodowate,
Które już płakać i cierpieć przestało,
Choć już przeżyło wrzących ogniów stratę,
I chociaż wszelkie czucie w niem wyrwało —
Jednak głos jakiś, choć serce z kamienia,
Przedłuża cierpień albo szczęścia wątek.
Ten głos — to smutne wyrzuty sumienia,
Ten głos — to echo przeszłości pamiątek. —
Któż tego głosu skrytości przeniknie?
Stłumić go nie masz rady ni sposobu,
Głos ten nas wiernie prowadzi do grobu
I razem z życiem umiera i niknie

Wilno, 1828 roku, 10 lutego.

ROZŁĄCZENIE.

Rozłączeni — lecz jedno o drugim pamięta:
Pomiędzy nami lata biały gołąb smutku
I nosi ciągle wieści. Wiem, kiedy w ogródku,
Wiem, kiedy płaczesz w cichej komnacie zamknięta,

Wiem, o jakiej godzinie wraca bolu fala.
Wiem, jaka ci rozmowa ludzi łzę wyciska.
Tyś mi widna, jak gwiazda, co się tam zapala
I łzę różową leje i skrå siną błyska,

A choć mi teraz ciebie oczyma nie dostać,
Znając twój dom i drzewa ogrodu i kwiaty,
Wiem, gdzie malować myślą twe oczy i postać,
Między jakimi drzewy szukać białej szaty,

Ale ty próżno będziesz krajobrazy tworzyć,
Osrebrzać je księżycem i promieniem świtem:
Nie wiesz, że trzeba niebo zwalić i położyć
Pod oknami i nazwać jeziora błękitem;

Potem jezioro z niebem dzielić na połowę,
W dzień zasłoną gór jasnych, w nocy skał szafirem;
Nie wiesz, jak włosem deszczu skałom wieńczyć głowę,
Jak je widzieć w księżycu określone kirem.

Nie wiesz, nad jaką górą wschodzi ta perełka,
Którą wybrał dla ciebie za gwiazdeczkę-stróża;
Nie wiesz, że gdzieś daleko aż u gór podnóża,
Za jeziorem, dojrzałem dwa z okien światelka.

Przywykłem do nich, kocham te gwiazdy jeziora,
Ciemne mgłą oddalenia, od gwiazd nieba krwawsze;
Dziś je widzę, widziałem zapalone wczora,
Zawsze mi świecą — smutno i blade — lecz zawsze...

A ty wiecznie zagasłaś nad biednym tułaczem:
Lecz choć się nigdy, nigdzie połączyć nie mamy,
Zamilknijemy na chwilę i znów się wołamy,
Jak dwa smutne słowiki, co się wabią płaczem.

Nad jeziorem Leman, d. 20 lipca 1835 r.

PRZEKLEŃSTWO.

Do **

Przeklęta! Ty wydarłaś ostatnie godziny
Szczęścia mego na ziemi, ty żądłem gadziny
Wygnałaś na samotność. Bądź wiecznie przeklęta! —
Każdy jęk mój zna ciebie, każda łza pamięta!

Bo kiedy nieszczęśliwy zaklinałem ciebie,
Abyś mi dała nieco przyjaźni i ciszy:
Toś ty mi łyż w powszednim podawała chlebie
I jęcząc, z jękiem w sereu mówiłaś: Niech słyszy!

Cierpiałem i uległem. — Dziś samotny jestem: —
Lecz wiedź, że w samotności, okryty żalobą
Oczy błędne obracam za każdym szelestem:
Oczekam — ale nie ciebie, tęsknię — nie za tobą.

.
A nigdy serca mego nie umiała krwawić;
A tak się ze mną duszą i myślami dzieli,
Ze już dziś sami boscy nie wiedzą anieli,
Czy ja dla mnie potępić, czy mnie dla niej zbawić.

A ty! a ty, co lałaś żółciowe gorycze,
Skoro się otwierała serca mego rana,
O gorzej, niż przeklęta — widmo tajemnicze
Złej przeszłości — przeklęta bądź i zapomniana!

STOKRÓTKI.

Miło po listku rwać niepełną stokroć
I rozkochanych słów różaniec cedzić,
Miło przy ludziach było raz powiedzieć,
Ze się kochamy i mówić po stokroć.

Miło zabiłdzieć pod lipowe cienie
Z kwiatkami w rękę — i patrząc ukradkiem,
Wzajemnie mówić obrywany kwiatkiem:
Kochasz!... i pani kochasz mnie szalenie...

Gdy nas różowa poróżniała sprzeczka,
A zgody ciągle zabraniały świadki,
Pamiętasz, luba, jak te białe kwiatki,
Jeden mówił: nie — a drugi: troszeczką.

Dzisiaj samotny, dzisiaj bez nadziei
Błądząc po skałach, wszystkie moje smutki
Zbiegły się razem do białej stokrótki,
Co była siostrą stokrótek w alei.

Rwałem ją: listki leciały w błękiecie
Aż na jezioro ze skały, gdzieś siedział;
I wiesz, co listek ostatni powiedział? —
Luba, że jeszcze kochasz mnie nad życie

Veytoux, d. 21 lipca 1835 r. rano.

CHMURY.

Do was, chmury,
Wzrok ponury
Skra i łzami,
Sam na ziemi
Pod czarnymi
Chmur wiankami.

Jak duch trumny
Smutkiem dumny
Nad szmer domów
Trzymam skronie
Tam — w koronie
Chmur i gromów.

Gdzie wam droga,
Chmury Boga,
Mnie weźmiecie:
Bo ja ciemny,
Mgłą tajemny,
Sam na świecie

Tam, za wami
Gdzie wichrami
Burza kręci, —
Łżą do łzawic,
Do błyskawic
Skra pamięci.

Lecę! błyskam!
Skrami ciskam,
Jutro zmarły;
Patrzcie na mnie,
Żyjcie za mnie,
Ludziel karły!

Tu wam, ludzie,
Na ziem grudzie
Mogił grzędy:
Gdzie chmur droga,
Z wichrem Boga
Mnie tamtędy!

Veytoux, 21 lipca wieczór, 1835 r.

OSTATNIE WSPOMNIENIE DO LAURY.

Dawniej bez serca — dziś bez rozumu —
O biedna Lauro — nim zgine.

Tobie śród głuchych pamiątek szumi
Wianek Ofelii uwinę.
Ty go drżącymi weźmiesz rękoma,
Jak waż ci czoło okreci:
Oto bławatki, ruta i słoma,
A to są kwiaty pamięci.

Burza żywota nad nami mija,
Przeminie, lecz głowę zegniesz:
Śmiech nie pociesza, ból nie zabija,
Pamięć i rozum odbiegnie;
Cicha spokojność nigdy nie wróci,
Zniszczenia wichry nie wionie;
Słońce nie cieszy, księżyc nie smuci,
Cieniami śmierć nie pochłonie...

Za cóż tak zimny nieczucia kamień
Na serce moje się wali?
Ześmy się kiedyś w kraju omamień
Na jednej drodze spotkali?
Ze cie tak długo dźwiękami lutni
Budziłem i do snu kładłem?
A ty smutniejsza, niż ludzie smutni,
Biegłaś za innem widziadłem.

I coraz wyżej w niebo lecąca
Niknęłaś w marzeń lazurze,
I roztopiona w blasku miesiąca
Zwiedła rzuciłaś mi różę.
Nie wiem, czy róża z twojego czoła,
Czy twoją skropiona łezką,
Czy mi jakiego ręką anioła
Rzuciła różę niebieską.

Ciemność twojej duszy, jak dżumy plama
Od ciała przeszła do ciała:
Widzisz jad w sercu? — to i za ta sama,
Którąś ty w serce nalała;
Widzisz, jak zagasł dziecka rumieniec,
Gdzieś ty ustami przebiegła?...

A ten na głowie płonący wieniec
Tyś skrami oczu zażęgła.

Dziś, gdy mi włosy burza roztarga,
Ogniami czoło mam sine,
A jakas dumą drży moja warga,
Ze w tych płomieniach nie ginę.
Lecz gdy do szczęścia świat mię zawoła,
Nie biegnę szczęśliwych śladem;
Przeklinam ciebie ogniami czoła,
Serca przeklinam cię jadem.

Więc niech mię prędko chmury czarnymi
Porywa wicher nicości,
Bo już przekląłem wszystko na ziemi,
Wszystko — z aniołem przeszłości..
Tam, gdzie tłum ludzi huezy, ucieka
I falą powraca ciemną,
Nie mnie nie żegna, nie mnie nie czeka,
Nie za mną, i nie przedemną.

Gdy bracia moi, gdy wędrownicy
Lecieli z szumem po niebie,
Ja nieruchomy, gwiazdą żrenicy
Patrzałem w przeszłość, na ciebie.
Dziewice ziemi nieraz postrzegły
Łzawymi oka błkity,
Ze oczy moje za tobą biegły,
Zem był na sercu zabity.

Okruszykami nikłej miłości
Karmiłem blade widziadła,
Ate łza taka jak łzy przeszłości,
Na żadne serce nie spadała.
Jak oczy moje topią się, mdleją,
Jak myśli rzucają ze dna,
Jak iskry sypią, jak łzami leją,
Ty wiesz! — lecz tylko ty jedna.

A teraz — smutny przeszłości echem,
O krózie, idę za wami,

Choć śmiech wasz dla mnie — szalonych śmiechem,
Lzy wasze — szalonych łzami;
Lecz gdy się znudzę łez zimnych rosą
I zimnych uściskiem prawic,
Duszę mi od was wichry uniosą,
Lecz wichry pełne błyskawic.

Veytoux, d. 30 lipca 1835 r.

R Z Y M.

Nagle mię trącił płacz na pustem błoniu:
„Rzymie! nie jesteś ty już dawnym Rzymem”.
Tak śpiewał pasterz trzód, siedząc na koniu.

Przedemną mroczne błękitnawym dymem
Sznury pałaców pod Apeninami,
Nad nimi kościół ten, co jest olbrzymem.

Za mną był morski brzeg i nad falami
Okrętów tłum, jako łabędzie stado,
Które ogarnął sen pod ruinami.

I zdjął mię wielki płacz, gdy ta gromada
Poranny zachwiał wiatr i pędził dalej,
Jakby girlandę dusz w błękitność biada.

I zdjął mię wielki strach, gdy poznikał
Ci aniołowie fal, a ja zostałem
W pustyni sam, z Rzymem, co już się wali.

I nigdy w życiu takich łez nie lałem,
Jak wtenczas, gdy mnie spytało w pustyni
Słońce, sztydzący bóg, czy Rzym widziałem?...

S U M I E N I E.

Przekląłem — i na wieki rzuciłem ją sama
I wzburzony, nim księżyc zabłysnął wieczorem,

Jużem się od niej długiem rozdzielił jeziorem;
A gdy się toń jeziora księżycową plamą
Osrebrzyła, gdy wichry zawiewały chłodniej,
Jam jeszcze jechał, jeszcze uciekałem od niej.

I możebym zapomniał, bo koń leciał skoro,
Bo mi piosenkę grały tętniące kopyta,
Gdzie ona... oszukana... przekłeta — zabita...
Patrzę na niebo — księżyc — na gwiazdy — jezioro —
Wszak jęk tu nie doleci... wszak łez nie zobaczę,
To jezioro — to fala — to nie ona płacze.

I możebym zapomniał... lecz gdy to spostrzegła
Błąda światłość księżycą — krok za mną biegła
Próżno się zatokami wężowymi kręce,
Wszędy mnie księżycowa kolumna dopadła,
Jakby się ta kobieta do stóp moich kładła
I, niema płaczem, za mną wyciągała rękę.

Rzym, d. 1 maja 1836 r.

HYMN O ZACHODZIE SŁOŃCA NA MORZU.

Smutno mi, Boże! Dla mnie na zachodzie
Rozlałeś tęczę blasków promienistą;
Przedemną gasisz w lazuruwej wodzie
Gwiazdę ognistą.
Choć mi tak niebo Ty złocisz i morze,
Smutno mi, Boże!

Jak puste kłosa z podniesioną głową,
Stoję rozkoszy próżen i dosytu;
Dla obcych ludzi mam twarz jednakową,
Ciszę błękitu.
Ale przed Tobą głębi serca otworzę,
Smutno mi, Boże!

Jako na matki odejście się żali
Mała dziecina, tak ja płaczu blizki,

Patrzac na słońce, co mi rzuca z fali
Ostatnie błyski,
Choć wiem, że jutro błysnie nowe zorze,
Smutno mi, Boże!

Dzisiaj na wielkiem morzu obłąkany,
Sto mil od brzegu i sto mil przed brzegiem
Spotkałem lotne w powietrzu bociany
Długim szeregiem.
Żem je znał kiedyś na polskim ugorze,
Smutno mi, Boże!

Żem często dumał nad mogiłą ludzi,
Żem nie znał prawie rodzinnego domu,
Żem był jak pielgrzym, co się w drodze trudzi
Przy blaskach gromu,
Że nie wiem, gdzie się w mogiłę położyć,
Smutno mi, Boże!

Ty będziesz widział moje białe kości
W straż nieoddane kolumnowym czołom;
Alem jest jako człowiek, co zazdrości
Mogil... popiołom.
Więc, że nieznane gotujesz mi łożo,
Smutno mi, Boże!

Kazano w kraju niewinnej dziecinie
Modlić się za mnie codziennie, a ja przecie
Wiem, że mój okręt nie do kraju płynie,
Płynąc po świecie.
Więc, że modlitwa dziecka nic nie może,
Smutno mi, Boże!

Na tęczę blasków, którą tak ogromnie
Anieli twoi w niebie rozpostarli,
Nowi gdzieś ludzie w sto lat będą po mnie,
Patrzający, marli...
Nim się przed moją nicością ukorzę,
Smutno mi, Boże!

D. 20 paździer. dopływając do Aleksandryi, 1836.

DO TEOFIŁA JANUSZEWSKIEGO.

Gdzie dziś Neapol jasny? Kto zasiadł nasz ganek?
Kto patrzy na rybackich sklepów złoty wianek?
Gdzie koczujące światła w pół okręgu zwite,
Od wiatru żagielkami białymi nakryte,
Jak te, o których prawi gdzieś Szecherazada,
Ptaków z ognistą piersią, z białem skrzydłem stada?
Nad błękitami siedzą. Przy świetle światelko,
Każde ma białe sobie dodane skrzydełko;
Rzekłbyś, że gwiazd znudzonych lazurami plamię
Bóg skrzydłami uzbroidł — i przysłał na ziemię.
Lubiłeś taki widok — ludu ruchy — migi —
Krzyk — życie — otwierane nożami ostrzygi —
Z polipów i gwiazd morskich malownicze wzorki —
Siarcząną wodą z hukiem wystrzelone korki —
Fale ludu, co z sobą po ulicach niesła
Osoby — granem widok płacące i krzesła...
Lubiłeś na to patrzeć, lecz poważnie — z tronu
Drżącego nad falamiorskimi balkonem,
Którym architekt tkanki podrzeźniał pajęcze. —
Ja tymczasem, kolorów przeleciawszy tęczę (1),

(1) *War. I.*

Ujrzałem niebo, które po
. błyskawice letnie
. Czy pamiętasz chwile,
Gdy księżyc, wszedłszy stał po ławy mogile.
Znając ustawicznego drogie wędrownika,
Widzieliśmy, że wyszedł z chaty pustelnika,
A potem siedł po góry czarnej... krańcu
I stanął na kraterze, jak rycerz na szanec.
„ub jak anioł na grobie zmarłego człowieka...
Nim odleci w błękit... zatrzyma się... czeka...
War. II.

Gdzie Wezuwiusz czarniejszem zasępiony licem
Nie lawą, lecz ma srebrnym wybuchnąć księżycem.
Pomnisz, miesiąc, z krateru wynurzony dolów,
Gdy stanął na ponurym kurhanie popiołów
I stamtąd białe czoło obrócił do świata...

Patrzałem na Wezuwiusz, aż po lawy ścianie
Drący się księżyc wejdzie, na kraterze stanie
I stamtąd białe czoło obróci do świata.
Tak zrodzone na grobie dziecko twego brata,
Któremu pierwsza grobu lilia rówieśniczką,
Zamyśloną na ludzi spojrzało twarzyczką
Z cichej ojca mogiły... Gdzie nasz lazurowy
Golf? i ciche przy białym księżycu rozmowy?
Jak się wieniec związanych ludzi prędko kruszy!
Wczoraj widziałem wróble spłoszone na gruszy;
Cała hurma na blizkie uniosła się drzewka
Tak zgodnie, że raz biała skrzydełek podszywka
Ku słońcu, to znów cała chyli się ku roli,
Jak podsrebrzone liście rozchwianej topoli.
Lecz ludzie, piorunową spłoszeni ulewą,
Nigdy (1) razem na blizkie nie usiedą drzewo,
Ale niezgodnym lotem rozchodzą się błędnie.
Ani tam listek róży, gdzie liść lauru więdnie...

Już miesiąc, jak z jednego wyjechawszy grodu,
Ty pod strzechę własnego domu, w cień ogrodu,
Ja w nieznane uciekam krainy południa
Przed ścigającą myślą i mrozami grudnia.
A gdy mi już na opak idą roku pory,
Gdy zima kwiatowymi ubrana kolory
Ani po górach lekkim płatkim śniegu sypie,
Ani w kryształ ubiera brzozy, ani skrzypie
Pod saniami wieśniaka, ani pod stodoły
Zgania wróble, ni smutno zielone jemioli
Różami świegocących osypuje gilów,
W kraju porzniętym wstążką jasną siedmiu Nilów
Mógłbym o spokojnikach zapominać wiejskich,
Pijąc muł Etyopów zamiast wód letejskich.
Lecz ja przeciwnie — wszystkie widziane obrazy
W myśli kładę, jak na wielkie zwierciadło bez skazy,
I chciałbym wam, gdy noc was zimowa zaskoczy,
Tem zwierciadłem Egiptu słońce rzucić w oczy.

Oblakany nasz okręt zawołał o światcie:

— — — — —
(1) War. Nigdy się na pobliżkie nie przeniosą drzewo.

Ziemia! I ziemia wyszła na morza błękieie,
Jak złocistego piasku dzierzgany obrąbek.
Rzekłbyś, że biały siedzi na piaskach gołabek,
Przypatrując się sobie w zwierciadlanej fali...
A to był pałac wielki Mohameda-Ali.
Rzekłbyś, że przed nim resztki wieśniaczego płota
Stereza... to była Ali-Mohameda flota.
Nad tym brzegiem, a z twarzą, jak ją widzę co dnia,
Leżała niesplamiona purpura przedwschodnia;
Na niej stada gwiazdeczek bladego lazuru —
I jedna tylko palma na prawo z marmuru,
Otoczona rojami nieśpiących wiatraków.
W przezroczu nieba stada wędrujące ptaków,
Tak jak je ręka boża w jeden łańcuch sprzeże,
Przedemną w czarne, długie wiązały się węże...
Tak mi się ukazały afrykańskie brzegi
Smutne, obumarłymi południka śniegi
Zasypane, pod nieba sklepionego łuna,
Długą i rozciągniętą położone struna.
Z niej jak z boskiego łuku na niebieskie stropy
Strzał słonecznych wiązane wypadały snopy.
Chciałbym się teraz zbliżyć teleskopu szkiełkiem
Do brzegu — spoić tęczą kolorów i zgiełkiem.
Tu przeszywany złotem, przetkany bławatem
Chce być człowiek bawiącym oczy twoje kwiatem;
Nawet w ubiorach ludu taka rozmaitość,
Że cię wkrótce dusząca opanuje sytość,
I szukasz znużonymi oczyma błękitu,
Lecz próżno! — bo dom szczytem przyrasta do szczytu;
Bo ledwo się oglądniesz, zaraz ciebie horda
Oślarzy za złotego zwachała milorda
I osiołkami drogę zwąchała przegradza —
Chwyta — piastuje — z ziemi podnosi — i sadza
Na szybkołotnym ośle, razów mu nie szczędzi,
Aż biegnąć pod złotego orła cię zapędzi.
Szczęśliwy, kto tak gnany, pod rozsadek ścisły
Oczy podda i wszystkie razem zwiąże zmysły!
Nieszczęsny, kto na boczne bramy się oglądał
Schył głowy!... osioł wleciał pod juki wielbłąda
Patrzysz... nad tobą arka tłómków i skrzyni —
Rozbiłeś się na lądzie — a okret pustyni

Popłynął. — I znów idzie całunem nakryta
Jakaś trumna, szeroka, czarna — to kobieta!
Płaszczami rozszerzona na całą ulicę,
Z oczami błyszczącymi jako dwie gromnice
Przez dwa białe otwory, z jedwabiu szelestem
Biegająca... zda się tobie, że pyta: kto jestem?
W łokciach ufaj, jak ryba pływająca w skrzelach,
Rozpychaj tłum — błękitny ustępuje felach.
Tu pilnująca głową równowagi dzbanka,
Wypreżona przy murach staje Egipcjanka,
Podobna karytydzie w ścianę wmurowanej;
Jej koszula, posłuszna piersi z brązu lanej,
Nad łonem się podnosi i na dół opada,
O każdy kształt jak wodna łamiac się kaskada.
Tu europejski ubiór, wielki równacz stanów,
Dalej żebrzące stado postaci bocianów
Goni za tobą, prośbą grzechocącą klaszcze —
Czarne, wychudłe, w białe obwinięte płaszcze (1).
Ledwoś wyrobił w tłumie ulicowym szczyrby,
Ledwoś dopadł do bramy: — przy bramie, jak herby,
Żywe wielbłądy okiem przerastając kratę,
Wodą w skórzanych workach zamkniętą skrzydlat
Stają ci się przed progiem domowym zagroda,
Odstraszać sączącą się przez skóry wodą

Nim się myślą o wiekach ubiegłych zasepie,
Bawi mię to, co widzę i słyszę na wstępie:
Dziś ludzi, kolorami rozkwiecione klomby —
Jutro ujrzę pomniki — trumny — katakomby —
Wszystko, co pozostało na tym piasku z wieków
Od Egipcjan przez Rzymian podbitych i Greków.
Dosyć już... dziś znużony arabskimi gwary
Siedzę w oknie i będę patrzył na port stary
Wielkiego Aleksandra, gdzie się jeszcze trzyma
Latarnia morska, świecąc puszczyków oczyma

Aleksandrya, 22 października 1836.

(1) War. Czarne piszczele w białe owijając płaszcze.

ODWIEDZINY PIRAMID.

Wyjechałem z Kairu dziś ze słońca wschodem (1).
Mgła biała nad palmowym Kairu ogrodem
Kryła mi złote słońce... i łyzy brylantowe
Zawieszała na palmach; a gmachy różowe
Zorzą mglistą, tysiącem wieżowych promieni
Przesuwając się w tajnej ogrodu zieleni,
Odechodziły gdzieś na wschód. Oślatko me chyże
Leciało, aż się w starym oparłem Kairze,
Łódka stała u brzegu, wsiadłem do niej — płynę.
Za Nilem widać było zieloną równinę;
Po obu stronach domki białe, pełne krasy;
Za domkami dwa wielkie daktylowe lasy,
Między lasami przestwór i na tym przestworze
Trzy piramidy — dalej złote piasków morze
I niebo blade — czyste, jak Ptolomeusza
Krag z krwistała... Na oczach usiadła mi dusza...

Przez Nil cichy prędkimi przepawiony wiosły
Wysiadam... już zbliżone daktyle przerosły
Czoła dumne piramid — zniknęły pomniki
I tylko las błędnymi pocięty promyki,
Wystrzelony pod niebo, koronami szumny (2),
Jak przysionek piramid bogaty w kolumny
Przy ludzkich dziełach ręką zasadzony Boga...
I trzy godziny trwała pełna dumań droga,
I więcej, bo Nil jeszcze nie wrócił do łoża.
Przepływałem jeziora — aż na piasków morza
Wyniosło mię oślatko... Na piaskowym wale
Stały przedemną gmachy błyszczące wspaniale,
Twarzami obrócone do słońca — i do mnie.
Patrzałem na nie — potem na siebie... Jak skromnie
Wyglądałem przy grobach takich! na ościółku,
W pustyni piasku w każdym topiący się dołku.

(1) D. 2 listopada 1836.

(2) War. Drzew wysoko pod niebem koronami szumny.

Bliżej — z pokorą wszystko opisywać muszę —
W dolinie piasku stoja trzy drzewa: dwie grusze,
A we środku spleciona z kilku palma jedna.
Chociaż w piasku, zieloność je kryje nie biedna;
Jak szmaragdy się błyszczą stojące na straży
Przy dolinie piramid. Szczęśliwy, kto marzy
Pod liściem rozłożystem tej szerokiej gruszy,
Gdy lawiną kamieni grobowiec się kruszy
I spada z wielkim hukiem.

Na białym kamieniu

Siadłem strudzony w drzewa szerokiego cieniu;
Myślałem, jak ten wawóz cały piasków przebrnę?
Co czuć będę? i oto... jakieś mrówki srebrne
Pod nogami ujrzałem grzebiące się w piasku.
Wziąłem do rąk stworzenie perłowego blasku
I bawiło mnie małe, jak ziarenko żyta...
A domek ich, jak ślady końskiego kopyta.
Obłożony wałami w budowę półkolną,
Przejrzałem cały — potem puściłem je wolno
Obie do rozbitego sarkofagu żłobu,
I wstawszy szedłem prosto do Cheopsa grobu.
A kiedyś był u piasków przebytych połowy,
Wzniosłem czoło — spojrzałem górą ponad głowy,
I nie mogłem oczyma dolecieć do szczytu
Grobow, co uleciały w krainę błękitu.
A więc oczy ogromem piramid odparte
Spuściłem... W koło były grobowce otwarte,
W których i proch umarłych dawno powymierł.
Stinks czarną Kopta twarzą nad piasek wyzierał.
I straszna była dzikość grobowej doliny.

Wtenczas wypadli słońcem wyschli Beduiny,
Brazowi, w białych płaszczach, jak grobowe sepy,
I porwały mnie czarnych szatanów zastępy
I wiedli z krzykiem w groby od wieków milczące,
Palące pochodnie — blado na słońcu płonące.

Nim doszedłem zaściennej piramid ulicy,
Schyliwszy się podniosłem kamień soczewicy,

Która dawniej karmiła królów (1) robotniki
I stała się pomnikiem pomiędzy pomniki;
Ta sama kształtem, tylko wosku wzięwszy białość,
Dziś — różniąc uczone głowy — skamieniałość
Postrzegłszy, że krainę głazów ruszał senną,
Jakby mi chcieli w piaskach zadać śmierć kamienną,
Araby mnie w grobowcach otoczyli gęsieją,
A każdy trzymał granit ważony na pięci —
Od nowej się napaści obroniłem skoro (2)
Głaz pamiątek kupiwszy za *para* pięcioro.
I szedłem z Arabami w piramidy łonie,
Szukając drzwi — te były na zachodniej stronie.
Przed drzwiami do niskiego podobną pagórka
Piramidę maleńką ma Cheopsa córka.
Stałem — tak pokornie tu się położyła
Przy mogile ojcowskiej dziecięcia mogiła,
Ze ży miałem na oczach...

W piramidy ścianach
Jest otwór, gdzie do grobu wchodzisz na kolanach.
Arab z pochodnią wpełznął i zniknął. Musiałem
Synom stepów się oddać i z duszą i z ciałem.
Dwóch zaprzęgå się do mnie, dłonie wzięli w kleszcze, (3)
Trzeci lał rakiem świecać, a czwarty mnie jeszcze
Popychał — i w ciemnościach mnie gmachu pogrzebli
I śluzkami kominy, bez schodów i szczebli
Wiedli w górę, aż wreszcie mogłem podnieść głowy,
Obaczywszy się żywym w *Komnacie Królów*
I dalej korytarzem trumnianego ula (4)
Pełznąć, obaczyłem się w Sali trupa Króla.
Blask pochodni się lekko po ścianach rozplonił.
Sarkofag próżny — ręką uderzyłem — dzwonił,
Jak rzecz pusta...

(1) *War.* Głazów robotniki.

(2) *War.* Natenczas, chcąc zebrany tłum rozpędzić skoro,

(3) *War.* Dwóch mnie za ręce ręką chwycili kościaną
A raz stopę drugi raz kolano,
Stawiałem w korytarzu, gdzie mi ścianę spodnią
Twarzą do mnie idący Beduin z pochodnią
Oświecał...

(4) *War.* I zuów jak przez korytarz kamiennego ula.

Wyszedłem z granitowej skały
Jak senny, zadziwiony dniem, co świecił biały,
Palm zielonością, piasków oświeceniem złotem,
Westchnąłem z głębi piersi... za niczem... a potem
Obróciwszy się, czarne zapytałem guidy,
Gdzie — którędy się idzie na szczyt piramidy?
Pokazali mi lewy brzeg nierówno zlany
Z ciemnej nie oświeconej promieniami ściany.
Przemierzywszy, jak czynią podróżni roztropni,
Wielkość każdego — mnogość do przebycia stopni,
Wiedząc, jak się grobowce pod nogami (2) kruszą,
Arabom się oddałem ciałem, Bogu duszą.

Z dwóch Beduinów tylko mój orszak się składał,
Każdy na wyższy kamień wskakiwał, przysiadł
I podawał mi ręce... i tak szedłem długo.
Raz mi kamień był stołem, drugi raz framugą.
Trzy a zaledwie z dołu widziane szczelinki
Były jak trzy komnaty, na trzy odpoczynki.
W głowy zawrocie jużem nie pomniał, gdzie idę,
I tak wszedłem na pierwszą w świecie piramidę.

NA SZCZYCIE PIRAMID.

Jak dwaj czarni z białymi skrzydłami anieli
Dwaj Arabi na rogach pomnika stanęli,
Ja na głazie najwyższym... Chciałem zebrać wzrokiem
Cztery ściany spadzistym lecące potokiem
I nie mogłem ogarnąć — bo na to potrzeba
Być słońcem — i na królów groby patrzeć z nieba.
Arabi stali cicho — za nimi zwierciadłem
Był sklep błękitu — w niebo spojrzałem i siadłem,
Patrząc na różnych w koło napisów kobierce.

(2) War. Kamienie pomnikowe.

Cicho — zegarek słyszę idący — i serce...
Czas i życie. — Spojrzałem na błękit rozciągiły,
Świat przybrał kształty Bogiem widziane — był kragły
Zdała Kair... Nil... łaki... daktylowe laski...
Bliżej — pustynia... złotem oświecone piaski...
Bliżej — trzy drzewa, figa, pod nią cienia chłodnik,
A w nim stał mój osiołek i Arab przewodnik.
Patrzac na nich, myślałem o mrówce ze srebra...
Bliżej — dolina piasku, cała w równe żebra
Wichrem zmarszczona — i Slinks, i grobowce białe (1) —
Jemia widoma... wszystko dojrzane, lecz małe...

Inny widok na prawo, inna była scena:
Naprzeciwko Cheopsa stał pomnik Cefrena,
Tak że orzeł po równej krainie błękitu
Mógł płynąć od jednego do drugiego szczytu.
Dwie piramidy wawóz tworzyły głęboki, (2)
A zachodniego słońca czerwone potoki
Jakby falami ognia płynęły tamtędy,
Lejąc się przez grobowców utworzonych rzędy.

Ale większy był jeszcze widok z innej strony:
Pustynia — i ogromny krag słońca czerwony
Chylił się do zachodu...

1 większy był jeszcze
Widok — w myślach — na wieki, lecące jak deszcze
Po granitowych ścianach; na pożarów łuny,
Na ogromnych wypadków bijące pioruny...
Kiedym to wszystko wstawił i w grobie pochował,
Zdało mi się, że Mojżesz krwią Nil zafarbował
I że płynął czerwony wypadków posoka;
A tak myśląc, po głazach obłąkane oko
Padło na jakiś napis — strumień myśli opadł...

- — — — —
- (1) War. Grobów okruszyny białe.
(2) War. Dwie równe — myśli trwożne trzymające w grozie
Tworzyły wawóz gmachów... w głębokim wawozie,
Na ziemi — właśnie słońce patrzyło tamtędy —
Widać było aż w głębi dwa mrówczane rzędy
Czarności nieruchomej... były to poryte
Mosiły, niecałymi kamieniami kryte.

Ktoś dwudziesty dziewiąty przypomniał Listopad,
Polskim językiem groby Egipcyanów znacząc...
Czytałem smutny — człowiek może pisać płacząc.

PIEŚŃ NA NILU.

Nie szumi liść, nie szumi gaj,
Jakie niebo, jaki kraj!
Z cegieł stoją wielkie góry,
A na ceglach leżą chmury.

I jam cierpiać i jam żyć,
Jam w lejejskich wodach pić,
Niś w Nilowe fale mećm
Patrzą oczy moje smętne.

Patrzę smutny, patrzę w dół,
Czy kto serce moje struł,
Że spi teraz jak łabędzie,
Że mu wszystko jedno wszędzie..

Łódko, łódko, dalej nieś!
Tu na brzegu stoi wieś,
Tu gołębi jakby śniegu,
Chmura ptaków, wieś na brzegu.

Dalej, łódko, od tych kras!
Tu palmowy stoi las
I gliniana chata w głębi
Z wiankiem ciernia i gołębi.

A r a b.

O! nie zazdrość szczęścia im,
Patrz, nie idzie z chaty dym.
Nieszczęśliwy los lepianek,
Choć z gołębi mają wianek

Może tam zarazy strup,
Może w chacie leży trup,

Dzieci płaczą przy tapezanie;
Trup nie słyszy i nie wstanie.

Trupa trzeba ziemi dać,
I gołębie będą spać,
Gdy wychodzi trup nędzarza,
Gdy powróci syn z cmentarza.

P o e t a.

Jeśli tak, to łódka tam
Te błękitne fale łam.
Do tej chaty nieś mię, łodził
Wejdę tam, skąd trup wychodzi.

Tam nieś, łódko... tam mi żyć,
Będę jęczeć, będę wyć,
Serce kasać nadaremno
A gołębie spać nademną.

A r a b.

Co zamyślasz? czy ty śnisz?
Gdy uczują ptaki krzyż,
Świty białe, wschodu różę,
Rozlecą się po lazurze.

Allahl wiecher będzie wiał
I przyniesie czworo skał,
I położy grób na grobie
Na gołębiach i na tobie.

P o e t a.

Jeśli tak, ha! jeśli tak,
Niechajż śpi i wiehr i ptaki
Ja nie spoczne w głębi chaty,
Lecz polecę jak skrzydlaty.

Jak od młodych moich lat,
Ja polecę lotem w świat.
Dalej, łodził

Arab.

Nocleg tobie
W Ramazesa starym grobie.

Poeta.

Tam przynajmniej jedną noc
Odzyskam sen, odzyskam moc,
I spać będę z cichą twarzą
Pod gołębi sennych strażą.

Czy daleko stąd ten grób,
Gdzie ja będę spał jak trup
Umęczony?

Arab.

Niedaleko!
Za tą palmą, tam, nad rzeką;
Lecz go teraz kryje mgła.

Mówił tak, a kłódka szła.

Z LISTU DO KSIĘGARZA

(Eustachego Januszkiewicza).

Jeszcze chodzą przed oczyma
Róże, palmy, wieże, gmachy,
Kair, Teby, Tyr, Solima,
Mój Eustachy.

Jeszcze głowa dyabła warta,
Jeszcze morskie czuje strachy,
Wycia hyjen, lwa, lamparta,
Mój Eustachy.

Jeszcze długo spocząć trzeba,
Nim przywyknę widzieć dachy
Zamiast płócien, palm i nieba,
Mój Eustachy.

Lecz ty wyrwiesz mnie z letargu,
Ty pomieszasz róż zapachy
Księgarskiego wonią targu,
Mój Eustachy.

Będę tobie wdzięcznym za to,
Przypomnisz mi kraj i Lachy
Zniechęceniem, troską, stratą,
Mój Eustachy.

Ty napiszesz mi, jak stoja
Poetycznej muzy gachy,
I co piszą i co broją,
Mój Eustachy.

Dla nich rosły świeże laury
I szczekały druku blachy,
Gdym ja gonіл Kofty, Maury,
Mój Eustachy.

Niech śpiewają więc „Te Deum“
Zem rok zgubił, budząc Grachy
I Scypiony w Koliseum,
Mój Eustachy.

Lecz się wnięszam do antyfon,
Na egipskie klę się ptachy,
Na kościoły, gdzie Bóg Tyfon,
Mój Eustachy.

Klę się tobie i na Ator,
Co w Tentyrze ma swe gmachy,
Ze się porwę, jak gladyator,
Mój Eustachy.

D. 9 lipca 1837, w kwarantannie Livorno.

DO ANIELI M.

I.

O tak, zaprawdę, że wybrałaś świetne
Oczy, ażeby je łzami zaproszyć!
O tak, zaprawdę, że chcąc serce skruszyć,
Wybrałaś dzikie, smutne i szlachetne.

Lecz go lzy dotąd nie otruły setne,
Bo serce moje jest losu i Boga,
A wprzód, niż miałyby je zdeptać noga,
Prędzej je zimnem żelazem rozetnę.

I próżno powiesz, bo nikt nie uwierzy,
Abym twój nosił znak u lewej strony:
Bo moje serce jest w płaszczu rycerzy,
Którzy na bieli mają krzyż czerwony;
A nad niem jeszcze jest pancerz stalony,
A ono jeszcze głębiej — w trumnie leżv.

Październik, 1838, Florency.

DO TEJŻE.

II.

Ogniem, żalością wre zamknięte łono;
A kiedy zacznę się na serce dasać,
Chciałbym je wyrwać z swych piersi i skasać
I precz odrzucić tę rzecz tak zhańbioną

Twoją miłością, że ognie, co płoną,
Dotąd nie mogły go uczynić czystem!
A ty myślałaś, że ja z tem ognistym
Sercem — nazwę cię kochanką i żoną?

O! pierwaj piekło, niżby czoło dumne
Na twojem zimnem sercu kiedy spalo!
A niż całować twe usta rozumne
I twoje białe, marmurowe ciało
Owionąć ogniem i żyć z taką skałą,
Jaka ty jesteś, zimna, — lepiej w trumn.

NA SPROWADZENIE ZWŁOK NAPOLEONA.

I wydarto go z ziemi — popiołem,
I wydarto go wierzbie płaczącej,
Gdzie sam leżał — ze sławy aniołem (1),
Gdzie był sam (2) — nie w purpurze błyszczącej,
Ale płaszczem żołnierskim spowity,
A na mieczu (3), jak na krzyżu, rozbity.

Powiedz, jakim znalazłeś go w grobie,
Królewiczu, dowódcu korabli? —
Czy rąk dwoje miał krzyżem na sobie (4),
Czy z rąk jedną miał przez sen na szabli?
A gdyś kamień z mogiły podźwignął,
Czy trup zadrżał? -- powiedz — czy się wzdrygnął?

Bo on wiedział (5), że przyjdzie godzina,
Co mu kamień grobowy rozkruszy:
Ale myślał, że ręka go syna
W tym grobowcu podźwignie i ruszy,
I łańcuchy zeń zrzuci (6) zabójcze
I na ojca trup — zawoła: Ojciec!

Ale przyszli go z grobu wyciągać —
Obce twarze zajrzały do lochu —
I zaczęli prochowi uragać,

(1) *Waryant*. Gdzie był sam — lecz ze sławy aniołem (Ręk.); (2) *War*. Gdzie sam leżał (Młoda Polska); (3) *War*. A na szabli (Ręk.); (4) *War*. Czy swe ręce miał krzyżem na sobie (Ręk.); (5) *War*. Bo on przeczuł (Ręk.), On przeczuwał (Mł. pol.); (6) Zdejmie (Mł. pol.).

I zaczęli nań wołać: „Wstań, prochu!”
Potem wzięli tę resztkę (1) zgnilizny
I spyтали: „Czy chcesz (2) do ojczyzny?” —

Szumcie, szumcie więc, morza lazury,
Gdy wam dadzą nieść trumnę olbrzyma!
Piramidy! wstępujcie na góry
I patrzajecie nań wieków oczyma!
Tam na morzu mew girlanda (3) szara
Jest to flota z popioły Cezara.

.

Prochu! prochu! o leż ty spokojny,
Gdy zagrają (4) trąby wśród odmetu,
Bo nie będzie to hasło do wojny,
Ale hasło pogrzebne (5) lamentu.
Raz ostatni hetmanisz ty roty!
Duch zwycięży — lecz zwycięstwem Golgoty (6).

Ale nigdy, o nigdy, choć w rękę
Miałeś berło, świat i szablę naga,
Nigdy, nigdy nie szedłeś wśród jęku
Z taką straszną królewską (7) powagą,
Z takim strasznym (8) na przyszłość obliczem,
Jak dziś, prochu (9), gdy wracasz tu — niczem

W czerwcu 1840.

DO PASTERECZKI.

siedzącej na druidów kamieniach w Por-
nic nad oceanem.

Jak ty mi jesteś wdzięczna,
Duszecko moja mała.

(1) Trochę (Mł. pol.); (2) Chce (Mł. pol.); (3) Tam! na morzach! mew gromadka (Mł. pol.); (4) Usłyszysz (Mł. pol.); (5) Pacierzy (Mł. pol.); (6) I zwyciężysz zwycięstwem Golgoty

Słoneczna i miesięczna,
Prawie bez krwi i ciała.
Gdyś wysoko siadała
Z główką w zorzy pierścieniach,
Na Druidów kamieniach,
Śród jałowcowych krzaków;
Cwieki twoich chodaków
Błyskały mi na lice
Jako dwa półksiężycy
Czerwoną zorzą ranną;
Ty byłaś mi zarazem
Chłopcuzką i Dyanną,
Zjawieniem i obrazem,
Kochanką i dziecieniem —
Smutkiem i wniebowzięciem...

Włoski twoje jak zboże
Złote i przezroczyście
Wiatr unosił na morze,
A we włoskach ogniste
Ranunkuły z doliny,
Jak maki Ukrainy,
Zdawały się ogniami,
Które tobie do lica
Przypięła upiorzyca
Śpiąca w grobie — pod nami...

Za tobą — szafir mórz
Dzielił kibić na dwoje:
Nad głową — jak zawoje
Jutrzenki pełne róż,
I chwasty w dyamentach
Około ciebie skrzyły,
A ty na monumentach —
Stróżka i duch mogiły,
Z nóżkami na księżycach..

(Mł. pol.). (7) Z tak ogromną, bezśmiertnych (Mł. pol.);
(8) I mocą... i tak dumnem (Mł. pol.); (9) Jak dziś wielki
(Mł. pol.).

W PAMIĘTNIKU ZOFII ***.

Niechaj mię Zośka o wiersze nie prosi,
Bo kiedy Zośka do ojezyny wróci,
To każdy kwiatek powie wiersze Zosi,
Każda jej gwiazdka piosenkę zanuci,
Nim kwiat przekwitnie, nim gwiazdeczka zleci,
Słuchaj — bo to są najlepsi poeci.

Gwiazdy błękitne, kwiateczki czerwone
Będą ci całe poematy składać.
Jabym to samo powiedział, co one,
Bo ja się od nich nauczyłem gadać;
Bo tam, gdzie lkwę srebrne fale płyną,
Byłem ja niegdyś, jak Zośka, dzieciną.

Dzisiaj daleko pojechałem w gości
I dalej mię los nieszcześliwy goni.
Przywieź mi, Zośko, od tych gwiazd światłości,
Przywieź mi, Zośko, z tamtych kwiatów woni
Bo mi zaprawdę odmłodnieć potrzeba.
Wróc mi więc z kraju taką — jakby z nieba.

13 marca 1844, Paryż.

WSPOMNIENIE PANI de St. MARCEL

z domu Chaveaux,

Staruszek moja, o staruszek moja!
Twoje mieszkanie takie wonne toba,
Na murach jego jak z obrazów zbroje,
A każdy obraz był jakąś osobą!
Dziś raz ostatni widząc pożegnałem,
Wszedłszy do domu — bym poszedł za ciałem

Dawno bez męża i bez towarzysza,
Który niedawno ciebie odszedł stary,

Przycichłaś w domu: dziś ta sama cisza
W domu, a w bramie stoją twoje mary.
Gdym wszedł, myślałem: twa szata szeleszcze,
Ogień się palił, zegary szły jeszcze.

Lecz jakaś ciemność, dziwne jakieś mroki
Nad twym kominem, nad twoją kotarą,
Jakby te duże śmiertelne obłoki,
Które zmieniają dzień w godzinę szarą,
A człowiekowi bronią słów i ruchów,
Bo są z poważnych i ze smętnych duchów.

Lat dziewięćdziesiąt ciałoś ty nosiła;
Przez krew — szły twoje panięskie nóżeczki
Przez smutek starość szła twoja pochyła,
A w trumnie leżą już tylko kosteczki.
Wszystko wybrała ze skarbów żywota;
Czemuż po tobie ta wielka tęsknota?

Może dla tego, że gdym twoje ściany
Odwiedzał, dawno światem niezabawne,
To spotykały mnie republikany,
I wielkich imion dawne duchy sławne,
I wszystkie stały z odkrytymi głowy,
Słuchając we mnie grzmiącej polskiej mowy.

Gdym nieraz siedział przy twoim kominie,
A ty myślałaś, że ja sobie drzémie,
Jam na mownicy stał w tym duchów gminie
I brałem sobie między nimi imię —
Od głów zaczynał, aż do sere im sięgał
I znów na wielką ich sprawę przysięgał.

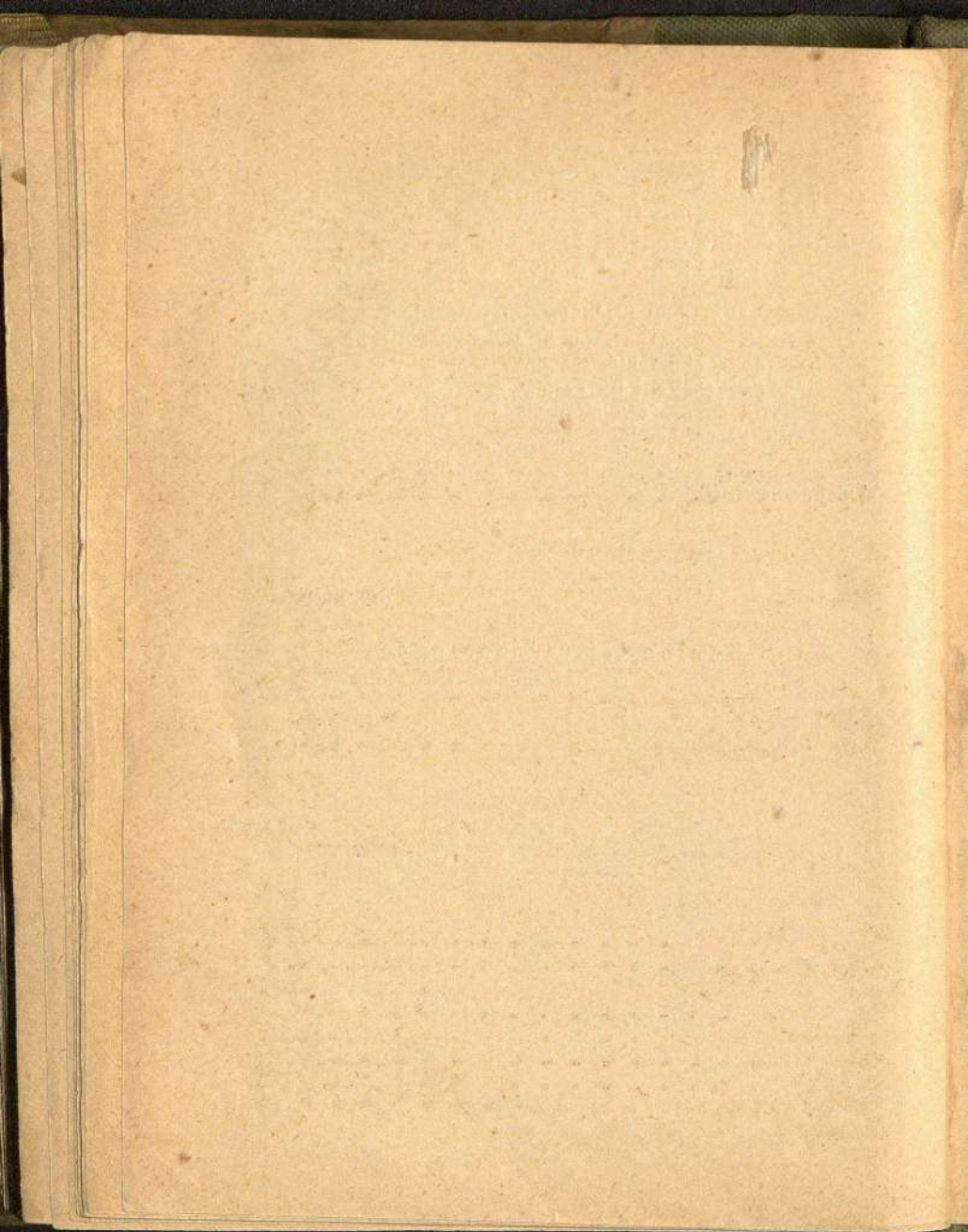
A ty jak trupek w krześle pod zametem
Cicha, podobna do Park, życia matek,
Byłaś jakby tych sejmów prezydentem; —
Dzisiaj próchenko ciała i opłatek,
Bo miejsca duch lat dziewięćdziesiąt bronił,
A nie ustąpił — aż Pan Bóg zadzwonił.

Dla tegom ja cię czuł pod suchą kością
Dobrá, choć ludzie o złość oskarżali;
Tyś sławne imię nosiła ze złością,
A ja sam takie noszę, co mnie pali,
Gdym jest wielkimi burzami natchnięty,
A w burzach nawet czuję się, żem święty.

Wszystko to w głębi twojego pokoja
Czułem dziś, patrząc na złoconą ścianę.
Żegnajże, cicha staruszczenko moja,
A pamiętaj mi na sejmy zerwane
I poslij zgraję twoich duchów tłumną
Mnie, który szedłem dziś jeden za trumną.

14 stycznia 1846.

Koniec tomu trzeciego.



SPIS PRZEDMIOTÓW.

Dramaty.	Str.
Lilla Weneda	1
Książę niezłomny	111

Pisma różne prozą.

Preliminarya podróży do Ziemi świętej J. O. księcia Radziwiłła Sierotki (fragment)	215
Trzy poematy Juliusza Słowackiego, Bajki i poezye Antoniego Goreckiego i Poemat o piekle Dantyszka	230
Kilka słów odpowiedzi na artykuł pana Ż. K. o poezyach Juliusza Słowackiego	234

PISMA POŚMIERTNE.

Poezye liryczne i ulotne.

Część pierwsza.

Duma ukraińska	239
Sonety	245
Szanfary. Ułamki poematu arabskiego	247
Rozłączenie	257
Przekleństwo. Do**	258
Stokrótki	259
Chmury	259
Ostatnie wspomnienie do Laury	260

II

Rzym	263
Sumienie	263
Hymn o zachodzie słońca na morzu	264
Do Teofila Januszewskiego	266
Odwiedziny piramid	270
Na szczycie piramid	273
Pieśń na Nilu	275
Z listu do księgarza (Eustachego Januszkiewicza)	277
Do Anieli M.	279
Do tejże	279
Na sprowadzenie zwłok Napoleona	280
Do pastreczki, siedzącej na druidycznych kamie- niach w Pornie nad oceanem	281
W pamiętniku Zofii ***	283
Wspomnienie pani de St. Marcel z domu Chau- veaux	283

KURJER CODZIENNY

PISMO SPOŁECZNO - POLITYCZNO - LITERACKIE

pod redakcją

STANISŁAWA LIBICKIEGO,

zamieszcza

artykuły w najrozmaitszych sprawach społecznych.

Posiada bardzo obszerny

dział najświeższych telegramów własnych i agencji
rosyjskiej.

Zamieszcza co tydzień

kroniki BOLESŁAWA PRUSA

stałe oceny literacko-krytyczne

PIOTRA CHMIELOWSKIEGO,

krytyki teatralne **EDWARDA LUBOWSKIEGO,**

recenzje muzyczne **JULIUSZA STATTLERA,**

przeglądy polityczne

Stanisława Szcutowskiego.

Oprócz tego zamieszcza prace najwybitniejszych sił
literatów i dziennikarzy.

W odcinku zamieszcza

najlepsze utwory powieściowe naszych pisarzy.

Bezpłatny dodatek tygodniowy wyborowych powieści
ułożonych z języka francuskiego, angielskiego
i niemieckiego.

Względnie do obfitości treści i telegramów naitańsze
pismo codzienne.

KURYER CODZIENNY

nie podniósł ceny ogłoszeń. Wobec poczytności pisma dla kupców i przemysłowców wielka korzyść z ogłoszeń w „Kuryerze Codziennym“.

CENA OGŁOSZEN:

Za wiersz petitowy na 1-ej stronie 30 kop., na 4 str. za pierwszy raz 10 kop. za następne 8 kop. Nekrologia 15 kop. Reklamy za wiersz garmontowy kop. 25 za pierwszy raz, za następne 20 kop. Nadesłane wiersz garmontowy rs. 1.

Kupcy i przemysłowcy, zamieszczający **stałe ogłoszenia**, mogą zawierać bezpośrednio z administracją umowy kwartalne, półroczne i roczne z **ustępstwem** **znacznego rabatu.**

CENA KURYERA:

W Warszawie i Łodzi: miesięcznie kop. 50,
rocznie rs. 6.

Z przesyłką pocztową w
całym państwie: miesięcznie kop. 75,
rocznie rs. 9.

Za granicą: miesięcznie rs. 1 kop. 25.

Każdy prenumerator

„Tygodnika Ilustrowanego“

otrzyma w r. 1899 bez żadnej dopłaty

12 tomów dzieł Sienkiewicza

w nowem wydaniu, obejmującym w 36-ciu 10-cio arkuszowych tomach (z wyjątkiem „Trylogii“) wszystkie utwory autora „**QUO VADIS**“.

„Tygodnik Ilustrowany“ daje rocznie przeszło 1200 ilustracyi oraz bezpłatne reprodukcye kolorowe obrazów mistrzów naszych.

W roku 1899 drukowane będą jednocześnie dwie powieści oryginalne, mianowicie ciąg dalszy wielkiej powieści historycznej p. t.:

„KRZYŻACY“

Sienkiewicza,

której początek nowi prenumeratorzy nabywać mogą za kop. 90, oraz

„ARGONAUCI“

większa powieść

Elizy Orzeszkowej.

W dodatku powieściowym, dołączanym co tydzień w arkuszach, rozpoczęliśmy z Nowym Rokiem powieść historyczną głośnego pisarza węgierskiego J. Wernera p. t.:

„Z POPIOŁÓW“.

Prenumerata „Tygodnika Ilustrowanego“ wraz z dodatkiem powieściowym i 12-tu tomami dzieł H. Sienkiewicza wynosi: w Warszawie rocznie rub. 8; z przesyłką pocztową kwart. rub. 3, półrocznie rub. 6, rocznie rub. 12.

W Krakowie kwartalnie 3.30 zhr., we Lwowie kwartalnie zhr. 3.60, a w Galicyi z przesyłką pocztową kwartalnie zhr. 3.75.

Adres Administracyi „Tygodnika Ilustrowanego“:
Krakowskie Przedmieście, 17, Warszawa.

KSIĘGARNIA GEBECKNERA i WOLFFA

w Warszawie

poleca największy wybór książek dla młodzieży. Wrazie z żądaniem skutecznie zamówienia z prowincyi za zaliczeniem pocztowem. Katalogi księgarskie wysyła na żądanie gratis i franco.

SPECYALNY SKŁAD NUT

mieszczący się obok Księgarni przy ulicy Czystej Nr. 2 posiada oprócz własnych wydawnictw, wykazujących najwięcej popularne i w wielkiej ilości rozpowszechnione

SZKOŁY

na fortepian, na skrzypce, na harmonium do śpiewu.

Utwory fortepianowe

pedagogiczne na 2 i 4 ręce, stosownie do trudności podług stopni, ułożone i zebrane przez Profesora Rudolfa Strobla.

NAJNOWSZE UTWORY DO TAŃCA

UTWORY DO ŚPIEWU SALONOWE

i z oper na 1 i więcej głosów, w szczególności pierwsze w języku polskim.

Zbiory chóralne Piotra Maszyńskiego

zawierające blisko 200 utworów na 4 męskie głosy p. t. Lutnia i najnowszy zbiór na 4 głosy mieszane p. t. Lirnik.

Śpiewy religijne i utwory na organy.

Zaopatrzony jest obficie we wszelkie inne wydawnictwa miejscowe, krajowe i zagraniczne.